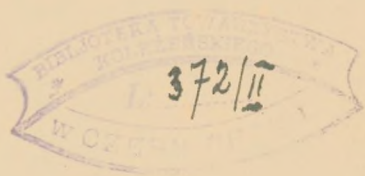




II, 578

IV/246



LOU.



LOU

Lpi 1672



przez

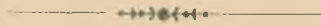
Alexander

BARONA A. ROBERTS'A.

Przekład

372/11

Br. Neufeldówny.



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1889.

Доволено Цензурою.

Варшава, 3 Мая 1889 года.



189543

ROZDZIAŁ I.

Fala ciężkiego powietrza owionęła Lou'a, gdy rano otworzył drzwi do salonu swego pana; nadto uderzył go szczególny zaduch—niby dym tłącego się cygara w połączeniu ze swędem dogasającej lampy, i jeszcze czémś inném, nieokreślonym.

Delikatny wyzli nos Lou'a węszył napróżno, coby to być mogło? Przecież chyba nie dym prochu?

Ciężkie firanki u okien były zasunięte; w pokoju panował złocisto-brunatny mrok, rozświetlony białą jaśniejącą smugą, która się wydobywała przez szparę między firankami jednego okna.

Boso, posuwając się pocichu, jak kot, z głową niezwykle małą, naprzód pochyloną, niby do wietrzenia, Lou, skierował się ku szparze. Gdy rozsunął firanki, a oczy jego pokonały pierwsze olśnienie wpadającego z całą siłą światła, zauważył mały, błękitno-szarawy obłoczek, unoszący się nade drzwiami, wiodącemi do sypialni margrabiego.

Ruch firanek rozwiął obłoczek.

Lou nasłuchiwał. Drzwi owe były nawpół otwarte, ale za niemi panowała najzupełniejsza cisza; nie widać też było u ma-

drego, spiczastego pyska Zeppy, który rozglądając się bystremi ślepiami, wysuwał się zazwyczaj z za portyery.

Coś się tu zmieniło...

Z wahan em, bardzo ostrożnie, aby nie obudzić pana, otworzył Lou wielkie okno.

Ach, co za rozkoszna fala światła i powietrza! Paryż leżał tam, spowity w dziewicze, mgliste blaski poranka wiosennego; cały olbrzymi horyzont wystrzępiony był szeregami domów. Paryż, jak oko sięgło; nic prócz Paryża! Na przedzie na płononiebieskim tle odcinały się błyszczące wilgotną rosą nocną płaszczyny facyatek, dalej morze spiętrzone, staczających się dachów, tonęło w coraz wyraźniejszym błękicie, który w końcu z lekkim odcieniem fioletu przechodził w różowe opary, unoszące się nad oddalonymi częściami miasta. Słońce, jak rozpalona do czerwoności drgająca tarcza, iskrzyło się we mgle srebrzystej; z kopuły luwalidów wszakże zsyłało już ogniste światła, niby zapowiedź tego blasku złocistego, w jakim miał się kąpać wschodzący dzień.

Paryż się budził. Pojedyncze wozy turkotały po bruku; zdala dochodził odgłos maszerującej kapeli wojskowej, to napwół stłumionemi przez ruch uliczny, to znów hałaśliwemi tonami; handlarz jarzyn przejmującym krzykiem, zalecał swe towary; w przybranym jeszcze w szatę zimową, gdzieniegdzie skąpo zielenią przystrojonym ogrodzie, świegotały wróble wrzaskliwym chórem.

Lou stał, zlekka w takt muzyki bębniąc wążką, drobną, jak u dziecka, ręką po złoconej kracie okna. Koszula jego w białe i niebieskie pasy, była odrzucona i ukazywała pierś brunatną, połyskującą, niby ze spiżu. Na szyi w dołku, miał wyklóty znak ciemno-niebieski, a poniżej wisiał, zdobny w różnokolorowe frendzelki, woreczek z amuletem. Zęby, jak z kości stoniowej rzeźbione, jaśniały olśniewającą białością. Było to piękna głowa Nubijczyka... typu niemal równie szlachetnego, jak kaukazki. Matowe, zlekka kręcone włosy, gęstą czupryną stały ponad

kształtném czolem; wyraźna blizna przecinała w poprzek jedno z delikatnych, niezwykle ruchliwych nozdrzy.

Ile lat miał Lou? Nikt tego nie wiedział, a on najmniej. Tajemniczy znak na szyi rozwiązałby może zagadkę, gdyby go można było odczytać. Nubijczyk był czémś pośredniém, między chłopcem a młodzieńcem. Wysmukły, członki miał długie, żyłaste, ruchy zaś nacechowane były jeszcze niezręcznością właściwą okresowi rośnięcia.

Paryż!... Jakże Lou kochał Paryż! Lou już oddawna nie bał się Paryża, jak w pierwszych dniach przybycia.

Czy pamiętasz Lou, jak przed czterema laty w noc grudniową zawitałeś z margrabią Breteuilles'em na dworzec Południowy? Deszcz lał, jak z cebra, i z łoskotem spadał na szklany dach halli, a zimne krople nielitościwie smagały po twarzy. Plusk, bulgotanie, szmer wody wrzał dokoła—deszcz i nic prócz deszczu. Gdy stałeś, drżąc i szcękając zębami, litość zdjęła twego pana, i wskazał ci miejsce w karecie. Litość?... No, tak, przecież anwet drogiego psã rasowego nie wystawia się na takie powietrze.

Ileż to zapłacił za ciebie margrabia? Lou Nubijczyk wiedział tylko, że dawny właściciel jego w Kairze schował cały stos błyszczących monet, jego zaś na pożegnanie świsnął batem po plecach... Szlochając głośno, chłopiec wstąpił do nowój służby.

Kair... na myśl o Kairze Lou czuje znów na plecach owo ostatnie palące uderzenie bata, —akord końcowy całego szeregu świszczących ciosów. Jakże chętnie byłby nieraz zamienił się z jednym z brunatnych osielków, które obsługiwał! Im przynajmniej wolno było jeść i odpocząć po pracy...

Ale to już dawno minęło! Kair pozostał daleko, tam za niedobrem, kołyszącém się morzem, które chłopcu podczas drogi o mało duszy nie wytrzęsło. Teraz już wszystko dobrze; teraz już nie zamieni się z żadnym osielkiem na świecie, nawet z najdumniejszym, najpiękniejszym osłem haremowym, noszącym haftowaną uzdę i złotem okute szory. Margrabia jest przecież taki łaskawy, a cienka szpicruta, którą niekiedy zniecierpliwiony

zdejmuje ze ściany, to lehcząca zabawka—ma ona tylko być przestrogą dla Lou'a, żeby się nie rozzuchwiał i nie zapominał o wielkim bacie z Kairu...

Co to?... W sypialni odezwało się skomlenie. To pies—ale jego głos to nie krótkie, wyrzucane, radosne dźwięki, jakimi zazwyczaj witał Nubijczyka.

Lou wyteża wszystkie zmysły, a nozdrza jego drgają gwałtownie. Teraz znów dolatuje go przeciągłe, konające zwolna skowyczenie... Lou rzucił się naprzód i wyprostował, jak struna.

Coś się stało... dzisiaj w nocy... teraz, przed chwilą! Kilku szybkimi susami stanął Lou przy drzwiach.

I tamten pokój tonął w brunatno-złocistym mroku, a Lou nie mógł zrazu nic odróżnić; widział tylko jakiś chaos na ziemi obok stołu. Zazwyczaj tego nie bywało.

Przez chwilę jeszcze stał i słuchał z napięciem, poczem w żółtawych białkach jego oczu zapaliła się błyskawica. W nagłym przerażeniu otworzył na rozcież drzwi gwałtownie, tak, że skrzypnęły głośno na zawiasach i zajęczały przeciągłe, a wpadający blask dzienny oświetlił dokładnie wszystko.

— *Moussou! Moussou!*—zadrgało na białych ustach Lou'a.

Chciał krzyknąć głośno, ale skamieniał, stanąwszy na progu. Do połowy naprzód pochylony, zdrętwiały, bez ruchu, jak posąg, szeroko rozwartemi z trwogi oczyma pochlaniał straszliwy widok.

Jedno z krzeseł odsunięte było od stołu. Na aksamitnym, ciemno-ponsowém siedzeniu leżała biała, jak wosk, głowa, gwałtownie w tył odrzucona, jakby oderwana od tułowia — nieruchoma. Z pod zaczerwienionych, nawpół tylko przymkniętych powiek, lśniły szkliste źrenice, a w kątach zupełnie bezbarwnych ust, mocno zaciśniętych pod małym, wyzywająco zakreconym w górę wąsikiem, osiadł szczególny wyraz,—nawpół uśmiechn, napół cierpienia.

Ciało było oparte o krzesło, tak, jak runęło w gwałtownym upadku. W jednej ręce, obwisłej, coś błyszczało... to pistolet.

Lou go poznał. To ten sam piękny, srebrem wykładany pistolet, który wisiał nad łóżkiem margrabiego. Broń tkwiła między dwoma zakrzywionymi palcami; zdawało się, że za chwilę wypadnie.

Druga ręka, zlekka skurczona, spoczywała na piersi obnażonej, pod rozdartą koszulą. Ręka ta zdrętwiała, nim dosięgła miejsca, do którego się wyciągnęła, a miejscem tém—mały ciemny otwór z lewej strony tam, gdzie ukrywa się serce, a z kąda sączyły się dwie wąziutkie czarne smugi, z których każda zbierała się w wielkiéj kropli.

Tuż obok zwłok pana, siedział skulony dog duński. Jednę z biało-podpalanych łap podniósł do przestrzelonej piersi i wykonywał nią szczególne, ludzkie, macające ruchy, jakby chciał dopomódz, jak gdyby musiał zbudzić śpiącego.

W wielkich, okrągłych, lśniących ślepiach, przebijał się wyraz trwogi; długi popielaty ogon zwolna, z głuchym łoskotem obijał się o ziemię. Naraz mięsista szyja z podługowatą głową wyciągnęła się, drżący pysk się otworzył, jakby do wycia, ale wydał jedynie kilka ochryplych, nawpół stłumionych skowyczących dźwięków.

— *Moussou! Moussou!...*

Lou, jak złamany przestraczem, padł na ziemię naprzeciw psa i drżącemi rękoma zaczął obmacywać ciało nieboszczyka.

Wtém coś upadło. Lou zerwał się—to pistolet się wysunął ze skurczonych palców.

A teraz... co to? woskowa twarz drgnęła... To tylko odbłask okna salonu zabłąkał się tu, do sypialni.

I coraz głośniej krzyczał Lou swoje rozpaczliwe: „*Moussou! Moussou!*”—ogon Zeppy coraz gwałtowniej bił o posadzkę, aż w końcu zawyli obaj we wspólnym żalu nad martwém obliczem. Zdawaćby się mogło, że wyje dwoje zwierząt.

Ale żadnego znaku, żadnej odpowiedzi!... Nagle ucichli oboje, jakby na komendę, przerażeni własnym głosem. Spójrze-

li na siebie, nie wiedząc co począć. Zeppa szukał ratunku u Lou'a, a Lou u Zeppy.

Po chwili śmiertelna trwoga ogarnęła Nubijczyka. Wszystko to było takie dziwne, niewytłumaczone. Zerwał się na równe nogi i wybiegł, krzycząc o pomoc.

— *Mousson* nieżywy! *Mousson* nieżywy!—rozlega się jego rozpaczliwe wołanie po sieni.

Niebawem mieszkanie napęlnia się ludźmi; przybyli śpiesznie mieszkańcy oficyny, lokatorowie z sąsiedztwa szepczą, kiwają głowami, a na ich twarzach maluje się wyraz prawie zadowolenia z nieszczęścia. Jakiś stary jegomość o żółtawej cerze i olśniewająco białych włosach, wzrusza od kiedy niekiedy jednem wyższem, ramieniem, zażywając przytęm za każdym razem tabakę. To lekarz.

Podnoszą umarłego i kładą na łóżku. Coś błyszczącego spada na posadzkę. Lou chwyta ów przedmiot — to medalionik. Potrosze właściwa jego rasie żądza świecideł, potrosze wszakże i przecucie, że ten medalionik był bardzo drogim dla jego pana, a dla niego samego może kiedyś w przyszłości posiadać czarodziejską moc ochronną amuletu,—kazały mu zabrać klejnot.

Gdy jedni przygotowywali łożo śmierci, inni tymczasem zaczęli plondrować po salonie. Wszak to rzecz niesłychanie interesująca wiedzieć, co téż taki człowiek, nim przemocą wyłamał sobie wrota do innego świata, robił, pisał i myślał w ostatnich godzinach? I cała ta gromada natrętów, z przyjemnie drażniącym dreszczem, wytrzeszcza oczy i ogląda porozstawiane tu i ówdzie przedmioty.

W kosztownym wazonie japońskim jaśnieje kilka przepysznie rozkwitłych róż herbatnich. Podejrzenie czerwony nos jakiejś stariej kobieciny nie może sobie odmówić rozkoszy powąchania ich. Czy téż pachną jeszcze? a może wonne ich tchnienie skonało razem z oddechem tego cichego człowieka, leżącego tam, na łóżku?... Trzy świece w kandelabrze wypaliły się zupełnie, czwarta musiała być zgaszona nagle — może przez ostatnie

westchnienie nieboszczyka przed popełnieniem samobójstwa...

W napełnionym do połowy kieliszku krople szampana wzbijają się jeszcze, ale wielkie, jak łzy płyną w górę wolno, odpowiednio do posępnęj grozy chwili.

— Godzina czwarta, minut dziesięć,—szepnął jakiś młokos, widocznie subjekt, z twarzą osadzoną w kremowym krawacie.

W istocie wskazówka złotego zegarka, który leżał rzucony obok otwartego pudełka z nabojami, pokazywała godzinę czwartą i minut dziesięć. Kilka par oczu zwraca się z takim napięciem, jakby chodziło o obserwowanie wskazówki, kręcącój się na tarczy szczęścia—czy téż ten zegarek idzie jeszcze, czy stoi?...

— Mówią, że zegarek takiego człowieka przestaje chodzić gdy on umiera,—odzywa się właścicielka czerwonego nosa;—staje razem z ostatniém uderzeniem serca.

— W takich okolicznościach zapomina się poprostu go nakręcić, pani Glaure,—objaśnia donośny głos pana Floques'a, cyrulika.—Bo i poco, he?

W około szerokich ust znakomicie wygolonej twarzy zagrał pogardliwy, pełny namaszczenia uśmiech kawiarnianego filozofa.

Jakieś zuchwałe palce kobiece odważyły się unieść nieco brązową rękawiczkę damską, zmiętą, jakby w napadzie gniewu, a leżącą na otwartój książce.

— Ten umiał żyć!—mówi pan Floques, wskazując na rękawiczkę i mrugając przebiegle jedniém okiem.

— Alfred de Musset!—szepleni jakaś estetyczna pokojówka, przesyłabizowawszy ważną nowinę z tytułu książki, zachwycona tém odkryciem.

— On sam pisywał wiersze, bez Musset'a,—objaśnia pan Floques.—Znałem je wszystkie, wyborne wiersze, mówię państwu. Goliłem go codziennie... rymy znakomite...

— Stoi!—woła nagle, przerywając szeptu subjekt.—Zegarek stoi!

Przekonał się nareszcie i jest uszczęśliwiony.

— Byłam tego pewna,—mówi tonem pełnym znaczenia obfita w przeczucia pani Glaure.—To się bardzo często zdarza.

Nagle gruba, obrzmiała ręka, czyhająca już oddawna, odsuwa, niby przez nieostrożność, książkę z listów, na których leżała, a oczy wszystkich z chciwością pochłaniają adresy.

Teraz cyrulik już wie, wie wszystko. Ówierać spojrzenia na pierwszy adres wystarczyło mu zupełnie. Ach! on nie potrzebował wcale spoglądać nawet na ten adres: on taki dyskretny! Teatralnym ruchem odwraca list, kładzie na niego kościstą pięść i odzywa się tonem oburzonej uczciwości:

— *Allons*, moi państwo! Każdy ma swoje tajemnice!

Po krótkim milczeniu zaś dodał:

— Gdyby tak wolno było mówić... ale: *de mortuis nil ni...* bę, jakże to? Wiecie panowie, ten sławny napis na nagrobku...

W końcu nie może jednak dłużej utrzymać swój tajemnicy. Lou nasłuchuje, aby ze wszystkich znaczących półsłówek, jakich nie szczędzi gadatliwy jegomość, uchwycić sens jakiś, ale nic nie rozumie. Słyszy tylko wymieniane często jakieś imię kobiece. Ach, oni, ci tam, wiedzą wszystko. Panu Floques'owi nie wymknęła się ani jedna niteczka stosunku, który wiązał margrabiego z ową panią.

— A więc dla kobiety!—wybucha pani Glaure rozpromieniona.

— To się zdarza w Paryżu, moja dobrodziejko,—mówi z zadowoleniem cyrulik.—Pisywał wiersze, cóż pani chcesz?

— Nie miał siły, by się temu oprzeć,—decyduje młokos w kremowym krawacie.

Dla kobiety margrabia przeszył sobie pierś kulą. Tak, to się zdarza w Paryżu. W Kairze nikt się nie zabija dla kobiety, ale w Paryżu to można, a nawet niekiedy potrzeba. Gdyby Lou był wielkim, bogatym „*mousson*,” to możeby i on się zastrzelił dla kobiety...

Ale to już dawno minęło! Co za profanacya myśleć teraz, w takiej chwili, o własnem przebytém cierpieniu!

— Biedny *moussou!*—wzdycha Nabijczyk,—biedny *moussou!*

— Al! otoż i nasz Murzyn! Słuchaj-no chłopcze, co on wie o tém?—zwrócił się do niego nagle pan Floques.

Lou potrząsnął głową. Co on ma wiedzieć?

— Czy nic nie słyszał? nic nie widział? nic nie zauważył? Przecież chociaż się jest ufarbowanym na czarno, ma się także uszy i oczy, jak inni ludzie?

— Nic!—odparł Lou.

To „nic“ brzmiało niby ciężkie westchnienie. „Nic!“—Lou spał wyciągnięty, jak zazwyczaj, na skórze białego niedźwiedzia, w przedpokoju. Podezas snu czuł, że dotknęła go w przejęściu jakaś noga—pewnie noga pana; ocknął się, i nawpół senny widział przeze drzwi, jak pan jego stał w otwartém oknie.

W salonie jaśniał niebieskawy blask księżyca, brzegi mebli i wielkich liści palmowych okolone były niby białą świetlaną opaską. Czarna sylwetka margrabiego odcinała się ostro od srebrzystego tła nieba; stał najpierw wyprostowany, potem pochylił twarz i ukrył ją w dłonie. Drzwi zaskrzypiały zlekka, poruszone przewiewem powietrza, a z okna doleciał jakby jęk żalony i konał cicho w tém skrzypnięciu. Nagle zapadł szary mrok, zacierając wszystkie świetlane miejsca. Zimny dreszcz przebiegł Lou'a. Postać margrabiego zniknęła w cieniu chmury, która się przesunęła po roziskrzoném niebie.

— I ani strzału? ani wołania? ani upadku? ani rzęzenia?

— Nic!—odpowiedział Lou.

Gdyby umiał po francuzku, byłby może mógł opowiedzieć tych kilka szczegółów, ale niewprawny jego język niezdolny był wymówić nic innego, prócz tego jednego słówka.

Kilkakrotnie jeszcze w ciągu dnia wypytywano go się natarczywie, a on zawsze tę samą dawał odpowiedź. Między innymi mała, pochylona dama, z siwemi, drżącemi loczkami na skroniach, wsparta na ramieniu wysokiego pana wyszła chwiej-

nym krokiem z pokoju nieboszczyka. Pan nazywał ją: „panią margrabiną,“ a ona z poza mocno pachnącej chusteczki koronkowej, którą zakrywała twarz łzami zalaną,—zadła Nubijczykowi to samo, co i inni, pytanie. Tym razem Lou nie mógł nawet wymówić jasno i dobitnie swego: „Nie!“ jakgdyby mu i to słówko uwięzło w gardle. Pan, wychodząc, wsunął mu w rękę złotą monetę.

Ani policya, ani sąd nie mogli nic więcej wydostać od niego. Gdy zapieczętowano meble, i zapisano do inwentarza każdą sztukę, komisya przypadkiem natrafiła na Lou'a i zadła mu krótkie, szorstkie, urywane pytania: Jak się nazywa, kto jest? Zkąd? Dokąd? W jaki sposób?

— *Moussou* nieżywy!—wyjąkał Lou.

Głupiec! O tém wiedzą i widzą to wszyscy!

Mały, otyły pan, z długimi pasmami włosów niby przylepionemi do łyséj czaszki, zdawał się być zrozpaczonem.

— Co my teraz z nim poczniemy?—wybuchnął głosem, jak drzewo, bezdźwięcznym.

— Nie!—odezwał się Lou mechanicznie.

— To téż będzie najlepij,—rzekł mały pan, posuwając gniewnym ruchem w górę lśniące okulary.

Wieczorem siedział Lou wciśnięty w kąć tylnych schodów. W rękę trzymał medalion, który błyszczał w żółtém świetle latarni, wpadającym przez małe okrągłe okienko; chłopiec obmacywał klejnot na wszystkie strony i co chwila przyglądał mu się ciekawie. Gdyby go można otworzyć! Wisiał na obnażonej piersi jęgo pana, na którego szyi znaleziono jeszcze rozerwaną wstążkę; strzał uszkodził i wgniótł nieco złotą blaszkę, tak, iż niedała się otworzyć. Lou nie chciał użyć siły.

Jakże samotnie było tu, na schodach! W dziedzińcu odzywał się odgłos kopyt końskich, a melancholijny śpiew chłopca stannego łączył się z szelestem skrobiącego zgrzebla. Z ulicy dobiegał głuchy turkot pojazdów; niekiedy, gdy przejeżdżał cięższy

wóz, dom cały drżał, a razem z nim i schody, na których siedział Lou. Zdawało mu się, że nigdy dotąd nie zauważył tego drżenia. Czy to ziemia chwiała się pod jego nogami?

Jeszcze inny jakiś dźwięk drgał dokoła. Zkąd się wziął i co znaczył? Już od rana brzmiał w uszach Lou'owi i nie mógł go się pozbyć. Niby ostry świst przecinał powietrze i przechodził w przeraźliwe gwizdanie. Gdy się wzmagał, kark Lou'a wyprężał się mimowolnie.

Ach, to był straszliwy bat z Kairu! W złowrogich węzowych liniach syczał ponad jego głowę. Ten wielki bat nazywa się losem — podniesiono go znów teraz nad nim. Serce Lou'a ścisnęło się w bolesnym przecuciu.

Nagle w dziedzińcu rozległo się szczekanie — to donośny głos Zeppy.

— Ach, Zeppa, Zeppa! — krzyknął Lou radośnie.

Z pośpiechem wsunął medalion do woreczka z amuletem, gdzie chował także swe drobne oszczędności, i szybkimi susami zbiegł ze schodów.

Przecież Zeppa to jego przyjaciel! jedyny przyjaciel na świecie, skoro go tamci opuścili: — nieżywy *moussou*, tam na górze, i ona, ta, „dla której i on także mógłby się niegdyś zastrzelić, gdyby był *moussou*.“

Zeppie powie wszystko — ten go rozumie; tak, pies go rozumie!

ROZDZIAŁ II.

Przed czterema laty, w kilka dni po przybyciu do Paryża, Lou ujrzał ją po raz pierwszy.

Stało się to w wązkim korytarzu, gdy oboje z pośpiechem

jednocześnie skręcali na rogu. Cofnęli się, zatrzymali i przeleżeli oboje. Wysuwająca się nagle z mroku żywa głowa Murzyna straszną jęć się wydała; wielkie olśniewającej białości zęby, wyszczerzone były złowrogo z ciemnej twarzy. Z ust jego purpurowych biło jakieś nadziemskie, fosforyczne światło; w wielkich ciemnych oczach nie było ani śladu białka, iskrzyły się w nich tylko dwa małe płomyki.

Ona stała w szerokich ukośnych promieniach południowego słońca, wpadających górnem oknem do korytarza, ożywionych wirującymi pyłkami złocistemi. W tym jaskrawym blasku rude jęć włosy zapłonęły przed nim, jak głownia. On jeszcze nigdy nic podobnego nie widział; toć ona miała na głowie żywy, kłębiący się ogień! Lekki przewiew powietrza rozżarzył w jasne płomienie zwoje okalające drobną twarzyczkę. Zdawało się, iż ta nieposłuszna masa gorącej, płonącej czerwieni pochłonęła wszelkie inne zabarwienie delikatnej twarzy, tak blade były jęć lica; tylko oczy, teraz w tém oświetleniu, podobne były do dwóch bezbarwnych iskrzących się dyamentów.

Ona krzyknęła. On bardziej jeszcze wyszczerzył wielkie, białe, olśniewające zęby.

Naraz obudził się w małej dziewczynie ulicznik paryzki. Wybuchła śmiechem, który rozległ się głośno po wysokim korytarzu, i spojrzała wyzywająco na zdumioną twarz Nubijczyka. I ona także mogła pokazywać zęby, bardzo prosię! ale były to ząbki ostre, równe, jak sznurek pereł, niby stworzone do uśmiechu.

Dygnęła swawolnie, mówiąc przeciągle, śpiewnie: „*Monsieur*,“ i minęła Lou'a, który ciągle jeszcze stał, jak przykuty do miejsca tém zjawiskiem.

Z pewnością on bał się jęć więcej, niż ona jego. Ba, iluż to Murzynów jest w Paryżu, nie licząc tych w sklepach z cygarami! Ale warto jednak zbliżka obejrzeć tego małego ludożercę.

— Do zobaczenia! — zawołała, odwracając się jeszcze.

„Do zobaczenia“ spełniło się w dziedzińcu. Niezręcznym

ruchem wysypała na wilgotne flizy paciorki z drewnianej miski które miała nawlekać — była to jój codzienna robota. Wtém z sionki, gdzie za przepierzeniem jój ojciec szewc, przy bladém świetle lampy, leczył najnędrniejsze obuwie z całego Paryża, — zaświszczało coś w powietrzu, i karcący rzemień spadł z taką siłą na plecy dziewczyny, że biedaczka ugięła się, szlochając głośno.

Lou, który w tój chwili przechodził przez dziedziniec, zatrząsł się, jakgdyby to on cios otrzymał. Przez bat zostali oboje spokrewnieni! I niezwłocznie pozbył się Lou wszelkiej obawy przed gorejącymi włosami.

Widząc, że nachyliła się, aby szkodę naprawić, bez chwili namysłu ukląkł przy niej, i drżącymi palcami zaczął zbierać paciorki. Rzecz to nie była łatwa — różnobarwne ziarenka wysuwały mu się nieustannie z pod palców i toczyły dalej, jakby zaklęte; a gdy zrozpaczony prawie potrząsnął głową, dziewczę uśmiechnęło się, mimo bólu palącego jeszcze plecy. W zapale pracy potracili się raz nawet głowami — on osłupiał, wyprostował się na kolanach i patrzył na nie wyszczerzając zęby, a jój śmiech rozległ się nagle, jak dzwonek.

„Jak on głupio wygląda!“ — pomyślała, — „ale dobry chłopak.“

W nocy. Lou śpiąc na skórze niedźwiedziej zrywał się trzy razy, zbudzony uderzeniem dzwonka. Ale przecież dzwonek u drzwi margrabiego brzmiał zupełnie inaczej, daleko ciszej, dźwięk miał bardziej przytłumiony, nie taki srebrzysty. Potarł ręką oczy, i kładąc znów głowę na zwykłą swą poduszkę — potężny łeb niedźwiedzia — zachychotał z cicha: wszak był to śmiech Lili, który słyszał we śnie!

W niej obudziła się mała mateczka. A gdyby się tak nim zająć? Zrobić, z niego, z „ludożercy“ człowieka, któregoby wżem połknąć można? Gdyby go tak nauczyć oddychać pełną pierśią powietrzem paryżkiém? Czyżby niepodobna było z tego szwargotu, którego się pewnie nauczył w jednej z klatek ogrodu *d'acclimatisation*, urobić zrozumiałej francuzeczyny? — Natural-

nie trudu będzie niemało! Trzeba zacząć bawiąc się... Co za oryginalna zabawka!—pociągała ją nieprzeparcie.

I zaczęła swój kaprys w czyn wprowadzać. Szczególna to była nauka: oderwane szmaty wykształcenia, które mu rzucała w przejściu; różne poprawki, które otrzymywał, jak przysmaki, bez względu na to, czy chciał lub nie; okruchy mowy, frazesa, dźwięki, któremi nauczycielka obrzucała go po swojemu, despotycznie, w takiej masie, że w końcu niemal ogłupiał. Tuczyła go formalnie wykształceniem.

— Lou, nie tak! Nie, tak! Słyszysz?

Przytém wykonywała ślicznymi usteczkami różne owalne, okrągłe, kanciasto wyciągnięte figury, wyobrażające dźwięki: przeciągłe A-a, puste O-o, tajemniczo brzmiące S-i. Jednocześnie dopomagała sobie palcami, machała niemi w powietrzu, a gdy lekcyja się nie wiodła, klaskała niecierpliwie drobnymi rączkami.

Początkowo cała nauka zdawała się być niby ćwiczeniem solfedziowem, ułożonem przez nią wśród wybuchów śmiechu. Jakież on był niepojętny! jak poczynał sobie niezręcznie z temi grubemi, wywinietemi wargami, których nie pocałowałyby nigdy—o, za nic w świecie! A zęby, jak mur jaki, stały sztywno w jego ustach.

— Jeść może niemi każdy, ale mówić, Lou!—i końcem palca pukała po swoich ślicznych ząbkach.

Mimo to nie traciła cierpliwości: „*Monsi... eur... s'il... vous... plait...*“ Wyraźniej, z wymówioną dobitniej każdą sylabą, trudno mu było podawać wyrazy.

„*Mou... ssou...*“ zaczynał Lou z wysiłkiem.—„*Mou... ssou!*“

— Cudownie! wysmienicie! — wołała szyderczo. — Ależ, Lou, to takie proste. Niechże uważa. Nie *mou... ou... ssou*, tylko *monsieur! Eu*, mój chłopcze, a nie *ou!* No, jeszcze raz!

A Lou znów powtórzył swoje: „*Mou... ssou!*“

— Ach, Lou, jesteś nieoceniony! Doprawdy można się uśmieć! Jak on gada!—I zasłoniła mu usta rączką.—Ale nie

gryźć! *Mouou... ssouou!*— chychotała.— *Moussou! Moussou!*— wołała za uciekającym co tchu po schodach.

Pomimo to robił postępy. Po kilku miesiącach téj schodowej nauki, mógł się już jako tako porozumieć. O jeden szkopuł tylko zahaczył się dłużéj nieco, a szkopuł ten był złożony z trzech słów. Stało się to w stajni— między skaczącemi królikami i głuchym odgłosem kopyt końskich.

— Lou, coś nowego! niech uważa!

I stając tuż przed nim, patrząc figlarnemi lśnięciami oczyma, rzuciła mu trzy słowa w twarz zasłuchaną z natężeniem, w usta otwarte, jakby do pożarcia nowéj mądrości.

— *Je vous aime! Je vous aime, Lou!*

Wydało mu się to bardzo trudném—wykrzywił usta konwulsyjnie.

— Robi minę, jak gdyby miał połknąć żmiję!—zawołała.

Powtórzyła raz jeszcze, uderzając w takt każdego słowa, drobną rączką po grzbiecie ogiera, przy którym stała.

— *Je—vous—aime!*

— *Schö...*— zasyczało z wysuniętych, jak u ryby, ust Lou'a.—*Schö... Fou!*—tu nastąpiło przeciągłe dmuchnięcie, jakby chodziło o zagaszenie ognia. W końcu wyjąkał całość:—*Schö... Fou... Zaime!*—I powtórzył raz jeszcze, wprawniéj:—*Schö... Fou... Zaime!*

Tym razem uśmiechnęła się tylko.

— Czy téż Lou wie, co to znaczy?—zapytała przysuwając twarzyczkę bliżéj jeszcze do jego twarzy, a wokoło zadartego noska, brwi i ust zadrgało coś zlekka, niby zapowiedź burzy.

Potrząsnął głową.

— Nic!—odparł.

— Czy téż on wie, co to znacny, he?... Lou, to to!

Uderzyła rączką kilkakrotnie po swojém sercu, a potem wskazała palcem na serce jego.

Nie zrozumiał, wytrzeszczył na nią osowiałe oczy.

— *Je vous aime!*—zawołała ponownie, powtarzając ruch

i całując się z figlarną minką kilkakrotnie w rękę, coraz prędkiej i prędkiej. Nagle wykręciła się na obcasie, i popędziła za białym, jak śnieg, królikiem. Rozpoczęła się szalona pogoń we wszystkie kąty, przez ułożone w stos wiązki siana, między owies, który, jak grad, padał dokoła, nawet niekiedy u nóg koni sięgała po skaczące zwierzątko. Konie zaczęły się niepokoić i rwały na łańcuchach, gderliwy stajenny mrucał pod nosem, tu i owdzie przewrócił się kubeł lub konewka z przeraźliwym łoskotem, a po nad tym całym hałasem górował jej srebrny śmiech, przerywany kiedy niekiedy swawolnóm: „*Je vous aime! Je vous aime!*“

W końcu złapała drżące stworzonko, pochwyciła je w objęcia i spojrzała mu czule, bardzo czule, w bezmyślne, czerwone ślepie.

— *Je vous aime, mon petit!*—i zaczęła całować je głośno, w różowy pyszczek.

Gdy później podniosła spojrzenie na Lou'a, przełękła się tak gwałtownie, że o mało nie upuściła zwierzątka. Co mu się stało? W ciemnych jego oczach gorzał posępny płomień; ruchliwe nozdrza drgały; cała postać zdawała się zapowiadać wybuch dzikości afrykańskiej.

Tak, zrozumiał ją! Wiedział, co znaczy „*je vous aime*“... I ogarnęła ją tajemna obawa, że frazes zbyt wyraźnie w czyn zamieni.

Wszak on oddał serce za frazesa francuzkie. Między sylabizowaniem a śmiechem, na schodach, u drzwi skrzypiących, przy odgłosie trzepaczki, gdy miotła szumiąca po bruku, tracił je stopniowo, po kawałku. A teraz, skoro już posiadała to najprostsze z serc ludzkich, będzie się niém bawiła, jak dziecko sercem z cukru, w które w końcu zatopi ostre ząbki.. O nie, zalotnica nie była jeszcze do tego stopnia dojrzałą w téj małej, rozkwitającej Paryżance. Ale zaczynała już próbować sił swoich, i budziło się w niéj przeczucie, że kiedyś powołaną będzie do łamania daleko większych, bardziej skomplikowanych, doświadczonych serc męzkich.

Później nigdy już o czémś podobném mowy między nimi nie było.

Wieczorem, po zdarzeniu w stajni, Lou klęczał przed wielkim łbem niedźwiedzim, który mu służył za poduszkę. Klęczał, z głową pełną ciężkich myśli, zapatrzony osłupiałym wzrekiem w łeb, w iskrzące się w blasku świecy szklane ślepie, w pysk otwarty, wybity szkarłatném suknem, i w wielkie groźne kły. Usta jego szeptały coś nieustannie, męczyły się nad kilku słowami, których wymówić nie mogły. Wtém uczuł Lou gorący oddech nad ramieniem — zerwał się. To Zeppa wsunął się po cichu, po dywanie, i zaczął obwąchywać łeb niedźwiedzia, po czém szczechnął zcicha.

Lou zawstydził się prawie Zeppy, zmieszał w obec psa. Jakież on miał niepokojąco mądre ślepie! w szczeckaniu jego brzmiał doprawdy dźwięk ludzki... Nubijczyk zarumienił się z lekka, bo zwierzę schwytało go na czémś niezwykłym, czego on sam jeszcze nie pojmował. W niewytłumaczoném uniesieniu objął ramionami szeroki kark Zeppy, oparł głowę o ciepły jego grzbiet i trzymał tak przez chwilę psa w czułym niemal uścisku.

Później, gdy leżał wyciągnięty na niedźwiedziu, wśród usypiających myśli jego błąkało się drobne, niedorzeczne pytanie: Czy też istnieją psy, któreby miały lepsze serce od niektórych ludzi?

ROZDZIAŁ III.

Od owęj pory zawiązała się wielka przyjaźń między Lou'em a Zeppą. Nie podobało się to Lili. Przecież ona stopniowo wyrosła w oczach Nubijczyka na bóstwo, posiadające magiczną, czarodziejską potęgę, i wiedziała, że Lou, ze wschodnią gotowo-

ścią do ofiar, dałby się chętnie pokrajać za to uwielbiane bóstwo. A teraz miała być zrzucona, a choćby tylko na cal usunięta na bok z piedestału przez... psal Hola! Byłoby to przeciwne naturze i porządkowi rzeczy!... Ale ten Lou był dzikim a „tacy są nie do obliczenia.“

Postanowiła tedy utrzymać się na zajętem stanowisku całą siłą uporu, jakim ją obdarzyła przyroda. Była dobrą dla niego, troszczyła się o niego, jak prawdziwa mateczka. Podniecała ją próżność, przez którą przebijało słabe uczucie wdzięczności; bo przecież to nędzne, ciemno-barwne stworzenie, które za pieniądze przechodziło z rąk do rąk, poniżało się we czci rozczulającój, milczącej przed nią, która także była prawie niczém więcej, niż nic nieznaczącém stworzeniem.

A w dodatku, jakiem była dziwaczniem rudowłosém stworzeniem, wywołującém szyderstwo uliczników, zwracającém uwagę przez swoją niezwykłą bladość, wyglądającém niemal chorobliwie, jakby cierpiącém pod ciężarem ognistych włosów! Była stworzeniem niebrzydkiem, ale téż i nieładniem; zuchwałém, opryskliwém, niezręczniem do roboty. Ach! ileż ona łez połknęła z powodu tych czerwonych włosów! a lzy wzniecały gniew ojca pijaka... Tak, tak, była ona tylko biedniem, bynajmniej nie godniem zazdrości stworzeniem, które nawet takiemu, jak Lou, wielbicielowi było winno odrobinę wdzięczności.

Starala się tedy jaknajczęściej spacerować z nim po ulicy. Szli oboje wyprostowani, jakby dumni z tego, że się mogą wzajemnie innym pokazywać. Zaniechała téż wszystkiego, coby mogło zmniejszyć wrażenie wywoływane przez czerwone włosy, nie łagodziła ich efektu żadniem nakryciem, pozwałała płomienistym pasmom powiewać swobodnie na wietrze. A że i Lou miał na głowie kawał czerwieni w postaci fezu, przeto zdarzało się nieraz, że ulicznicy z sąsiedztwa wołali na nich: „Patrzcie! Dwa lisy!“

Wówczas oczy Lili błyszczały z uciechy, a usteczka uśmiechały się z głębokiego zadowolenia. Lou był bądź co bądź ładnym

chłopcem, z którym można się było pokazać,—myślała,—a przytém, to coś takiego niezwykłego: spacerować z Nubijczykiem!

Z razu Zeppa bywał zawsze ich towarzyszem. Lili pozwalała na to, jakkolwiek ze wzrastającą niechęcią, bo spostrzegając, jak uwaga przechodniów zwracała się na ten, odznaczony niezliczonemi nagrodami, wzorowy egzemplarz psa duńskiego,—i obliczała, iż uwaga owa dzieliła się na trzy części, przyczém ona i Lou byli stratni. Tak zostać nie mogło.

— Lou, zostawimy psa w domu!—rzekła pewnego razu zwykłym, prawie rozkazującym tonem.

Lou wzruszył ramionami, usiłując opędzić się od radośnie skaczącego psa. Co robić? Przecież niemożna zwierzęcia posłusznego i spokojnego uwiązać na łańcuchu, jak brytana.

— Jak dla mnie, niech sobie idzie z nami!—rzekła w końcu z gniewem.

Stopniowo pies zaczął się stawać natrętnym. Gdy Lili szła z Lou'em, usiłował wcisnąć się między nich. Robił to z początku nieznacznie, wsuwając się powoli, tak, że nie myśleli o tém żeby go odpędzać; lecz wreszcie potężny szary łeb z czarnym, lśniącym, ostro zakończonym nosem i mądremi ślepiami, wystawał obok nich, a białe przednie łapy trzymały się w taktcie z ich nogami.

Lili zaczęła się jaknajbliżej przysuwać do Lou'a, nie chcąc psu ustąpić miejsca; napróżno—umiał zawsze zdybać sposobność, by się dostać na stanowisko. Chcieli go powstrzymać pieśczołliwemi słowami, odpędzali rękoma—napróżno. Po chwili czuli znów jego gorący oddech między sobą. Zabronili mu tedy poważnie wdzierstwa,—każde na swój sposób; ale nie zrobiło to wrażenia na Zeppie, nie zaniechał swego szczególnego upodobania. O gawędce, jakkolwiek kulała ona zawsze, nie było już nawet mowy. Pies i to jego niezwykłe postępowanie zajmowały ich myśli.

Było to prawie śmieszne, ale on drwił z nich obojga, „ten psi intrygant,“ jak go Lili nazywała. Chciał ich nietylko rozłą-

czyć na przechadzce co do miejsca, ale zamierzał zerwać ich stosunek! Niedarmo wkraść się w łaski Lou'a, chciał jęj odebrać Nubijczyka! Uczucie, uderzająco podobne do zazdrości, zaczęło dręczyć dziewczynę, aż wyśmiewała się sama ze swęj głupoty. Czyżby naprawdę kochała Lou'a, skoro mogła stać się zazdrośną nawet o psa? Postanowiła położyć temu koniec, a pies sam nastreczył sposobność.

Pewnego popołudnia spacerowali po bulwarze Haussman'a, a pies znów, niby jaka wielka figura, dreptał poważnie między nimi. Nagle wyciągnął sztywną szyję, przycięte uszy poruszyły się, i oboje poczuli bicie jego ogona. W następnej chwili Zeppa rzucił się naprzód, i wielkimi susami wpadł na czarnego newfoundlandczyka, w którym prawdopodobnie poznał wroga.

Odsadzając się z miejsca, Zeppa roztrącił na dwie strony Lili i jęj towarzysza. Dziewczyna straciła równowagę i wpadła na otyłego, oblanego potem jegomościa. Jakiś mały chłopiec został również przez psa przewrócony, i płacząc żalostí wskazywał na dziurę w spodeńkach. Wymyślano dokoła, tłum zgromadził się przy walczących zwierzętach, które w końcu tworzyły już tylko jeden przewalający się wielki kłębek. Ochryple, przeciągłe wycie przecinało powietrze, a czarne i szare pęki sierści wirowały nad psami.

Lou wołał i groził, usiłował wcisnąć się między zażarte zwierzęta, aby je rozerwać. Tłum się śmiał: „Pozwólcie im się nagryźć!“ — wołano.

Nakoniec bojownicy rozeszli się; jeszcze raz mruczając wściekle doskoczyli do siebie, ale chwycili zębami powietrze tylko, poczem rzuciwszy sobie wzajemnie z ukosa pogardliwe spojrzenie, podreptali, ze spuszczonei ogonami, każdy w swoją stronę.

Biała, krwią zabarwiona ślina, pokrywała pysk Zeppy. Otrząsnął się gwałtownie, z głośnym szelestem, jak gdyby chciał zrzucić całą poczochną sierść z siebie, i parsknął, aby wypluć wydarte włosy, których miał pełno na języku i zębach.

Klatka piersiowa jego ciężko pracowała, a gdy Lou pochwycił go za obrozę, pies zaszczekał raz jeszcze.

Gdzie była Lili? Lou, pomimo baczego rozglądania się dookoła, nie mógł jęj dojrzeć nigdzie. Dlaczego nie zaczekała? Przecież pies obchodził ich oboje.

Niezwłocznie zawrócił ze zwierzęciem ku domowi, nie dobrego nie przeczuwając.

Gdy wszedł na dziedziniec, zastał Lili przy studni, próbującą z wysiłkiem wprawić w ruch ciężki drąg pompy. Rękawy od sukni podsunęły się w górę, obnażając olśniewającą białości ramiona; gibka postać to się kurczyła, to wyciągała w górę; drobne nóżki podnosiły się i opadały.

W jednej chwili Lou stanął przy dziewczynie, chcąc jęj dopomódz, jak to już nieraz czynił. Ale ona odwróciła się z zapłononą twarzą, z błyszczącemi gniewnie oczyma, i zatapiając głęboko drobne ząbki w dolną wargę, odepchnęła go bardzo wyraźnym, pogardliwym prawie ruchem. Następnie znowu zabrała się zajadle do pompowania. Kubel oddawna był pełen, drąg skrzypiał głośno, woda szumiała, wypływając szerokim strumieniem z małego zbiornika, zalewając już fizy dziedzińca, a dziewczyna pompowała nieustannie, białe ramiona ciągle jeszcze pracowały. Był to niby wybuch hamowanego dotąd szalonego gniewu.

Nagle pies rzucił się do wody, aby ochłodzić w świeżej fali gorący, parujący pysk; łykał i chlapał głośno. To powstrzymało dziewczynę; odwróciła się na wpół do Lou'a, i gwałtownym ruchem odrzuciła włosy z czoła.

— Lou!—krzyknęła głosem od gniewu stłumionym,—będę z nim mówiła po francuzku, czy mnie rozumie? Z tym psem raz musi być koniec! Nie pozwolę na to, żeby pies kpł sobie ze mnie! Jeszcze czego, słyszysz! Nie pozwolę się przewracać, gdy się takiemu panu psu spodoba...

Przypomniała sobie, że Nubijczyk przecież nie prawie nie rozumiał z tego, podobnie jak szumiącej wody potoku. Odwróciła się tedy zupełnie, między brwiami na alabastrowém czole

drgała groźna bródza; dziewczyna patrzyła na chłopca wrogo, bardzo wrogo, i rozkazującym ruchem ramienia wskazując na chlapiące zwierzę, rzekła wolno, kładąc nacisk na każdej sylabie:

— Lou, albo ten, albo ja! Czy rozumie?

Głos jej drgał.

Lou nie rozumiał; wpatrzony w nią nawpół wylękłym, nawpół zdumionym wzrokiem, potrząsnął zlekka głową.

— Niech tak na mnie oczu nie wytrzeszcza!—rzekła, zwracając się obcesowo do Nubijczyka. —Co mówię, to robię! Basta! Jak mu się nie podoba, to może sobie iść!

Ach, on i tego nie rozumiał. Doprowadzona do ostateczności, iż musiała zadawać sobie tyle trudu, żeby nareszcie pojął jej słowa, zaczęła tupać nóżką, poczem spróbowała raz jeszcze sylabizując wolno, ale tak szorstko, że sylaba każda padała jak cios lub ukłócie:

— Lou! Ten tu, ten pies chodzić z Lou, albo Lili chodzić z Lou! Lou wybierać: Lili albo Zeppa!

Następnie rzuciła się ku niemu z syczącém:—„Zrozumiałeś?!“—wzięła kubek, ulała nieco wody, i nie spojrzawszy już na Lou'a odeszła drepezącym szybkim krokiem, przechylona silnie z lewój strony z powodu ciężaru naczynia, mając prawe ramię wyciągnięte poziomo i machając niém nadmiernie.

Lou stał, jak skamieniały, z oczyma wlepionemi w czarny otwór drzwi, gdzie zniknęła dziewczyna. Zdawało mu się, jakby błyskawica przedarła w nim coś nagle na dwie części, z których każda nie może już nadal być zdolną do życia.

— Lili albo Zeppa...—szepnął bezwiednie.—Co? Wszystko się ma skończyć?... Lili nic?... I to przez psa?

Pies jest psem! Jakie znaczenie ma pies? kopie go się nogami, bije, zabija, jeżeli nie jest posłuszny. Przez chwilę roily mu się w myśli cuchnące paryasy psiego rodu z Kairu, które nie mają pana i żywią się tém, co znajdują na ulicy. Ale ten, który tam chlipie, którego mądry łeb odbija się w wodzie, jest prze-

cież czémś więcej, niż psem. Czyż *moussou* pielęgnowałby go tak i cenił, gdyby był tylko psem?

A Lili? Nie jestże ona wyższą nad wszystkie inne swego rodzaju, tego „z długimi włosami i krótkim rozumem”? I z tém bóstwem swoim miał być rozłączony przez Zeppe, który, mimo wszystko, posiadał jednak zewnętrzną postać psa ze wszystkimi jego ułomnościami?

Słaby uśmiech rozchylił z wolna usta Lou'a—uśmiech jemu niewłaściwy, przy którym zęby, jak wążki, biały pasek tylko jaśniały między wargami. Ogarnęła go niby litość nad sobą samym, że miał zamiar psu takie duże miejsce dać w swoim sercu. Odwrócił się, nie spojrzawszy już na pijącego ciągle jeszcze Zeppe, i bardzo wolno, zatopiony w myślach, wszedł na schody.

Margrabiego nie było w domu. Lou stanął w oknie sypialni, ciągle jeszcze zadumany. Naraz usłyszał ciche drapanie do drzwi od kurytarza. To pies. Krew uderzyła do głowy Nubijczykowi: „Lili albo Zeppa!”

Nastąpiło powtórne drapanie do drzwi. Lou udawał, że nie słyszy—nie chciał słyszeć,—i oparł się wygodniej jeszcze o kraty okna. Drapanie stawało się coraz częstszym i głośniejszym—a z kolei odezwało się ciche, błagalne skowyczenie. Lou stał ciągle spokojnie, zgrzytając tylko niedosłyszalnie prawie zębami. Pokaże kto tu ma więcej do powiedzenia: człowiek czy pies.

Drapanie przeszło stopniowo w rozkazujące pukanie, aż w końcu drzwi zatrzęsły się pod ciężarem skaczącego na nie zwierzęcia; jednocześnie rozległo się przytłumione warczenie. Wówczas dopiero Lou odwrócił się, uderzając gniewnie rękoma o kratę.

Gdy przechodził przez pokój, spojrzenie jego padło przypadkowo na srebrną gałkę szpicruty *moussou*. Jak ona błyszczała, jak magicznie przyciągała spojrzenia! Trzeba ją obejrzeć! Nagle Lou cofnął się o trzy kroki i stanął tuż przed gałką. Zacinając mocno zębami dolną wargę, z gwałtownie drga-

jącemi nozdrzami, jak przykuty do miejsca, przypatrywał się szpicrucie — z pożądliwością niejako. Myślał o wielkim bacie z Kairu i czuł znów na plecach jego palące uderzenia, znów gorąca fala krwi napłynęła mu do głowy. Ogarnęła go nagła, do-
tąd mu nieznana żądza zemsty. Ach, gdyby on tak chociaż raz-
jeden mógł się zabawić w pana... przez pół minuty... tylko tyle,
co trwają trzy uderzenia batem! Schwycił szpicrutę. Mrugając
szybko oczyma, przyglądał się delikatnej robocie gałki, przesuw-
wał giętką pletnię przez palce. Nagle cios świsnął w powietrzu,
potem drugi... ten brzmiał prawie jak okrzyk. W oczach Lou'a
coś zabłysło. Tak, cios ten brzmiał, jak zbawczy okrzyk ra-
dosny.

Drzwi trzęsły się tak gwałtownie pod uderzeniami zwierzę-
cia, że groziły zawaleniem. Lou ze szpicrutą w ręku pośpie-
szył otworzyć. Nie chciał bić Zeppy, nie, nie chciał bić zwier-
zęcia! Ale gdy wpadło rozjątrzone, podniecone wysiłkiem i da-
remnym pukaniem, ogarnął Lou'a nagły gniew i spuścił szpicru-
tę na grzbiet Zeppy. Dwa, trzy razy... coraz więcej i więcej..
coraz gwałtowniej... zdawało się, iż te ciosy rozpałały gniew
jego.

Zeppa z początku nie wierzył, iżby go naprawdę karcono;
szczekając i skacząc, chciał się obronić od pierwszych razów.
Gdy jednak otrzymał cios silniejszy, zawył głośno, i wśród coraz
słabszego skowyczenia czołgał się na dywanie.

Czemu nie uciekał przed razami? Czemu owszem przysu-
wał się coraz bliżej?—Lou się zdumiał.

Pies przyczołgał się jeszcze bliżej—i, rzecz szczególna,
wtedy Lou zaczął zwolna się cofać. W końcu trzymał już tyl-
ko szpicrutę groźnie do góry podniesioną, ale razy ustały. Na-
raz oświadczył nim wielki żal, giętka trzcina paliła mu rękę, jak
różga płonąca—powiesił ją corychlej i stał zawstydzony.

Z przedpokoju dochodziły go ciężkie westchnienia, które
za każdym razem brzmiały, jak wyrzut. Nie powinien był tego
robić! Przecież tylko przywiązanie do Lou'a zniewoliło psa do

natręctwa. Lili chciała tego... czyż trzeba Lili słuchać? Biedny Lou, ach! tak, tak... trzeba!... Gdybym mógł zbić się sam, żeby wszystko naprawić! Nie mógł dłużej znieść tego wzdychania. i pobiegł, chcąc się z psem pogodzić.

Zeppa leżał na dywanie, wyciągnął przednie łapy, położył łeb na nich i oddychał ciężko. Gdy Lou wszedł, pies podniósł tylko ślępia, otwierając je tak szeroko, że pod ciemną źrenicą ukazał się wązki pasek białka, co zdarzało się bardzo rzadko,— i patrzył na niego smutnym, poważnym wzrokiem... po chwili oddech ucichł.

Lou chciał się schylić, wymówić do psa parę tkliwszych wyrazów, pogłaskać go. Ale zdawało się, że ślępia Zeppy mówiły: „Nie!“ Odpychały Lou'a, tak, iż nie śmiał się nachylić, nie zdołał wyjąknąć ani jednej sylaby.

W końcu Lou nie mógł dłużej znieść tego spojrzenia, i ze spuszczonej oczyma wysunął się z pokoju.

Za drzwiami odetchnął, lecz ogarnęła go zgroza—w tym psie naprawdę tkwiła myśl człowieka.

Późno w nocy, gdy margrabia powrócił do domu, Nubijczyk siedział zmieniony przed dogasającą świecą.

— Co się stało? co to znaczy?—zawołał margrabia.

Lou zerwał się, spojrzął na pana nieśmiałym wzrokiem, i rzucił mu się do nóg. W rękę trzymał szpicrutę, i podając ją zdumionemu margrabiemu, wyjąkał:

— Lou zły! Lou Zeppę bić!... Zeppa *tobry*, bardzo *tobry*! Lou zły!... *Moussou* Lou wybić!

— Co ci wpadło do głowy? Co to się ma znaczyć?—zawołał margrabia podrażniony.

Słowa Lou zamieniły się w błaganie:

— *Moussou* Lou wybić!... — i podniósł jeszcze wyżej szpicrutę.

Margrabia nie rozumiał o co chodzi, i zdziwiony potrząsnął głową; w końcu wziął szpicrutę. i lekki, nawpół żartobliwy cios spadł na plecy Lou'a.

— Jesteś waryatem, Lou!.. Precz, połóżyc się na niedźwiedziu!

Odtąd panował pokój między trójką.

— Ten pies jest mądry, jak człowiek—rzekła Lili.

— *Tobry*, jak człowiek,—dodał Lou.

Zeppa okazał się bardzo wspaniałomyślnym, i nie mścił się na Nubijczyku niczém, nawet ani jednym z owych szczególnych, ludzkich prawie spojrzeń. Lou stopniowo dopiero pozbył się obawy, i stara przyjaźń wzmocniła się na nowo. Ale Nubijczyk w tajemnym zakątku serca poczuwał się do winy, i poprzysiągł sobie, że ją psu wynagrodzi.

Nie widziano już więcej psa z „dwoma lisami“ na ulicy.

Pewnej sierpniowej niedzieli pojechała Lili z Lou'em na jarmark do St.-Cloud, aby się przyjrzyć wielkim wodotryskom. Siedzieli wysoko, na *impérial'u* tramwajowym, oblani jaskrawém światłem słońca południowego. „Przepyszna para!“—szeptano na ławkach, usuwając się, aby im zrobić miejsce. Po rozgorączkowanej twarzyczce Lili przebiegał z razu uśmiech zakłopotania, ale niebawem odzyskała wrodzoną zuchwałość, podniosła wyzywająco główkę z zadartym noskiem, i odrzuciła w tył swoją wspaniałą grzywę.

Nie, nie będzie się jeszcze wstydziła Lou'a, i dzisiaj także. W ostatnich czasach budziło się w niej niekiedy przekonanie, że godna była wykwintniejszego i jaśniejszego zafarbowanego wielbiciele. Stopniowo wyrosła z pod ojcowskiego rzemienia, i zaczęła się rozwijać na wspaniałą postać, drepzczącą zalotnie na istic paryzkich stopkach. Nie można jęj było nazwać piękną; lecz alabastrowa białosc jęj twarzy, jakby nakropionęj teraz w sierpniu kilku drobnemi piegami, mogła obudzić zazdrość niejednej Paryżanki, a niejednen przygodny entuzyasta zapewniał ją, że owe, tak często za jęj lat dziecinnnych wyszydzane przez uliczników ~~nie włosy~~, w tym odcieniu są cudowne, przepyszne w tęg obfotoci, że dzięki im zrobi jeszcze karyerę. Przytém wesołe jęj oczy ~~przebiegały~~ tak precudnym błękitem, że na ich widok przypo-

minał się zawsze Lou'owi lazur, jaśniejący w styczniu nad Kairem.

Nie, Lili oddawna już nie była owém popychaném na wszystkie strony stworzeniem, które omal nie zwiędło w wilgotnym mroku oficyny. Umieszczono ją w magazynie mód, w pobliżu wielkich bulwarów, a delikatny jój nosek coraz ciekawiej zaczął tropić kipiące życie stolicy.

Mimo to wszakże i teraz jeszcze nie chciała porzucić Lou'a. Dwa lata obcowali z sobą, skromnie, uczciwie, naiwnie, bez głębszego uderzenia serca budzącj się namiętności, w naturalnej przyjaźni. Dziewczyna w istocie lubiła Nubijczyka, przyzwyczaiła się do niego, litowała nad nim i... no, tak, chciała przeczekać, aż nadejdzie jój czas; ale ów czas jeszcze nie nadszedł.

Tak, „przepyszna para...“ U Lou'a objawiała się niekiedy mania cywilizacyi, przechodząca w śmieszność i wprowadzająca w kłopot jego mistrzynię. Dzisiaj obudził się w nim elegant. Na wełniastych włosach miał niezbyt modny, ale też i niezbyt niski cylinder, pod którym mała jego głowa znikiała prawie; ręce wcisnął w czarne rękawiczki, do koszuli przypiął wielki jasno-niebieski krawat, a w ręku trzymał chwiejną trzcinkę z białą kościaną gałką, którą niedbale uderzał po zębach, naśladowując w tém panów, jakich widywał u *moussou*. Lou siedział wyprostowany, pełen powagi, przekonany, że zrobił z siebie rasowego Paryżanina. A jednak nad tą śmieszną, murzyńską próżnością górowało tajemne uczucie szczęścia z tego, że wolno mu było pokazywać się obok Lili wielkiemu światu świętecznemu.

Niebawem unosił ich ruchliwy tłum jarmarczny, ponad którym falował gęstymi tumanami kurz rozświetlony złocistymi blaskami słońca. Przerażliwa wrzawa zdawała się duszniejszém jeszcze czynić powietrze. Tu odzywały się niemilosiernie wrzaskliwe dźwięki trąby i rozpaczliwie jednostajne tony katarynki;

tam rozlegały się skrzeczące głosy heroldów cyrkowych, twarde odgłos bębna i rozpustne krzyki huśtających się dziewcząt; kiedy niekiedy, jak orzeźwienie wśród tego chaosu tonów, dawał się słyszeć szczebiotliwy okrzyk radosny dziecka, któremu przed budą z tombolą przypadło w udziale niesłychane szczęście w postaci figury z cukru.

Jakkolwiek tłum popychał Lili i Nubijczyka to w tę, to w ową stronę, nie było obawy, żeby się zgubili; wśród tłoku głów raz po raz to zajaśniała brązowa twarz Lou'a pod świecącym, świeżo wyprasowanym cylindrem, to gorzały włosy Lili. Naraz Lou skinął wyciągniętym ramieniem, które długie i sztywne podobne było do sygnału kolejowego; stał, jak wryty, rozpychając zacięcie żywą falę, dopóki dziewczyna nie przedostała się do niego. Co się stało? Czego chciał? Ach, tam ta buda! Z rozpromienionym wzrokiem, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu, Lou wskazywał na nią.

— Co to, Lou?—pytała Lili.

— Lou Lili ładne *tupić!*—odparł.

W budzie iskrzyły się różnobarwnym blaskiem masami nagromadzone fałszywe drogie kamienie i różne ozdoby.

— Daj pokój, Lou, oszalałeś! Poco?—rzekła Lili.—Pójdź dalej!

Ale już jęj się wymknął. Widziała go, jak zatrzymał się przed wystawą, i zachwyconym wzrokiem rozglądał się między temi wszystkimi wspaniałościami, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Ze znaczącym uśmiechem otyła przekupka wybrała z pomiędzy rozłożonych świecideł gruby złocisty łańcuch, na którym wisiało wielkie serce.

I to Lou chciał darować jęj,—Lili? Nie inaczęj, — ot już się zbliża z rozpromienioną twarzą, uszczęśliwiony, wywijając w ręku hałaśliwie brzęczącym łańcuchem, ku uciesze stojących dokoła.

— Ależ Lou, co ty robisz? Nie pozwolę na to! Pójdź, odniesiemy to!

Twarz Lili oblała się szkarłatnym rumieńcem. Nim wszakże zdołała się przedostać, już tłum uniósł ich oboje daleko od budy ze świecidlami.

Później, gdy milcząc szli przez szmaragdową, skąpaną w słońcu łąkę w parku, Nubijczyk stanął nagle i założył łańcuch dziewczynie na szyję. Chciała go odepchnąć, ale spojrzawszy ukradkiem na twarz jego, dała pokój. Malował się na niej ten sam wyraz świętej, groźnej prawie powagi, jaki spostrzegła już raz ku swemu przerażeniu podczas owjej sceny w stajni.

Jakże to wielkie, mosiężne serce błyszczało w słońcu! Jak oczy Lou'a napawały się tym przepychem! Chciał coś powiedzieć, usta jego poruszały się z trudnością—wreszcie wybuchnął.

— *Schö... Fou... Zem! Schö... Fou... Zem, Lili!*—rzekł jękając się, drżącym, wzruszonym głosem.

Gdyby była spojrzała na niego teraz, w tej chwili, kiedy wypowiedział wszystko, co mu od lat dwóch przepełniało serce, tak, iż mało nie pękło, kiedy wypowiedział to w trzech niedołężnych wyrazach, których go nauczyła,—gdyby go była zaszczyliła jednem, przelotnem, niby jałmużną rzuconem spojrzeniem, teraz, ach! teraz byłby może zdobył się na odwagę i dotknął swoje uwielbiane bóstwo, możeby się odważył ucałować rąbek jej sukni...

Ale ona nie podniosła oczu. Zębaty łańcuch zaplątał się we włosy, ona zaś drżącemi z niecierpliwości palcami usiłowała go odzepić. Zacisnęła usteczka, a po licach jej przebiegał na przemiany szkarłat z białością, niby blask słoneczny z cieniem chmury. Długo to trwało, nim zaprowadziła porządek; ale i potem nie podniosła oczu. Zapanowało przykre milczenie. Gdzieś w dali kos gwizdał głośno, szyderczo.

Usiedli przy chwiejącym się stole, na tarasie służącym za scenę sławnym kaskadom St.-Cloud. Jeszcze się nie był ukazał

ani jeden promień wody. Na najwyższym tarasie kilku urzędników wygalowanych chodziło z poważnemi minami. Tłum czekał z nateżeniem. W coraz jaskrawszym blasku popołudniowego słońca migotały jasne suknie, błyszczały jedwabne parasolki na tle złocistej zieleni liści jesiennych, powiewały barwne wstążki, białe chustki, wachlowały rozognione twarze. Dzieci z szerokimi różowemi kokardami i obnażonemi nóżkami siedziały, kołysząc się, na ślizkim brzegu niższego basenu. I niby drugie rozjaśniające słońce, na twarzach wszystkich czekających malował się wyraz dobrodusznój wesołości.

Gdyby tylko łańcuch na szyi Lili nie świecił się tak uderzająco! jak Lou mógł wybrać coś tak potwornie niegustownego! To dobre dla jakiejś księżniczki teatralnej. To serce musiało zwrócić na siebie spojrzenia siedzących dokoła. Tak, blask jego zdawał się powiększać, chociaż odwróciła się zupełnie od słońca. Jak ogień gorzało na jój piersi.. Gdybyż mogła go się pozbyć! Lou był dobrym chłopcem, trzeba było litować się nad nim; ale cóż, kiedy cofał się przerażająco do dzikości afrykańskiej.

— Kaskady! Kaskady!

W tłumie odezwał się gwałtowny szelest, niby w poruszoném mrowisku. Wszyscy się podnieśli.—„Siedziéć!“—wołano. Przewracano szklanki z napojami; piskliwe głosy kobiece krzyczały: „Patrzcie, patrzcie! Już są!“ Rozległy się radosne okrzyki dziecięce.

Najpierw ukazał się na najwyższym tarasie tylko szereg wytryskających białych źródeł; mnożyły się one, wzrastały, rozszerzały się, piętrzyły. Słyszano już wyraźnie ich szum, mimo wrzawy widzów. Po stopniach spłynęła jasna, srebrzysta wstęga—i ta rozszerzyła się, wzmogła i wpadła z łoskotem do wielkiego basenu. Szum wzmocnił się i pochłonął wzrastający hałas widzów. Strzeliły w górę promienie brylantowemi snopami, i wznosiły się coraz wyżej, coraz śmieliej, białe, jak puch, ku błękitowi niebios. I znów nowe źródła, nowe wstęgi, nowe nie-

spodzianki. Poczęło gotować się, wrzéc i tryskać na całej przestrzeni; powstał oszłamiający, śnieżysty chaos. Orzeźwiający chłód napełnił powietrze, a szmer i szum wody był tak silny, że zagłuszał zupełnie entuzyastyczne oklaski publiczności. We mgle, która się unosiła ku obłokom, słońce kładło delikatnie zabarwione tęcze.

Lou skamieniał z podziwu, i tylko otworzył szeroko wielkie, dziecięce oczy. Jednak z jakiegoś ciemnego zakątka jego pamięci wynurzył się podobny obraz. Katarakta białych wód, które z wielkim szumem staczały się, pieniać po brunatnych kamieniach, a po nad nimi rozpięta ta sama barwna tęcza... Gdzie to było? Kiedy?... Nasyciwszy się pierwszym wrażeniem, odwrócił się do Lili. Gdzież się podział łańcuch? Nie błyszczał już na jój szyi. Z oddechem zapartym obawą, że istotnie zdjęła go podczas gry wód, Lou spojrział na nią osłupiałemi oczyma. Ach! wstydziła się podarunku Lou'a. Czyż więc go nie kocha, jego, któryby przecież życie dla niej oddał... zaraz na miejscu?

Na twarzy Lili zaigrał zakłopotany uśmiech. Rzeczywiście podczas widowiska zdjęła wolniutko łańcuch z szyi.

Lou odwrócił się znów do kaskad, tak, że Lili nie mogła widzieć jego twarzy, i znowu w jego oczach odbił się wyraz zdumienia w obec tego pieniacego się cudownego igrzyska. Gdy tak zapatrzone oczy zdawały się tonąć w zachwycie, nagle zaćmiła je wilgotna zasłona i wytrysły dwie wielkie lzy perliste, i wolno, bardzo wolno stoczyły się po brunatnych policzkach. Czy wywołał je blask osłepiający kaskady? czy téż nowy, nieznany ból, który obejmował jego serce coraz silniejszym uściskiem, tak, jak gdyby musiało pęknąć w okrzyku?... Nie, ona nie kocha Lou'a! Nie kocha go! I obie lzy toczyły się dalej.

W sześć dni później Lili zniknęła. Nie było jój — poszła! Dokąd?... Nikt nie wiedział. Czy rzemień ojcowski wypędził ją w ten rozpustny chaos, Paryżem zwany? Czy opętała ją niepokonana tęsknota do szczęścia? Czy była kroplą pochłoniętą

przez olbrzymie morze szalonego życia paryzkiego? Czy też została powołana do błyszczenia, jako klejnot w olśniewającej sali uroczystej, gdzie panują piękność i talent?

Poszła.

— Nic!...—rzekł Lou —Nic... nic!—

ROZDZIAŁ V.

I znów Paryż tonął w nieskończonym deszczu, jak wówczas przed laty, gdy Lou zajechał na dworzec Południowy. Ale dzisiaj nie było litości, któraby mu ofiarowała suche miejsce we wnętrzu powozu. Woźnica jednego z ostatnich ekwipażów skinął na niego, aby siadł przy nim na wysokim koźle, i ztamtąd Lou mógł widzieć cały sunący powoli szereg powozów, który odprowadzał zwłoki margrabiego Breteuilles'a na cmentarz Père-Lachaise.

Niebo zsyłało noc szarą, melancholijną, która wlokącemi się chmurami zapadała zwolna, gasząc wszystkie barwy, płosząc życie z ulic. Tylko blask wszystko pokrywającej wilgoci walczył jeszcze przeciw pochłaniającemu mrokowi. Wzdłuż domów jaśniały jeszcze niby dwa połyskujące pasma gładkie, jakby lodem pokryte chodniki, tu i ówdzie mieniające się, jak mora. Na pasmach tych czarne sylwetki przechodniów przesuwały się szybko, nieuchwytnymi cieniami; mokre szyby rzucały migotliwe światło, a w większych kałużach na ulicy spadające krople wirowały świetlanemi kołami.

I woźnica, obok którego Lou znalazł miejsce, promieniał ostro błyszczącemi refleksami światła; ubrany w płaszcz i kapeusz gumowy, okryty gumowym fartuchem, nie dbał o deszcz.

Ów woźnica, był to wysoki, barczysty, opasły jegomość,

z pełną godności ministeryalną miną. Jego twarz tłusta, try-skająca zdrowiem, która również zdawała się być zrobioną z gumny, była nieruchoma. Na jednym policzku odznaczała się wypukłość, spowodowana prawdopodobnie przeżuwaniem ty-tuniem.

Jakże małym, chudym i zbiedzonym wydawał się natomiast Lou! Siedział skulony, z pochylonemi plecami, wbrew swemu zwyczajowi, i drżał od zimna w cienkim, wschodnim kaftaniczku liberyjnym. Na czarnych wełniastych włosach wisiały wielkie krople deszczu, a przemokły, brunatny już prawie od wilgoci fez, ciężył mu na głowie, jak zbyt przesiąkła gąbka.

— Dlaczegożeś, mój panie, nie włożył płaszcza od deszczu?—odezwał się nagle jędrny głos basowy woźnicy.

Lou ocknął się z zadumy. „Mój panie“—powiedział... czy to do niego? Ze zdumieniem spojrział na towarzysza. Woźnica siedział nieruchomy, jak owe modelowe figury, które Lou widział w wystawie magazynu ubiorów męzkich.

— Nic!—odparł Lou pokornie po chwili.

Woźnica szybkim ruchem przesunął tytuń pod drugi po-liczek.

— Nic! *Moussou* bardzo *tobry!* Człowieki wszystko zabrać.. płaszczy, wszystko!—I dla poparcia swego „Nic,“ Lou kilkakrot-nie machnął ręką w powietrzu.

Woźnica rzucił na niego przelotne spojrzenie, i nic nie po-wiedział; po chwili skinął prawie nieznacznie głową, przyczém ze skrzydła kapelusza spadł na gumowy fartuch mały strumyk wody i rozprysnął się z pluskiem. Woźnica zrozumiał naresz-cie: sąd opieczętował majątek margrabiego, a może i płaszczy te-go marznącego chłopaka.

— To się zdarza!—rzekł po długiém milcz eniu, zakreślając batem kunsztowny łuk nad grzbietami koni.

Lou wpadł znowu w zadumę; smutne jego myśli wybiegały po za migocące dachy powozów i sztywne postacie woźniców, aż ku czterem czarnym pióropusom, zdobiącym słupy paradnego

karawanu. Jechał on ciężko, niekiedy chwiały się na nierównym drodze, a wówczas przesiąkłe wodą pióropusze bryzgały kroplami, które iskrzyły się, jak brylanty, w blasku oświetlonego okna wystawowego. Latarnie karawanu migotały bladym czerwonym światłem po przez deszczową zasłonę w ukośne pasy.

Właśnie karawan skręcał na rogu—Lou widział wyraźnie białym obszyciem okolone otwory na oczy w żałobnych derach końskich, latarnie znikły, i Lou'owi się zdawało, że cała wieczność minęła, nim się znów ukazały.

A deszcz padał ciągle, nieustannie. Rynny bulgotały swoją pieśń melacholijną, przez ulice pędziły szumiące potoki, zwolna kręcące się koła wydawały szmer niemiły, zgrzytający. Woda spływała cieniutkimi pasmami po twarzy Lou'a, która była nieruchoma, podobnie, jak surowe oblicze również deszczem oblanego spiżowego posągu, mimo którego przejeżdżał w tej chwili orszak.

Tu i owdzie światło ożywiało blednącą stopniowo jasność dzienną. Na mokrym bruku drgały żółtawo-czerwone pasma świetlane, padające ze sklepów. Wielka kawiarnia oblała olśniewającym potokiem wesołego blasku przejeżdżające pojazdy; przytęm nosiło się ztamtąd jakieś dobroczynne ciepło. Konie przyspieszyły nieco chodu,—ciepło to oddziaływało na nie, niby łagodne, zachęcające słowo.

Lou wyprostował się trochę. Błąkające się spojrzenie jego tonęło na chwilę to w tym, to w owym oświetlonym oknie. Tu—siedziała przy obiedzie cała rodzina, zgromadzona wokoło dymiących półmisków nakrytego stołu; wielka lśniąca się łyżka, rozdzielająca porce na talerze, trzymane wysoko przez okrągłe, obnażone ręczyny. Tam—płonął jasny ogień na kominku, a odemknięte okno pozwalało słyszeć syczenie płomienia i wesoły śmiech wykwinłej pary, która rozłożona na krzesłach ogrzewała sobie nogi. W innym oknie znów stała piastunka z dzieciątkiem, w koszulkę tylko ubranym; małeństwo krzyczało z uciechy i trzepoczące rączką wyciągało ku szybom, ku powo-

zom, jadącym bez końca. Ach, jakże sucho było za temi wszystkimi oknami, jak ciepło, jak rozkosznie, jak przytulnie!

— Czy macie już miejsce, moi drodzy?—zapytał nagle woźnica, nie spoglądając na Nubijczyka; słowa te miały dźwięk drewniany, niby wypowiedziane głosem automatu.

Lou milezał; ogarnął go szczególny niepokój, posuwał się na miejscu swoim to w jedną, to w drugą stronę.

— Czy macie już miejsce, pytam?—powtórzył po dobrej chwili woźnica.

Lou potrząsnął głową, a krople deszczu bryznęły dokoła.

— Nie? To radziłbym wam, mój dobry panie, żebyście koło tego pochodzili. Miejsca doprawdy nie rosną, jak gruszki na drzewie; zapewniam was!

Lou zdawał się nie zwracać uwagi, co wyprowadziło woźnicę z jego posągowego spokoju. Z gniewnym pośpiechem przesunął znów gałkę tytoniu za przeciwny policzek, i pochylony nieco nad Lou'em, z twarzą wszakże ciągle jeszcze na wprost zwróconą, zaczął go namawiać.

— Widzicie, mój stary, miałbym dla was miejsce. Na takie moglibyście długo czekać. Co się macie mordować, proszę was? Wstąpcie na służbę do mnie. Awans ten będzie wam się wydawał śmiesznym: od margrabiego na kozieł. Ale przełóżcie sobie tylko bliżej tę kwestyą. Masami do jedzenia i picia—kopcić możecie, jak komin. Będziecie żyli, jak książę. Roboty ani tyle!

I palcami wolnej ręki strzepnął wodę, nagromadzoną w małej fałdzie płaszcza.

— Ani tyle! Ma tylko siedzieć spokojnie tu na kozle i rozdziawiać gębę, tak, jak jego kuzyn, ten Murzyn drewniany w składzie cygar, tam naprzeciwko, więcej nic, nic absolutnie. Czy chce? Co myśli, he?

Lou spojrział na niego zdumiony.

— To bardzo proste, mój czarny filucie; bardzo proste. Ma mi tą swoją ciemną maską reprezentować interes. To reklama.

My nazywamy to reklamą. I on zrozumie wkrótce, co to jest reklama.

— *Moussou* nieżywy...—wyjąkał Lou żałośnie.

— No tak, do kroćset! ma się rozumieć, i już nie ożyje. był z pewnością wysmienitym panem, ale nie potrzeba jeszcze dlatego się rozczulać. Ach, jaki on głupi! nie może pojąć, co by się z tego dała zrobić za reklama... ze śmierci, ze wszystkiego.

Lou odwrócił się, ogarnięty niejasnym uczuciem gniewu i wstydu. Dobry *moussou* nie był jeszcze nawet pochowany... trzeba chociaż poczekać, aż legnie w spokoju pod ziemią... Dog *moussou* w swym milczącym żalu przez dwa dni nie wziął nic do pyska; a przecież to tylko pies, zwierzę, którego imienia ci cywilizowani ludzie używają do obelg.

Z kolei woźnica potrącił go zlekka w ramię.

— Przy takiej niepogodzie, zostanie naturalnie owinięty w gumę i gutaperkę, a w zimie otulą go futrem, tak, że będzie wyglądał, jak niedźwiedź. I cóż?

Wszystko to jeszcze nie robiło wrażenia na Nu bijczyku. Woźnica zniecierpliwiony trzasnął batem, konie przyspieszyły kroku.

— Może myślicie, że to nudna rzecz jechać tak zawsze tą samą drogą na Père-Lachaise? Mylicie się bardzo. My nie jesteśmy specjaliści od pogrzebów, robimy wszystko, wesela, chrzciny i rozkoszne wycieczki z damami i szampanem... rozkoszne, mówię wam. Pogrzeby załatwiamy naturalnie także; nie można przecież w takim wypadku robić zawodu swoim klientom: chrzcili się ich i żeni, przyzwoitość nakazuje więc, żeby ich także chować. Jak widzicie, zajmiecie nader urozmaiconą posadę...

I znów nastąpiła pauza. Orszak mijał właśnie więzienie La Roquette. Przyciśnięte do czarnych prętów małych, słabo oświetlonych kwadratowych okien, wyglądały gdzie niedzie krótko ostrzyżone głowy więźniów. Woźnica postanowił zastosować środek ostateczny, aby nakłonić Lou'a, i wyrwał się z niezgra-

buym konceptem. Pochylając głowę w stronę okna, rzekł z bladym uśmiechem na mięsistych wargach:

— Tym panom tam wcale nieźle; nieprawda?

Lou westchnął. Cierpliwość woźnicy wyczerpała się wreszcie.

— *Sacré nom de Dieu!*—zawołał,—gdybym ja się urodził z waszą pyszną czarną gębą, urządziłbym taka reklamę, że cały światby się zatrząsł!—i na znak pogardy wzruszył kilkakrotnie szerokimi ramionami.

Reklama ciągle, znów ta reklama! Co to jest? Cóż to za okropna rzecz, co odwraca uwagę z zimnym uśmiechem od otwartych grobów tych, których kochamy... Podobna myśl przebiegła Lou'owi przez głowę. Tuż przed okratowaną bramą cmentarną woźnica raz jeszcze rzucił pytanie:

— No, i cóż? Czyście się namyślili? Chcecie przyjąć u mnie miejsce?

Na te słowa ogarnęła Lou'a złość straszna. Najpierw powiedział coś, czego woźnica wcale nie zrozumiał—prawdopodobnie w swoim nubijskim języku, potem zaś z trudnością wybąkał kilka następnych wyrazów:

— Lou *moussou*... bardzo... *tochać*... bardzo!

Oczy jego rzucały iskry, a głos drżał z gniewu. Chciał powiedzieć coś więcej, lecz słów mu zabrakło, a palący ból ścisnął mu gardło.

ROZDZIAŁ VI.

Jedna gruda ziemi po drugiej spadła z głuchym łoskotem do otwartego grobu margrabięgo. Temu ostatniemu pożegnaniu towarzyszyło tylko kiwnięcie lub lekkie potrząśnięcie głową — łza ani jedna nie pociekła; tém gwałtowniej oblewał deszcz trumnę. Nie dosłyszano ani jednego westchnienia; tylko wiatr, który szumiał między cmentarnemi krzewami, zawodził żalną skargę wśród rozpaczliwie cichęj uroczystości.

Wokoło grobu stała garstka przyjaciół zmarłego, zniewieściałych hulaków, których postacie zdawały się uginać pod deszczem, niby trzciny bezsilne; grono m odnisiów z wygasłemi oczyma i wytartemi rysami, ale tém energiczniej podkreconemi w górę wąsami. Na wszystkich tych twarzach, o ile można je było jeszcze rozróżnić pod cieniem parasoli i w mroku zapadającego wieczora, niezadowolenie z niepogody malowało się wyraźniej prawie, niż żal po umarłym.

Nagle spadła większa znacznie od innych gruda ziemi, tak, iż wieko trumny zatrzesło się pod jęj ciężarem. Grabarze spojrzeli zdumieni, wyrwani ze swęj apatyi, a kilka przemokłych parasoli odchyliło się ciekawie na ten dźwięk ostrzegający, niby odgłos grzmotu.

Naturalnie to Lou! Ten pocziwy Nubijczyk! Wszak znali go oni wszyscy. Lou chciał panu swemu przesłać szczególnież szczerę pożegnanie — przecież tak się należało. A może tylko ze swą znaną niezręcznością pochwycił tak potężny kawał ziemi?

— *Moussou!* — wybiegło żałośnie z ust jego. — *Moussou, moussou...*

Brzmiało to, jak wyrzut skierowany do tego, co spał tam w dole, za to, że miał serce opuścić Lou'a tak dobrowolnie, tak przerażająco prędko.

Idąc środkową drogą cmentarza, między głośno rozmawiającymi gromadkami, Lou dosłyszał różne zdania, które mógłby prawie wziąć do siebie, ale mało zwracał na nie uwagi; zresztą większa ich część pozostała dla niego niezrozumiałą.

— Ileż on go kosztował?—zapytał ktoś.

— Wierzyciele pospuszczają nosy na kwintę. Jest on w każdym razie najcenniejszą sztuką w spuściźnie; ale nie dostaną za niego ani szeląga. Nie można go przecież sprzedać, jak konia,—odpowiedział obojętnie zapytany.

— Kochany baroniuniu!—zawołał ktoś z tyłu,—a gdybyś ty go sobie tak kupił i darował swój ubóztwianej na imieniny? Tylko takiego Murzyna nie będziesz jój mógł wręczyć, jak bukieta, z jednym z twych sławnych westchnień!

Naraz Lou zaczął nasłuchiwać pilnie. Tuż za nim mówił ktoś do towarzysza wyraźnie, ale przyciszonym głosem, tak, aby inni nie słyszeli:

— Wiesz co, ja zabiorę Lou'a, a ty weź doga.

Krew uderzyła do głowy Nubijczykowi... Nie oglądając się, poznał nosowy głos hrabiego Cabrery. Teraz pojął wszystko, zrozumiał i to, co mówili tamci... Ha! rozporządzali nim tak, jak się rozporządza martwym przedmiotem... „a ty weź doga“... Wszystkie nerwy zadrgały w chłopcu. Jakto! chcieli go rozłączyć z Zeppą. Lou'a rozłączyć z jego Zeppą?

— Wolałbym Lou'a,—odparł głos inny.

Lou poznał i ten; było głos pana de Fronsacques.

— Przepraszam cię mój drogi,—zauważył Cabrera,—takich idiotów Nubijczyków znajdziesz tuzinami, ale takiego przepysznego egzemplarza, jak ten Zeppa, ze świecą nie odszukasz w całym Paryżu. Zastąpi ci on niedźwiedzia, jeżeli tego będzie potrzeba. Czy wiesz, że ten pies naszemu poczciwemu Breteuilles'owi już raz ocalił życie, przed dwoma laty, na polowaniu na dziki w Lotaryngii. Przepyszne zwierzę, mówię ci, wspaniałe bydło! Naturalnie, zapłacić będziesz musiał... Nubijczyka miałbyś darmo...

— Niech i tak będzie!—rzekł Fronsacques.

Widocznie nie zależało mu zbyttnio ani na psie, ani na czarném stworzeniu, Lou nazwaném.

— Ale będziemy musieli się z tē m załatwić, nim nas inni uprzedzą.

— Pojedziemy tam zaraz i zabierzemy psa; weź go tylko tymczasem do siebie, z wierzycielami już się jakoś ułóżysz. A co się tycze tego czarnego malca, będzie uszczęśliwiony, że znajdzie schronienie.

Krew zastygła w żyłach Lou'a. Naprawdę serce mu bić przestało... Lou rozłączony z Zeppą? Nie, o tē m nie pomyślał nawet wśród tysiąca krzyżujących się w głowie jego pytań, co dalej pocznie?... Rozłączono go z najlepszym przyjacielem?! Niepodobna! Co za szatan podsunął ten pomysł hrabiemu Cabrerze? Czyż oni nie wiedzieli, czyż nie rozumieli, czē m dla niego był ten pies—teraz, właśnie teraz? To się stać nie może, nie powinno! Jeszcze chwilka, i Lou powziął niezłomne postanowienie: Zeppy nie porzuci, Zeppie pozostanie wierny. Coby on począł na tym szerokim świecie bez Zeppy?

Rzucił jedno tylko nieśmiałe, przerażone spojrzenie na mówiących, przecisnął się przez grupy, które szły na przedzie i długimi, kociami susami dotarł do bramy. Ztamtąd zaczął pędzić po ulicy Roquette, szybko, coraz szybciej, jak wiatr. Niebawem wszakże, gdy spostrzegł, że w tē m tempie długo nie wytrzyma, przeszedł w pedantycznie umiarkowany kłus szybkobiegacza. Skręcił na bulwar Voltaire—biegł, biegł i biegł. Woda z kałuży obryzgiwała go aż ponad głowę; nie zwracał na to uwagi, byle dalej a dalej!—Chcieli mu zabrać Zeppę!

Ludzie stawali ze zdumieniem, patrząc na tego człowieka, który ich mijał w pełnym biegu. Tu i owdzie Lou wpadł na rozpięty parasol, a wówczas rozlegały się hałaśliwe wymyślania. Policyjanci wołali za nim: „hola!“, kobiety z piskliwym krzykiem usuwały się w bok przed wodą, wielkimi kroplami padającą na ich suknie, rozbryzgiwaną na wszystkie strony szybkim biegiem

Lou'a. Przewrócił dziecko, — rozwrzeszczało się głośno. Na placu Château d'Eau, przechodząc na drugą stronę, o mało nie wpadł pod koła powozu; zrzucił fez, którego mokry chwast bił go po twarzy.

Daléj, daléj, dalej!

Najpierw pobiegł z placu drogą krótszą, ku parkowi Monceaux, tą samą, którą poprzednio przechodził orszak pogrzebowy, przez labirynt wązkich ulic. Nagle na rynku St.-Martin ogarnęła go trwoga, że się zabłąka i że przybędzie zapóźno. Zawrócił się tedy znów na wielkie bulwary, przez co nadkładał wprawdzie drogi, ale był pewien siebie. I daléj ku bulwarowi Bonne Nouvelle, wzdłuż bulwaru Poissonnière. Na chodniku z trudnością musiał się przeciskać przez tłoczących się przechodniów. Biegł tedy brzegiem, tuż nad rynsztokiem, często nawet w rynsztoku samym. Niekiędy przesunął mu się z ostrym świstem koniec bata po twarzy, a koła przejeżdżającego pojazdu obryzgały go od stóp do głowy błotem.

Jak on dyszał, jakże mu serce biło gwałtownie, jak krew w nim wrzała!... Ach, deszcz — jak to dobrze, że padał, chociaż smagał nielitościwie po twarzy. Lou otworzył szeroko usta, aby zgasić wpadającymi kroplami ogień, co piekł mu język. Para ciężkiego oddechu twarz mu zasłaniała. Dotąd zajęty był tylko sobą i swoim biegiem, teraz zaś wzrastająca trwoga zniewolila go śledzić każdy mijający go powóz, patrzeć, czy nie siedzą w nim przypadkiem ci zbóje, którzy mu zabrać chcą Zepkę. Badawcze spojrzenie iskrzących się oczu tonęło chciwie w turkoczącym chaosie najróżnorodniejszych pojazdów.

Nadjechała wykwintna kareta, ciągniona przez dwa silne gniadosze ze spienionemi pyskami — to mógł być Cabrera, on miał takie gniadosze. Lou usiłował poznać stangreta. Wszystkie kolory tęczy skakały mu przed oczyma, nie mógł niczego dokładnie rozróżnić.

Nagle we wnętrzu karety zajaśniał blask zapalki i oswie-

tlil żółtawą twarz hrabiego... rozgorączkowana wyobraźnia Nubijczyka wytworzyła to mamidło.

Kareta pomknęła dalej. Lou naprężył wszystkie nerwy, zebrał całą wolę, wszystką siłę, jaką w nim żyła, i popędził. Dogonił karete, biegł z nią razem kawał drogi... Litości, o litości!

Oto spadzisty bulwar Montmartre — Lou takim szalonym pędem leciał po pochyłości, że wyminał nawet powóz. Na dole u stóp bulwaru czarny cień zasłonił mu oczy; zachwiał się, wyciągnął ręce, szukając podpory w powietrzu i schwycił za coś wilgotnego. To łeb dorożkarskiego konia, który zdumiony wyjął mokry, kapiący pysk z przywiązanej do dyszla kubła.

„Zwierzę jest litościwe, nie prawda? Nie zabroni Lou'owi schwycić za kubeł, i chciwie, szybko łyknąć trochę wedy..“

Dziękil o dziękil!

Ale gdzie kareta? Daleko, bardzo daleko!.. Zdawało się Lou'owi, iż z głębokiej dali dochodzi go ostry odgłos kopyt gnidoszów. W drogę! Jeszcze raz zbieraj siły! Chcą cię z Zeppą rozłączyć. To się stać nie może! Nie, to się stać nie powinno... I dysząc biegł dalej wzdłuż bulwaru Haussmann'a, poczem z nieskończonym wysiłkiem, wlokąc się, suwając nogami, bez tchu, zrozpaczony, dobywając resztek sił, dostał się na bulwar Mallesherbes, gdzie sterczały poczerńiałe od deszczu, nagie jeszcze konary olbrzymich drzew parku Monceaux.

Nareszcie! Nareszcie! Tam stoi dom *moussou*.

Wychudła, wątła żona odźwiernego o mało nie runęła na ziemię ze strachu na widok wpadającego do bramy Lou'a, pokrytego błotnistą skorupą, zmienionego do niepoznania, z rzęzącą piersią i dwoma gorączkowo biegającymi ognistymi kręgami zamiast oczu.

— Zeppa... gdzie? Zeppa... jest? — wyrwało się z piersi Nubijczyka, niby jęk ochrypły.

Kobieta załamała ręce nad głową:

— Mój Boże! mój Boże! Biedny Lou zwaryował!

Rzucił się do przegrody psa, wpadł do niej—pusta! Słoma zaszeleściła... To on sam—pusta, pusta! Ze szczególnym dźwiękiem, brzęącym jednocześnie, jak krzyk i jak rżenie, wybiegł z przegrody i uderzył głową o drzwi z głuchym łoskotem.

— Zeppa nic.. Zeppa nic...—skarżył się zaledwie dosłyszalnym głosem.

Padł i przez chwilę leżał, jak nieżywy—zemdlał.

Gdy oprzytomniał, podniósł się z wysiłkiem—ukradli mu Zeppę!

— Lou nic bez Zeppy!

Zatoczył się do drwalni.

— Zeppa tu! Zeppa!

Milczenie—ani śladu psa. Wpadł do stajni. Jeden z koni zerwał się na jego okrzyk, dźwięczący prawie jak szczekanie. I tutaj nic... nic. Jeszcze jedna nadzieja. Pies leżał może przed mieszkaniem swego pana, gdzie spędzał dni w cichój żalości. Tak, musi tam być. Dalej więc na schody—jedno, drugie piętro... coś zaskowyczało. Lou powstrzymał oddech... niespodziana, bezmierna radość o mało go nie powaliła o ziemię—ach! Zeppa... to głos Zeppy! Jeszcze kilka stopni i coś ciężkiego, nadbiegającego wielkimi susami przytłoczyło Nubijczyka do poręczy.

— Zeppa... Zeppa...—szeptał Lou tak słabo, jakby z tym imieniem ulatywało ostatnie jego tchnienie. Drżącymi od wysiłku ramionami objął szyję psa, tuląc się mocno do niego, przyciskając płonąca twarz do wilgotnego pyska.

— Zeppa jest... Zeppa jest!...

Pies oblizywał mu spoczone czoło, bijąc głośno z radości długim ogonem o poręcz.

Gdy minęło pierwsze uniesienie, powróciła znów obawa, że mogą przyjść i psa zabrać. Lou ujął tedy pysk Zeppy w obie dłonie, i zatapiając głęboko spojrzenie w wiernie ślępia przyjaciela, błagał drżącymi ustami:

— Zeppa pójsć ze mną!... Zeppa *tobry!*... Lou też być *tobry!*

Pies go zrozumiał, niezawodnie zrozumiał! Inaczej czyżby zawył tak radośnie?

Wkrótce potem żona odźwiernego widziała Nubijczyka schodzącego z Zeppą; jedną ręką objął silnie szeroki kark zwierzęcia, a w oczach jego jaśniał tryumf. I tak wyszli za bramę, pies przytulony teraz do swego przyjaciela.

Na ulicy zatrzymali się przez chwilę, oglądając się dokoła. Lou odetchnął głęboko, przeciągle — to westchnienie widocznie ulgę mu przyniosło. Naraz zdala doleciał turkot powozu. Niezwłocznie ruszyli w drogę. Lou trzymał Zeppę za obrozę, i szli śpiesznie, biegli prawie wzdłuż ulic, bez namysłu, byle dalej, precz z tego straszliwego Paryża! Szli bez odpoczynku. Latarnie stawały się coraz rzadszemi i w końcu znikły zupełnie, a wielka ciemność i gwałtowna ulewa ogarnęły zbiegów.

ROZDZIAŁ VII.

Odtąd ślady Lou'a i jego przyjaciela prawie się zatarły. Kiedy niekiedy żandarm jaki, donosząc do biura swego okręgu o różnych przestępstwach i kradzieżach, wspominał, że na gościńcu w pobliżu takiego a takiego miasteczka zatrzymał czarne indywiduum z bardzo dużym psem; indywiduum nie miało wprawdzie żadnych papierów, ale je puścił, gdyż nie wydawało się niebezpiecznym. W każdym razie człowiek i pies musieli pochodzić z budy jarmarcznej.

Wielkich gościńców niewątpliwie unikał Lou, gdyż tam goniła za nim ciekawość; zbliżyć się do niego wprawdzie nie śmiała, a to z powodu niebezpiecznie wyglądającego psa—olbrzyma.

W nocy zachodził do pokątnych oberży; gospodarze opowiadali niekiedy o szczególnych gościach.

Tak, doprawdy, zachowywali się szczególnie!

Na dziedzińcu dreptało coś, idąc po omacku. Gospodyni, kołysząc się, pośpieszyła na wywiady, a gdy zobaczyła czarnego człowieka z wielkim psem, cofnęła się.

— Marciniel!—zawołała na męża.

Lou kiwnął głową, pokazał zęby, chciał wyglądać uprzejmie, ale mu się to nie udało.

— Czego chce?—krzyknął Marcin.

Pies ziewając, otworzył paszczę, wielką, jak labirynt, przestraszona gospodyni skubała męża za rękaw.

— Miskę jeść! Miskę chcieć, pani!—rzekł Lou, przyczém wysunął dłoń z monetą.

— Miska *tuża*, bardzo *tuża*! — dodał.—Głód *tuży*, bardzo *tuży*!

I rękoma zakreślił w powietrzu koło, mające być miarą wielkości miski, tak, że wszyscy siedzący w oberży roześmieli się głośno i zawołali go do izby.

— Nic,—odrzekł Lou, poszedł ze swoim towarzyszem do komórki na dziedzińcu i tam usiadł.

Przyniesiono mu miskę.

— Chleb... nie dużo, mały!—zamawiał dalej.

Goście z izby zaczęli mu się przypatrywać, i zobaczyli, co następuje: Lou siedział skulony tuż przed miską, stojącą na ziemi. Pies wsunął łeb głęboko w miskę, żarł i chlipał chciwie, a Nubijczyk, oparłszy podbródek na dłoniach z natężoną uwagą śledził każdy ruch zwierzęcia. Na twarzy jego malował się wyraz słonecznej szczęśliwości. Wtém pies przestał jeść, bo pewnie był syty; wówczas Lou zachęcał go i głaszcząc, wepchnął mu przemocą łeb do miski i trzymał dopóty, dopóki zwierzę wszystkiego nie wylizało. Potém dopiero wziął Lou suchy chleb, który kazał sobie podać, i zaczął go gryźć wspaniałemi zębami.

— Chryste Panie, jak to być może! — zawołała gospodyni. — Taki pies! I taki człowiek!

Wprowadzono Lou'a do izby; dano mu jeść — przyjął z wahaniami; nalano mu wina, bawiono się nim, śmiano z wysiłku, z jakim wydobywał swój niewielki zapas wyrazów. Musiał pić coraz więcej i więcej, aż w końcu spojonego zupełnie zaniesiono na posłanie.

Gdy nad ranem obudził się ze snu gorączkowego i wśród zmierzchu zaczął macać rękoma, znalazł miejsce obok siebie puste. Zerwał się, jak dzikie zwierzę, i stanął z zaciśniętymi pięściami, przewracając groźnie oczyma.

— Zeppa! — ryknął — Zeppa... a... a! — tak głośno i przejmująco, że cały dom obudził się przerażony.

Czego chciał? Przecież pies jest — w ciągu nocy wybrał sobie inne miejsce do spania. Gospodarz oburzony tą przerwą snu, rozkazał krzykaczowi wynosić się coby prędzej...

Od owego wieczora Lou, jakkolwiek go często do tego namawiano, nigdy już nie wypił ani kropli odurzającego napoju, z obawy, aby upiwszy się, psa nie zgubił. Do snu układał się tuż obok zwierzęcia, trzymając jedną ręką okutą obrozę. Niekiedy znajdowano go z głową leżącą na łbie psa — było to wspomnienie skóry niedźwiedziej u *moussonu*.

Przez jedno całe lato żywił Lou swego przyjaciela dużemi miskami. Wszak miał psu dług do spłacenia za owe niezaspokojone razy — poprzysiągł sobie, że mu to wynagrodzi. Z początku zamawiał i dla siebie jedzenie, ale niebawem spostrzegł, że jego niewielki zapas pieniędzy niknął straszliwie szybko. Zadawał się tedy nadal kawałkiem chleba, pozwalając psu najeść się do syta. Czasem tylko, gdy miska była wyjątkowo duża, zdarzało się, że zanurzał łyżkę w strawie dla psa zgotowanój.

Potem nadszedł czas, że zamawiając miski, Lou nie kładł już nacisku na to, żeby były „tuże, bardzo tuże“ — płacił za nie z wahaniami, wdychając ukradkiem. Dręczył myśl swoją niustanném obliczaniem, ile też misek może jeszcze kupić Zeppie za

pozostałe pieniądze. Ach, pies nie troszczył się o te rachunki! Żarł i żarł z wielkim apetytem, i zdawało się, iż umyślnie nie zwracał uwagi, że zachwył Lou'a nad tym jego apetytem stopniowo ustępował miejsca zaniepokojonemu, a w końcu bardzo strapijonemu wyrazowi twarzy. Głód Zeppy zdawał się rosnać—to przerażało Lou'a. Co się stanie, gdy ostatnia moneta będzie zamieniona na „dużą miskę?“ Lou usiłował często napomknąć psu o tém—ach! pies go nie rozumiał i żarł. W końcu powiedział mu to otwarcie, tonem wzruszająco łagodnym i czułym:

— Zeppa poczciwy... Zeppa *tobry* być... Lou kochać...

Pies odpowiedział głośném skowyczeniem.

— Zeppa *tobry*. Ale Zeppa za dużo jeść. Zeppa pieniądze wszystkie zjeść. Lou niedługo nie pieniądze mieć... Zeppa, Lou pójsć zebrać.

Pies ciągle jeszcze nie rozumiał i zawył zcicha, uradowany czułym tonem przyjaciela.

Przyszła ostatnia „duża miska.“ Głośne chlipanie jedzącego psa zagłuszało westchnienia, jakimi Lou objawiał swą troskę. W rękę trzymał medalionik i obracał go nieustannie—gdyby go sprzedać, ile téż misek możnaby za to kupić?... Nie, tego zrobić niewolno, toć to ostatnia pamiątka po dobrym *mousson*, spadła z jego przestrzelonej piersi. Nie, lepiej pójsć zebrać.

I niebawem widziano Nubijczyka zebrzącego—Lou zebrzącego dla Zeppy. Nie była to rzecz łatwa. Bo gdy ludzie odmówili proszącemu lub krzyknęli szorstko na niego, wówczas odzywało się groźne warczenie psa. Zeppa z głodu pewnie stawał się takim dzikim, chociaż Lou, jak mógł, starał się ów głód zaspakajać. Dla ludzi wyglądało to na gwałt i wzywano policyi do obrony. A wtedy rozpoczynało się szalone uciekanie, wymykanie się, ukrywanie w wilgotnych, tonących w ulewie lasach, włóczenie się wśród łąnów śniegiem pokrytych, gra w chowanego w posępnych łomach kamieni. Dokuczał mróz i głód,

ogarniała obu gorączkowa trwoga o tę trochę nędzną, mizerną wolność.

ROZDZIAŁ VIII.

Ponad lasem, do którego Lou i Zeppa zmierzali pewnego popołudnia wiosennego, zbierała się burza. Powoli, wsuwając się srebrzystym rąbkiem w szare obłoki, nadciągała stalowa wielka chmura i kładła się tuż nad majestatycznymi kopułami dębów. Słońce było takim jaskrawym, żółtym blaskiem, że liście odcinały się od ciemnej chmury ostro, jak bronz pozłacany. Chłodny wiatr poruszał zlekka gałęzie. Nagle z szepczącego szumu lasu podniósł się przeciągły głuchy łoskot. Nubijczyk i pies skierowali się przez pola, przez brunatne świeżo przewrócone brzozy, o lśniącej powierzchni. Szli z wysiłkiem, dysząc głośno, śpiesząc znaleźć schronienie przed nadciągającą ulewą. Pies wywiesił ociężały język, parujący, kapiący potem.

Naraz Zeppa zatrzymał się, nadstawił uszu; a ślępa jego zajaśniały. Co to? — wśród łoskotu burzy odzywał się jakiś stłumiony ryk, coraz wyraźniej — teraz zagłuszał już nawet grzmoty i rozbrzmiał hałaśliwymi dźwiękami, spotęgowanymi przez echo leśne. Pies stał, oglądał się bystro, schował szybko język, dysząc coraz silniej i nagle zaszczekał głośno w stronę lasu. Odpowiedziało mu inne szczekanie — mogło to być echo. Wtém odezwał się ptak przeraźliwym skrzekiem, zarżał koń, dało się słyszeć wołanie głosów ludzkich, pomieszanych z różnymi piskliwymi, szczekającymi i wyjącymi tonami.

Psa niepodobna już było dłużej utrzymać — gwałtownym ruchem wyrwał się z pod głaszczającej dłoni Lou'a i popędził ku lasowi, a Lou za nim, po trzeszczących gałęziach krzaków, do-

póki go nie odszukał. Ukryty w gęstwinie zarośli stał Zeppa, drząc gwałtownie, bardzo wzburzony—zdawało się, iż z trudnością powstrzymuje szczekanie.

Przed nimi rozciągała się w zielonawym mroku zasłana gęstą, obficie ukwieconą trawą polanka. Wysoko, otaczając ją ze wszystkich stron, wznosiły się nakształt wielkich kulis posępne ściany lesiste, w których każdy otwór między czarnymi pniami wypełniony był przez gęste krzaki; w górze, niby rozpięty dach namiotu, przesuwiała się ciemna chmura, tak, iż całość tworzyła niejako wielką salę, w której każdy ton podwójnie silnym odbijał się echem.

Na trawie obozowała menażerya wędrowna. Uszykowane w półkole stały niskie wozy z klatkami, a za żelaznymi kratami przeróżne zwierzęta biegały w niepokoju. W środku syczało ognisko, przy którym kilka kobiet przygotowywało strawę. Konie, wolne od wszelkich więzów, pasły się w trawie; na niższej położonej części polanki, gdzie wśród wysokiego sitowia szemrał strumyk, przywiązana do drzewa z boku zebra stawaniem co chwila dęba gniew swój okazywała. Na drodze prowadzącej do polanki pracowano nad podniesieniem przewróconego wozu, którego mieszkańców prowadził wielki mężczyzna bez surduta; na sznurku trzymał wielką tygrysięcę, a pięcioro tygrysiątek laziło mu po rękach, gramoliło się aż na ramiona, otwierając szeroko pyszczki żalonym miauczeniem. Matka szła bez oporu, warcząc z cicha, z nawpół otwartym pyskiem, zwróconym ku człowiekowi, niosącemu jój dzieci.

Nagle, tuż mimo Lou i Zeppy przebiegło coś, sadząc wielkimi susami po wysokiej trawie. Był to strus, na którego szerokim, elastycznym grzbiecie siedział, niby na koniu, zaledwie przyodziany chłopczyzna, obejmując rączynami cienką i długą szyję ptaka. Nareszcie za dużo już było tych wszystkich dziwów dla Zeppy. Wypadł z kryjówki i z głośnym szczeaniem rzucił się ku strusowi. Ten pędził, wydając przeraźliwie, krótkie krzyki; podrzucany w górę chłopczyzna wrzeszczał o pomoc; Lou

biegł za nimi, wołając i wymyślając psu, i tak gonili się wzajemnie dokoła obozu. Gdy p'ies nakoniec dogonił ptaka i podskoczył ku niemu, zostało mu w pysku wielkie pióro, co spostrzegłszy, zrobił sobie z tego zabawkę i podskakując raz po raz, wyskubywał jedno pióro po drugim. A wiodło mu się coraz lepiej, coraz większego spustoszenia dokonywał w ogonie strusia, pomimo iż ptak przeraźliwie skrzeczał z bólu. Cenne pióra wiorowały dokoła—powstało ogólne zaburzenie.

Zaczęto gonić skowyczącego z uciechy przestępcę, każdy uzbrojony bądź w kij, bądź w bat, a jedna z kobiet nawet wywijała warząchwią. Szalona to była pogoń w około klatek, których mieszkańcy brali w zaburzeniu coraz głośniejszy udział rykiem, wyciem, wściekłymi skokami; echo zaś odpowiadało drugim hałaśliwym chórem. A w górze ponad kołyszącymi się z lekka wierzchołkami drzew zataczał się spokojnie, majestatycznie przeciągły łoskot grzmotu.

Nareszcie Nubijczyk schwycił psa, który trzymał właśnie w zębach jedno z najwspanialszych piór, i bynajmniej nie miał ochoty puścić swój zdobyczy, chociaż go Lou usiłował do tego zmusić szarpaniem i wrywaniem. Grono goniących chciało bić psa, przeciw czemu znów Lou bronił go plecami i rękoma, w końcu byliby sobie to wynagrodzili na jego osobie, gdyby nie wpadł między nich właściciel menażery.

Był to mężczyzna mały, barczysty, z twarzą pulchną, czerwono-brunatną, krótko przystrzyżonemi, jak szczecina, siwymi włosami i sztywną czarną bródką. Z pod wysoko zawiniętych rękawów koszuli widać było potężne bicepsy, z których jeden pokryty był od strony wewnętrznej niebieskimi znaczkami. W rękę trzymał wielką długą kość, wyjętą tylko co ze świeżego mięsa, rozdzielanego zwierzętom, tak, że lśniła się jeszcze od wilgoci, i wywijając tém szczególném berłem, zapytał Lou'a z kądem jest, co za jeden i dokąd idzie?

Nubijczyk z żalną miną wzruszył ramionami. Obcując od dłuższego czasu wyłącznie ze zwierzęciem, utracił znaczną

część swego zapasu wyrazów i lakoniczne „nic“ częściej niż kiedykolwiek musiało zastępować odpowiedzi na zadawane pytania. Skoro tylko wszakże w dobroduszenie zakłopotanym uśmiechu ukazał cały przepych swych olśniewających zębów, wygrał sprawę. Sprytny *signor* Pimento, mający przedewszystkiēm na widoku interes, pojął odrazu, że takimi zębami można wywrzēć niepospolite wrażenie i osiągnąć niemałe dochody.

Postanowił więc tego dziwaczego włóczęgę pozyskać bądź co bądź dla swojej budy. Brutalnēm dotknięciem szerokiej dłoni obmacał badawczo ramiona i pierś Lou'a, i przekonał się, że młodzieniec jest wprawdzie zbiedzony tułaczēm życiem, ale w przeciągu bardzo krótkiego czasu może być „odkarmiony“ tak, iżby służył jego celom. Rozkazał tedy dać jeść „panu,“ jak nazwał oszarpanego Lou'a.

— Jeść, dużo, porządnie, słyszycie!—i kościstēm berłem wskazał w stronę dymiącego się kotła.

Lou zrozumiał. Ach jeść, dużo jeść! Co za rozkoszny dźwięk w tych słowach!.. Wyrzaz słonecznej radości opromienił twarz jego. Wskazał na psa:

— Bardzo głód, wielki głód!

Signor Pimento zadecydował, że olbrzymi dog nieźle się wyda w jego menażeryi, i rozkazał dać psu także obfitą porcyą.

Niebawem Zeppa zajęty był obrabianiem potężnej ćwiartki mięsa, którą mu rzucono. Oprócz tego Pimento ofiarował mu kościste berło, w obec którego wszakże druzgocząca moc zębów Zeppy okazała się bezsilną; zawłókł tedy w końcu kość w krzaki, aby tam obmyśleć ostateczny na nią napad.

Wkrótce potem siedział Lou w kole jedzących przed napełnioną misą blaszaną. Wszyscy z uciechą patrzali, jak łykał chciwie, jak gryzł zajadłe wielkimi zębami. *Signor* Pimento zachęcał go ciągle do jedzenia, jak gdyby postanowił tak odkarmić wychudłego biedaka, iżby do wieczora nabrał ciała. Inni szli za przykładem dyrektora, i Lou rozpaczał już prawie, czy będzie w stanie podolać wszystkim dobrem kęskom, jakie mu się ze

wszech stron dostawały. Niekiedy przerywał jedzenie, aby odetchnąć, i wówczas wodził dokoła badawczym wzrokiem.

Do zadowolenia z zaspokojonego głodu przyłączyło się jeszcze błogie uczucie, że go los z gościńca rzucił między ludzi niebardzo od niego różnych. Były tam brunatne głowy męzkie z wytartymi rysami, osadzone na szerokich, bawolich karkach, ciemnowłose kobiety, piękne urodą dziką, z twarzami wyuzdanemi i pełnemi kształtami, niezbyt starannie przykrytemi; dzieci, z oczyma iskrzącemi, jak brylanty, kościste, silnie zbudowane, czołgały się na czworakach między miskami, sięgając rączynami to tu, to owdzie, po smaczny kąsek.

Strój całego towarzystwa, pomimo iż wszyscy byli nawpół rozebrani, nosił na sobie różne fantastyczne ślady, które przypominały Lou'owi jego dawniejszą, wschodnim krojem zrobioną liberyą. Jaskrawe barwy były naturalnie wyblakłe, frendzle potargane, arabeski zaś wyszarzane.

Jeden z męczyznu miał na głowie fez, inny naszytą świecidłami opaskę; na grubój szyi otyłój brunetki błyszczał pozłacany łańcuch w szerokie ogniwa, że aż przypomniał Lou'owi o kaskadach w St.-Cloud i o owém iskrzącem się sercu, którego się Lili tak wstydziła... A jak ci ludzie zabierali się do misek, jak łykali chciwie! rzekłbyś, że się nauczyli tego od dzikich zwierząt: Nie, tutaj Lou nie potrzebował się wstydzić swego wielkiego głodu.

Kilku bardzo godnych uwagi gości brało udział w biesiadzie. Tygrysica szarpała i gryzła z trudnością żylasty ochłap mięsa, mrużąc z zadowolenia, a z klatek dochodził głośny trzask łupanej kości. Obok matki, pięć tygrysiątek zajętych było miską pełną mleka, chlupało chciwie pyszczkami, niekiedy wpadła do białego płynu niezręczna łapka, obryzgując śnieżnemi kroplami całe towarzystwo. Siedział tam także jeszcze stary jegomość z filozoficzną miną i bardzo wykwintnemi manierami — *monsieur* Sim, szympans. Drżał z zimna, pomimo grubego i nazbyt obszernego płaszcza, który miał na ramionach. Szympaus był

przedmiotem ogólnej uprzejmości, a sam silił się, by w obec pożyteczności całego grona dowieść, jak apetycznie i elegancko umięją jeść w wyższym małym towarzystwie.

Burza przeciągnęła bokami, i tylko zdążyła dochodzić głuchy jej łoskot. Raz jeden chmura bryzgnęła kilku kroplami, — wleciały z sykiem do gorącej strawy w miskach i spadły niespodzianie na obnażone karki kobiet, które krzyknęły przeraźliwie, a wszyscy wysłali ku górze, niby zakaz, głośnie: „Ho!... ho!...“

Po biesiadzie, trzy kobiety zabrały się do polatania oskubanego strusia. Zeppa oporządził go niemilosierdzie, a w takim stanie, z przeglądającymi tu i ówdzie z pod piór gołemi kawałkami cielska niemożna go przecież było pokazać publiczności. Kobiety zaczęły tedy zebrane starannie pióra przyszywać do pozostałych, śmiejąc się i chichocząc, a strus żalonym wrzaskiem towarzyszył tej operacyi.

Dalej z boku muzykant kompanii wygrywał ćwiczenia na rogu, a echo leśne z kilku stron trąbiło z nim razem, i wśród tej muzyki stanął kontrakt z Lou'em — kontrakt to był jednostronny, przy którym Lou ciągle tylko mówił: „tak“ lub kiwał przytakująco głową.

— Zostaniecie u nas, he? — zaczął *signor* Pimento, mrugając lewem, znacznie mniejszym okiem. — Menażerya Pimento jest *illustrissimo* w całej Europie łącznie z Ameryką! Jest ona najpierwsza i największa na całej kuli ziemskiej! Nie możecie nic lepszego zrobić, *figlio mio*.

Lou spojrział ukradkiem na okazałe resztki w swęj misce, i skinął z wyrazem zadowolenia, którego ukryć nie umiał.

— Nazywacie się Lou, he? *accidente!* Lou... Lou...

I *signor* Pimento powtarzał imię na wszystkie tony, aby wypróbować dźwięk jego.

— Lou to dyabelnie krótkie imię. Lou to nie jest! Dlaczego nie nazywacie się lepiej A albo B, albo Y, albo X? Lou to takie małe imię, że je można zgubić. Lou nic nie mówi *per Baccho*, na Lou nikt mi się nie złapie. Musicie się przezwąć

inaczêj. Wstydby wam było przed zwierzętami tego imienia! Jak wam się podoba np. Auakadauba albo Titirongolo, coś w tym rodzaju, he?

Lou wytrzeszczył oczy ze zdumienia i skinął głową.

— Bez obrazy... ale przecież mu to dyabelnie wszystko jedno przy jego ciemnym kolorze, czy będzie się włóczył po świetle żółty, czy czarny. *Dio di Dio!* doprawdy to wszystko jedno! Ufarbują go bardziej na czarno, *capisce?* Ten odcień nie popłaca. Musi być czarny, jak smoła, czy słyszy? inaczêj *realmente* nie mogę go zużytkować.

Lou jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy, i powtórnie skinął głową.

— Bez obrazy, *carino...* ale przecież mu to dyabelnie wszystko jedno, czy pochodzi z Afryki albo z Australii, albo czy nawet spadł z księżycy, he? Ja potrzebuję dzikiego, bardzo dzikiego, jak bestya, *capisce?* Miałem prawdziwego dzikiego, który się nazywał Auakadauba i pożerał wam człowieka, jak chleb z masłem. Tutaj naturalnie musiał się wyrzec swój ulubionêj potrawy z powodu policyi. Żarł więc tylko żywe gęłbie. Nagle napadła go *melancholia* i umarł.

Lou nie wszystko rozumiał i tylko wyszczerzał wielkie zęby.

— *Sangue di Dio!* Jakie wy macie zęby, *meraviglia*, musicie nimi zrobić *furore*. Jesteście, jakby stworzeni na ludożercę... Tylko gębę zawsze szeroko otwierać!... Pokażą mu, jak pożerać żywe gęłbie, *capisce?* To ci będzie wspaniała *commedia!*

Lou skinął głową.

— Nauczą go łykać ogień. Bagatelka *figliuolo mio*; nie gorętszy od tego *pranzo* tam. Czy umie wrzeszczyć, wyć, ryć, he?

Lou skinął głową skwapliwie.

— No, to go nauczą *grido di guerra*. Monsieur Gingo weźmie go pod swoją opiekę. Do kroćset zrobimy z niego takiego bestyę ludożercę, że go i dyabeł nie pozna!... Tylko musi

jeść, słyszy? Musi się wypchać! Tak, jak teraz wygląda, nie można z nim paradować... Jeść, żrąć, co się zmieści, słyszy? Cały dzień będzie musiał jeść. Czy jest jeszcze głodny, he?

Lou nie wiedział, jak ma wyrazić zdumienie z téj nagłej zmiany losu. Cud się stał, czy co?

— Czy zgadza się na wszystko?—zapytał w końcu *signor* Pimento.

Zęby Lou'a zajaśniały tak radośnie, że wszelkie słowa były zbyteczne. Wtém nadbiegł Zeppa. Lou zerwał się, pośpieszył na spotkanie psa, schylił się, i wzruszony gwałtownie objął jego szyję:

— Ach, Zeppa... *tobrze*, wszystko *tobrze*! Zeppa znów *tuże* miski. Już nie iść żebrać!

Wieczorem wskazano Lou'owi i jego przyjacielowi postanie na pustym wozie, jako kołdrę dostał skórę—starą wprawdzie i wyszarzaną, lecz Lou czuł dobrze, iż była to skóra niedźwiedzia.

— Ach, Zeppa, Zeppa! niedźwiedź!

Jakże czule głaskał skórę! jak swojską mu się wydawała! z jaką lubością wyciągnął na nią znużone członki!... Spał znów na skórze niedźwiedziej — stare czasy wróciły — wszystko znów będzie dobrze.

ROZDZIAŁ IX.

Ponad polanką rozpostarła się noc czarna i duszna, pełna podniecających tajemnic, tak, iż Lou nie mógł zasnąć zwykłym snem mocnym, i budził się co chwila. W wozie sypialnym skończyła ostatnia rozmowa między ludźmi, a z kolei zaczęły się wyrzucać z ciemności przeróżne dźwięki i pierzchały niby widma.

Sapiący ciężko oddech dzikich zwierząt unosił się ponad

obozem, to słabnąc, to się wzmagając; tu i ówdzie odzywało się stłumione dyszenie, ulatywało potężne westchnienie, dał się słyszeć skowyczący świst. Wóz Lou'a stał w rzędzie klatek zwierząt drapieżnych. Nubijczyk słyszał, jak ciężkie ich ciała zmieniały położenie we śnie, jak się przewracały, wyciągały, jak uderzały z głuchym łoskotem, tak, że klatka jęczała na zawiasach. Słyszał wyraźnie, jak gęsta sierść pocierała się o prety żelazne, jak szpony potężnej łapy przesuwały się ze zgrzytem po ziemi. To znów dreptało coś lekkim krokiem, zatrzęsała się z szelestem grzywa, rozpostarły się z warczącym hałasem skrzydła drapieżnego ptaka.

Dokoła nad tym całym chaosem zmieszanych dźwięków zwierzęcych panował uroczysty, jednostajny, dalekonośny szum koron dębowych. Silnemi głosami przesuwał się wśród wysokich wierzchołków, rozpościerał szerokiemi, spokojniemi falowaniem wdał, konając z cicha w dolinie. Poblizki strumyk odzywał się wesołemi bulbotaniami, skacząc po kamieniach i pieszczotliwym szmerem przesuwał się między sitowiem. Następnie słowik zaczął swój śpiew zawodzić — najpierw wyrzucił kilka namiętnych wabiących tonów, potem przeszedł w tęskne adagio i umilkł, a potężny szum rozbrzmiał znów samowładnie.

Po przez ten szum Lou słyszał dolatujące go zdala szczełkanie psów okolicznych miejscowości; wietrzyły one menażeryę. Nagle jakieś zwierzę zerwało się ze snu z ochryplym, groźnym jękiem; inne odpowiedziało i powstało warczenie, parskanie, rozległ się zgrzyt zębów, ryk stłumiony. Lou ujrzał wśród ciemności dwoje wielkich okrągłych oczu, świecących zielonawem, fosforyczniemi światłami — a potem zobaczył cztery takie gwiazdy, które zdawały się sypać iskrami; po chwili pochłonęła je noc czarna.

Gdy Lou leżał tak w półśnie, nastuchując, zakradło się do duszy jego wspomnienie z lat dziecinnych, stało się stopniowo wyraźniejszym. i wreszcie zupełnie jasno stanęło mu przed oczyma.

Było to w noc inną — potężniejszą, jakąś, nieskończoną. Na

olbrzymiej wysokości rozciągało się w górze niebo, z którego gwiazdy zsyłały białe, drgające światelka. Mężczyźni podsyca-
li bardzo pilnie ogień, tak, że iskry skakały wysoko ku niebu,
jak gdyby chciały do gwiazd się przyłączyć. Syczący żar oble-
wał twarze mężczyzn złotawo-czerwonawym blaskiem; oczy ich
błyszczały, a oni wydawali przeraźliwe okrzyki, niekiedy wysu-
wali drągi z ognia i grozili niemi w noc ciemną, wrzeszcząc gło-
śno dzikie wymysły. Bo wokoło ogniska rozlegało się wściekłe
wycie; ochrypla szczekająca horda wirowała w szalonym pędzie,
a ziemia trzęsła się od ogłuszającego ryku.

Gdy hałas wzrastał się zbyt, wówczas jeden z rozpalo-
nych drągów wpadał między zgłodniałe bestye, niby rakieta, sy-
piąc pasmem iskier. Tymczasem na widnokręgu wschodził księ-
żyć krwawy i rósł ciągle, aż w końcu zamienił się w wielką,
ciemnym ogniem płonąca tarczę, która oblewała niezmierną
kamienistą pustynię posępnem płowem światłem...

A teraz wynurzyło się inne wspomnienie.

Wśród żaru słonecznego wędrował skupiony oddział jeźdź-
ców. Brunatne twarze, z wrogim, ponurym wyrazem wyglądały
z pod białych burnusów. Wszyscy milczeli, ani jedno słowo
nie przebiegło z konia na konia; jednostajny odgłos kopyt, ude-
rzających o twardą ziemię, panował jedynie wśród olbrzymiej
pustki.

Niekiedy piękna twarz kobieca, z wielkimi, czarnymi, błysz-
czącymi, jak gwiazdy, oczyma, schylała się do Lou'a, koralowe
usta szeptały do niego czule wyrazy. Takich wyrazów od owego
czasu więcej nie słyszał...

I tak trwało przez kilka długich godzin, szli wśród powie-
trza drgającego od niewidzialnych płomieni. Nagle podniosły
się głosy między jeźdźcami; zatrzymano się, naradzano w gwał-
townych, z pośpiechem wyrzucanych słowach, i ruszono naprzód
szalonym galopem.

Malec spoczywał przytulony do łona matki, a rączkami
aczepił się jej szaty, pędzono bowiem bez pamięci. Niebawem

powstał zamęt — padły strzały—rozległy się przeraźliwe groźby—konie spinając się, parskały dziko; Lou coraz bardziej przerażony tulił się do matki.

Naraz ta wypuściła z objęć dziecko, przeginając się w tył z ostrym krzykiem—nastąpił upadek z wysoka i gwałtowne odbicie się od kamieni. Coś gorącego popłynęło po twarzy Lou'a, i oczy mu zasłoniło — odeszwało się jeszcze rżenie, Lou usłyszał jeszcze jedno konające westchnienie i zastrzelona matka legła bez ruchu. Wkrótce potem szorstkie ręce podniosły Lou'a. Dopiero nad wieczór obce kobiety, mówiące niezrozumiałym językiem, obmyły krew serdeczną matki z płaczącej twarzyczki..

Z przesuwających się widziadeł tych wspomnień, które go w końcu do snu ukołysały, zbudziło Lou'a jaskrawe, białe światło, które zalało polankę. Burza powróciła. Grzmoty zadaczały się ponad lasem, drzewa szumiały głośno skrzypiącemi, naginającemi się ku sobie gałęziami.

Wszystkie zwierzęta w obozie były na nogach. Ze wzrastającym niepokojem hałasowały w klatkach, wstrząsały żelaznemi kratami, odbijały się o drewniane ściany, jak gdyby usiłując wysadzić i szukać tamtędy drogi do ucieczki przed płonącą błyskawicą, co ich doprowadzało do wściekłości. Łańcuchy brzęczały, jęczały sprężyny wozów pod ciężarem szalonych skoków. Błyskawica padała w coraz krótszych przerwach, a każdy nowy płomień powiększał chaos przeraźliwych dźwięków, jakie trwoga wyrywała z piersi zwierząt.

Wycie, skowyczenie, skomlenie prześcigało głuchy łoskot grzmotu wyższemi tonami, gniewny ryk zaś zdawał się współzawodniczyć z trzaskającemi uderzeniami piorunu. Ziemia i niebo złączyły się na ten hałas piekielny. Tylko przejmujące wrzaski wielkiego ptaka odcinały się ostro, niby wysokie nóty przekrzywanego tenora, od ogólnej wrzawy.

Nagle spadła z nieba ulewa, z metalicznym szelestem, przypominającym sypanie śrótu. W obec tego nowego, niespodzianego zjawiska, przerwał się ryk, umilkło wycie i słychać było

tylko potężny szum deszczu i odgłos coraz groźniej toczącego się grzmotu.

Stopniowo dopiero klatki ożywiły się. Hyena zaczęła szybko zgrzytać zębami, a brzmiało to, jak posępnie szczebiotliwa mowa obłąkanego; jaguar wyrzucił swoje straszne przeciągłe: „Hu—hu!“ Z klatki małą dochodziły piskliwe, bojaźliwe dźwięki gardłowe, a szakal sapiąc, wietrzył chciwie. Z kolei rozpoczął lampart swe wstrętne rechtanie, a po nim odezwał się lisy, szcekkając coraz zajadłej, i rozległ się nanowo wielki chór piekielny, jak gdyby czekał tylko na ten przeraźliwy sygnał.

Tym razem wszakże podniósł się z całego chaosu ryk, który wzrastającą swoją potęgą zapanował nad wszystkimi innymi głosami — nad deszczem, nad burzą, nad zgiełkiem lasu i zwierząt. Był to ryk lwów—i czego nie dokazał grzmot tam w górze, tego dokonał wściekły gniew króla zwierząt. Zdawało się, iż wszystko drży przed tym gniewem — powietrze, ziemia i wóz, w którym Lou spoczywał. Zeppa, odważny Zeppa, skulony u stóp Nubijczyka, drżał tak gwałtownie, że Lou musiał użyć całego zapasu wyrazów, by go uspokoić.

Naraz stało się coś, przed czém i Lou zadrżał także.

Dotychczas drgające błyskawice i nagłe przejścia od ciemnej nocy do białego dnia były tak oślepiające, że oczy Lou'a nie mogły nic rozróżnić, prócz zamętu biegających gorączkowo rozjątrzonych zwierząt. Nagle wielki blask zatrzymał się nad polanką i zapanował przez kilka sekund olbrzymią migocącą światłością. I wśród tej światłości Lou dojrzał wysokiego mężczyznę, stojącego w jednej z klatek. Ubrany był jasno, a twarz jego trupio bladą się wydawała w tym jaskrawym blasku. W ręku miał podniesioną szpicrutę, usta jego poruszały się—przemawiał do zbitych w kłęb tygrysów, a one wiły się, czółgały wyjąc przed potęgą jego spojrzenia, pod urokiem słów jego.

Wtém jeden z tygrysów odsadził się groźnie do skoku—oczy mężczyzny otworzyły się tylko trochę szerzej, rozległo się

głośniejsze, dźwiękiem do ciosu podobne słowo, i zwierzę znów czołgało się, wyjąc razem z innymi w kącie.

Potém zaległa znów noc czarna, głęboka.

Ale wysokiemu mężczyźnie nie groziło żadne niebezpieczeństwo! Tygrysy, tam w klatce wiedziały i zwierzęta w innych klatkach także, iż mężczyzna ów wywoływał błyskawice i grzmoty, kazał sypać deszczem z nieba... Mężczyzna ów mógł ich zabić swym wzrokiem—i o tém wiedziały.

ROZDZIAŁ X.

Leu okazał nadzwyczajne zdolności do odgrywania przeznaczonęj mu roli dzikiego, i *signor* Pimento był zachwycony szczęśliwym nabytkiem, jaki mu przypadek nastręczył.

— *Vecchio mio!*—rzekł, klepiąc Lou'a po obnażonęj piersi, którą *monsieur* Gingo umalował ludzaco, naśladowując tatuowanie.—*vecchio mio*, popełnił *folia* nie do pojęcia, pozwalając się wysłać na świat zwyczajnym Nubijczykiem. Niech-no spojrzysz w lustro, czy mu z tą gębą nie jest milion razy lepiej do twarzy?

Doprawdy, Lou wyglądał pompatycznie z ułożonemi nakształt turbanu w olbrzymi wałek włosami, w których tkwiły różnokolorowe chwiejące się pióra — tak go przynajmniej okłamywał trójkątny, nawpół wytarty odłamek zwierciadła. Wielki miedziany pierścień, który mu kunsztownie przymocowano do nosa, nie wydawał mu się wcale uciążliwym; ciemniejsza barwa skóry bawiła go nawet dla odmiany. Leu był teraz zupełnie czarny, ze świecącym metalicznym połyskiem, a *monsieur* Gingo oświadczył, iż czarność ta jest „nieporównanie“ stylową.

— Naturalnie, mając taką świetną farbę gruntową, pracuje się zupełnie inaczej, panie dyrektorze,—rzekł artysta, odgar-

niając teatralnym falistym ruchem gęste kosmyki siwawych włosów z nerwowo ożywionej twarzy.

Dla tych włosów i dla szczególnie tęsknego cmentarnego wyrazu małych oczu, nazywali go koledzy „wierzba płaczącą.“

Przezwiseko to nie było wcale odpowiednie do niezwykłej ruchliwości tego faktotum menażeryi. *Monsieur* Gingo był najprawdziwszym cudem zaopatrzonej tak obficie w najróżnorodniejsze cuda firmy Pimento. Znał on wszystko, wiedział o wszystkiém, widział wszystko, był poprostu wszystkiém. Jego czujne oko nawet gwoździowi nie pozwoliło zardzewieć. Rozdzielał porcyę mięsa między zwierzęta, karmił i wychowywał młode kociaki, prowadził korespondencyą nieumiejącego pisać dyrektora, dostarczał drukarniom ogłoszeń i katalogów; fantazyja jego była niewyczerpaną w komponowaniu i rozlepianiu olbrzymich, krzyczących plakatów. Bez jego łagodzącej interwencyi, rozdzierające uszy dysharmonie małej orkiestry byłyby niemożliwe do zniesienia.

Artystyczną sławę jego roztrębywały zewnętrzne powierzchnie budy menażeryjnej, olbrzymiami malowidłami, na których rozegrywały się krwawe walki wśród niemożliwych krajobrazów. A wszystkie te dzieła pochodziły z epoki, w której, jako „malarz zwierząt najświetniejsze rokujący nadzieje,“ zakochał się w poskromicielce angielskiej. Malując i wzdychając, wędrował razem z menażeryą, aż pewnego dnia poskromicielka uciekła z bardzo prozaicznym młynarzem z Nimes, a *sor* Pimento położył koniec wszystkim scenom rzezi, „bo marnowały za dużo płótna.“

Od owego czasu przerzucił się *monsieur* Gingo na „malarstwo plastyczne,“ podrabiając dla menażeryi prawdziwych dzikich. Dzikie człowiek należał do niezbędnych specjalności firmy Pimento, przez co przewyższała ona wszystkie współzawodniczki „o wysokość Chimborasa,“ według żargonu Ginga. Prawdziwych dzikich wszakże trudno było dostać, a często trudniej jeszcze poskromić.

— Ba!—rzekł pewnego razu *monsieur* Gingo,—po co się mordować z tymi idyotycznymi bałwanami! Niech mnie powie-
szą, jeżeli ja ich panu nie sfabrykuję prawdziwszych, niż praw-
dziwi, panie Pimento!

Typ sztucznego dzikiego tworzył Gingo w części według wzorów oryginalnych, w części według różnych niejasnych po-
jęć, jakie pozbierał w starych opisach przyrody. Dla urzeczy-
wistnienia swego ideału nie cofał się przed żadnym artystycznym
środkiem, i doszedł do tego, że umiał różnych jako tako ucywili-
zowanych poczciwców wykształcić do zupełnie przyzwoitego sto-
pnia dzikości.

Nigdy jeszcze wszakże nie udał się panu Gingowi dziki tak,
jak ten najnowszy Auakadauba, poprzednio Lou nazwany. Tym
razem przeszedł w swoim artyzmie samego siebie; żaden z poprze-
dnych dwudziestu Auakadaubów nie mógł się w przybliżeniu
porównać z tém „fenomenalném pierwszorzędném arcydziełem,
“nawet ten ostatni, którego *sor* Pimento uśmiercił w obec Lou'a
na *melancholię*, a który poprostu uciekł z kasą. Był to czeladnik
ślusarski z Rouen'u, który pod czarną maską chciał uwolnić się
od służby wojskowej, i „robił dzikiego“ świetnie, zwłaszcza gdy
czerwone spodnie były liczniój reprezentowane między widzami.

Pan Gingo lubił udawać skromnego.

— Do dyabła! bo i jakże człowiekowi ma się nie udać coś
piramidalnego, w obec takiego surowego materiału!

I to mówiąc, ciężko klepał pierś Lou'a.

— Proszę spojrzcie, istny bronz! Dotknijcie się tylko tych
włosów... twarde jak materac, co? A zęby! Jaki ten chłop ma
cudowny język, nie prawda? Wspaniałą gadaninę, jaką raczy
posługiwać się ten dżentlemen, bawiąc się naszpikuję wam moją
mową Ginga!

„Mową Ginga“ nazywał on wynalezioną przez siebie, dla
żadnego człowieka na kuli ziemskiej niezrozumiałą mieszaninę
bełkoczących dźwięków, którą wieńczył zazwyczaj swój „kurs
dziczenia.“

— Zapewniam was, że na tój nowėj edycyi mojej mowy Ginga, zjedzą zęby najcześnie profesorowie całej Europy.

Przez czas niejaki Lou był „najsławniejszym numerem“ menażeryi. Dzięki reklamom pana Ginga, przyémil on nawet sławę „nieporównanego ziewania“ krokodyla, i „śmiesznego podobieństwa“ do człowieka szympansa.

O, bo tóż *monsieur* Gingo umiał robić reklamę! Gdy publiczność nie okazywała wielkiej chęci do wejścia, jego skrzeczący, zagłuszający trąby głos sprowadzał w końcu całe gromady do kasy. Podawał tłumowi takie obiecujące przynęty, że najbardziej niedowierzający ostatecznie musieli się na nie złapać. Ze zrzęczością żonglera wyrzucał olśniewające wyrazy: „nadzwyczajne... prześwietne... pierwszorzędne... niebywałe...“ które działały, jak rakiety.

— Prroszę wejść! Prroszę wejść! Szanowni państwo, *non plus ultrrr... raa* dzikości!... Don Auakadauba Balala z Ginganezyi! Dziki, dziki, dziki!

I za każdym wyrazem rozlegało się głośnie uderzenie szpicruty o zamalowaną ścianę budy. Przed publicznością wieśniaczą odzywał się niekiedy, mrugając przebiegle oczyma, z osłupiającem:

— *Mundus vult decipi!*—wypowiadaniem tonem rozkazującym.

Lou z początku radował się, jak dziecko, a koledzy jego śmieli się z zapału, z jakim odegrywał swoją rolę. Giacometta, uroczą córeczka Pimenta, figlarny Puck towarzystwa, o mało nie „konała ze śmiechu,“ i podniecała ciągle Lou'a:

— Jeszcze nie dosyć! więcej dzikości, więcej dzikości, *monsieur* Tatarati!

Gingo się gniewał.

— Nie psujcież mi go znowu, do kroćset! kontent jestem, żem go do tój dzikości doprowadził!

Tak, „dzikość“ Lou'a granicyła niemal z prawdą. Wy-skakiwał z za kurtyny z przeraźliwem „Hul!“ i „Huhul!“ w sza-

lonych susach, iskrząc się i brzęcząc różnorodnemi świecidłami stroju, stawał tuż na brzegu scenki. Zęby jego, zgrzytające zajądło, jaśniały w szeroko otwartych czarnych ustach, przewracał oczyma i rzucał groźne błyskawice między publiczność! O! nauczył się tego dobrze od tygrysów!

Niektórzy widzowie z pierwszego rzędu cofali się z przerażeniem, kobiety krzyczały, dzieci płakały. Héj! jak go to powodzenie podniecało do nowych okropności! Jak coraz wścieklej skakał po scenie, zamierzając się dzidą na publiczność, wywijając maczugą, z taką zajądłością, jak gdyby chciał zniweczyć do szczętu całą cywilizacją.

Przytém wydawał przeraźliwe, wyjące tony,—a była ich cała gamma. W klątkach powstawało wielkie wzburzenie—wszystkie zwierzęta wyły i rzucały się, podniecone do ostateczności drażniącemi ruchami Auakadauby. Rozlegał się śpiew straszliwy, ścinający lodem krew w żyłach widzów.

Na nieszczęście, brakło głównego efektu. Lou opierał się stanowczo wykonywaniu pewnej sztuki programu. Nie chciał w żaden sposób odgryzać łebków żywym lub chociaż tylko wypchanym, ludzaco żywych naśladowującym, gołębiom.

Dlaczego? Zkąd ta zniewieściałość, która nie chciała ustąpić przed namowami *monsieur* Ginga? Byłoby to tajemne uczucie wstydu, które ogarnęło ten pogardzony, deptańny kawałek człowieka nawet pod ciemną skórą? Wstyd, że miał wykonać choćby udawaną brutalność wobec widzów, którzy przecież o wiele większe niż on rościli sobie prawa do przywileju człowieczeństwa?

Szczególna rzecz, w jaki sposób wstyd ten się przejawiał. Lou zgodził się na próbę, i gdy pokonawszy obrzydzenie, zabierał się do ujęcia w zęby łebka biednego gołębia, spojrzenie jego padło na dwóch przypadkowych widzów: Zeppę i—nieco dalej—*monsieur* Iima, szympansa.

Zeppa patrzył na przyjaciela wzrokiem napół smutnym, napół błagalnym, jak gdyby chciał go powstrzymać od niego-

dnój komedyi. We wzroku tym malował się znowu ów niepokojący wyraz, w którym Lou już niegdyś dopatrzył się człowieka.

I Iim, szympan, przyglądał mu się także takiem rozumnym, ludzkim spojrzeniem; zdawało się, że pełne powagi, pomarszczone, jak u starca, rysy, wykrzywiły się szyderczym uśmiechem. Pod urokiem tych spojrzeń Lou zatrzymał się i z wahaniem puścił gołębia na ziemię.

Nie—nie chciał do takiego stopnia popaść w dzikość, żeby go upakarzało poczucie przyzwoitości psa lub małpy! Nie — nie chciał się wydawać większemu zwierzęciu, niż zwierzę samo. Nie będzie pożerał żywych gołębi! Wszystko, tylko nie to! będzie twarz wykrzywił, zgrzytał zębami, groził, ile zechcą—będzie wył tak, że wzbudzi zazdrość mieszkańców wszystkich klatek!

Monsieur Gingo był zrozpaczony.

— Co? Mając takie zęby, wzdraga się pożerać żywe gołębie? Hańba, nie chceć tego robić! Gdybym ja miał taką pierwszorzędną szczękę, jak on, całe życie nie robiłbym nic innego, tyłkoby głowę odgryzał! On nie uwierzy wcale, jakiby efekt tём wywołał... No, przyzwyczai się, jak myśli?

Ale Lou opierał się stale.

Signor Pimento i *monsieur Gingo* dziwili się kaprysom prawdziwych dzikich. U bardziej cywilizowanych poprzedników Auakadauby nie spotykali się nigdy z takimi delikatnymi skrupułami.

W końcu postanowili w obec świetnych talentów Nubijczyka, przebaczyć mu tę zniewieściałość, i wykreślili ów numer z programu tём chętniej, że wskutku współpracownictwa zyskano zupełnie nowy końcowy efekt.

W Zeppie tkwił artysta.

— Szarżuje trochę swoją rolę — mówił o nim *monsieur Gingo* — ale lepiej zadużo dzikości, niż zamał!

Nie krepowano tedy psa.

Z trudnością powstrzymywano go do zakończenia widowiska. Wściekłe ryki Auakadauby rozdrażniały go do ostateczności. W końcu wypadał, szczekając zajadle na widzów, straszliwie zeszepeczony przez fantastyczną grzywę różnokolorowych, brzęczących błyskotek. Jak szalony biegał po scenie, groźnymi skokami odsadzając się z jednego jej końca w drugi, i usiłując okropnym wyciem zagłuszyć przerażający śpiew wojenny Auakadauby.

Ludzie strwożeni zapytywali się wzajemnie: jak można takiemu potworowi pozostawiać swobodę?

Gdy widzowie opuszczali budę z westchnieniem ulgi, lub co częściej się zdarzało, z pogardliwym uśmiechem, mającym zamaskować przebytą obawę, gdy zresztą prawie wszyscy byli bardzo zdumieni,—wówczas *monsieur* Gingo zacierał ręce i mrugał przebiegle zaspanemi oczyma.

— Niema jednak nic głupszego na świecie, niż publiczność. Nieprawdaż, *master* Lou?—powiadał wtedy.

Lou śmiał się, pokazując—wszystkie swoje trzydzieści dwa zęby, i uspakajając jednocześnie psa, który ciągle jeszcze szczekał ze wściekłością.

Ach, cóż to była za rozkoszna uciecha dla Lou'a tak drwić z tych wszystkich ludzi, którzy tak często nim pomiatali, tak go deptali! Zeppa, poczciwy Zeppa, brał rzecz za poważnie, z nadto tragicznie.

Śmiać się z nich trzeba Zeppo, śmiać się, tak, śmiać!

ROZDZIAŁ XI.

— Zeppa *tobry*... Zeppa grzeczny być!—prosił Lou.

Ale nie pomagały już żadne prośby, żadne pieszczotliwe słowa. W psa wstąpiła jakaś dzikość, urągająca wszelkim łagodniejszym napomnieniom i środkom. Bywał teraz szczególnie zły, podrażniony i miewał nawet niebezpieczne humory.

Lou'a ogarnęła ciężka troska. Czyżby on już psa nie rozumiał? Czy też pies jego już rozumieć nie chce?

Podczas występów Auakadauby Zeppa odegrywał swą rolę coraz naturalniej, prerażająco naturalnie. W ochryplém szczekaniu jego dźwięczał gniew prawdziwy, a wyciem usiłował przewyższać objawy wściekłości najniesforniejszych zwierząt w klatkach. Często Lou powstrzymywał Zeppę, gdyż zdawało mu się, że zamieni szczekające swe groźby w czynną napaść na publiczność. Obawa tej napaści stawała się coraz bardziej usprawiedliwioną, a Pimento i Gingo zaczęli się nawet zastanawiać, czyby nie lepiej było usunąć nadal psa ze sceny?

Czy to ciągle przebywanie z dzikimi zwierzętami, niestanny widok ledwie zapomocą bata i strawy okiełznanych namiętności, burzył tak krew Zeppy? Czy też wziął udaną dzikość Auakadauby 'za coś poważnego, co trzeba było, bądźcobądź przewyższyć? Bo przecież pies powinien stać się jeszcze dzikszym, niż człowiek!

A może Zeppa wstydził się swojej roli? Może ją uważał za niegodną uczciwego psa? Może się wstydził i za Lou'a... za człowieka?... Lou myślał i myślał, coby to właściwie być mogło?

Monsieur Gingo zauważył pewnego razu, że „bydlę“ dostawało za wiele mięsa i to go tak rozdrażniało; zadenudował tedy, iż należy zmniejszać jego porcyę.

Lou, gdy to usłyszał, porwał się, jak wściekły. Co, głodem chcą morzyć Zeppę?

Uspokojono go, ale od tego czasu Nubijczyk nieufny pilnował, aby jego Zeppa nie był przy podziale mięsa krzywdzony.

— On jednak dosyć dziki — mówili koledzy, — publiczność może tego Auakadaubę na prawdę brać za prawdziwego!

W słowach tych był małeńki ślad prawdy. Podobnie, jak w Zeppie, tak i w Lou'u zaszła zmiana. Powodzenie Auakadauby drażniło ambycją Nubijczyka. Ostra, cierpka atmosfera mezażeryi, w której cały dzień spędzał, zdawała się go upajać i wzbudzać w nim żądzę nowych, zupełnie innych tryumfów.

Zapłonęła w nim chęć przebycia wielkiego, niesłychanego, prawdziwego niebezpieczeństwa, zajrzenia w oczy śmierci, — chęć, która powoli roznieciła się w gorące pragnienie. Bo jakże to pięknie i wzniosłe być musi, gdy się jest podziwianym, jako bohater, wielbionym jak *signor* Farmilli, pogromca zierzą, który codzień kilkakrotnie wystawia swe życie na łaskę i niełaskę paszczy zwierzęcych! Jeden mylny ruch, jedno zapomniane spojrzenie, najłżejsze osłabienie fizyczne, lub też nagle wybuchający kaprys dzikiego zwierzęcia, niweczający wszelkie obliczenia, — a pogromca stracony!

I człowiek ten coraz to wsuwał się przez wąską zakratowaną fórtkę, stał w klatce wyprostowany przed zwierzętami, uzbrojony tylko we własne spojrzenie, zmieniający ich ruchy drgnieniem wiotkiej szpicruty. Biada mu, gdyby w którekolwiek zwierzę wstąpiło zwątpienie, że on nie jest owym człowiekiem, sprowadzającym wolą swoją straszne burze z nieba, mogącym błyskawicą swego wzroku i gromem swego słowa zmiażdżyć, zdruzgotać wszystko, co dokoła niego żyło!

Ach, Lou, Lou! gdybyś i ty mógł tak stać, tylko raz jeden, tylko przez jedną krótką chwilkę, przejęty wzniosłym uczuciem panowania! ach, tylko jedną chwilkę władzy! wówczas możeby zmazana była znaczna część hańby z twego ciemnego życia —

wówczas możebyś się mógł odważyć chcieć być człowiekiem obok innych ludzi—pomimo twój ciemnej skóry!

Lou czuł, że Farmilli nim pogardzał za to, że się poniżał do takiej komedyi, podobnie jak karał milczeniem wzgardy krzyczące szarlatanerye Ginga.

Raz jeden tylko ten poważny, małowówny człowiek zaszczyił Lou'a kilku wyrazami, gdy go spotkał wracającego ze sceny:

— Szkoda takiego ładnego chłopca, — rzekł półgłosem, jakby do siebie.

Coprawda Farmilli przez cały dzień żył tylko dla siebie i nie troszczył się o nikogo, oprócz swoich zwierząt. Wzrostu był średniego. krępy, barczysty, z uderzająco małą głową osadzoną w szerokich ramionach. Twarz miał bladą, cery oliwkowej, a taką nieruchomą. jak maska ze spiżu, w której nigdy nie drgnęło. Tylko w oczach, bardzo dużych, tlił się posepny ogień, gotowy każdej chwili wybuchnąć jasnym płomieniem. Włosy przykrywał zawsze skromną czapeczką bez daszka, bo część czaszki oskalpowały mu niegdyś szpony młodego tygrysa i teraz widniała na niej brzydka blizna. U lewej ręki brakło mu wielkiego palca, a bat w niej zawsze trzymał, gdyż prawą obezwładniły zęby jaguara. Wszystkie jego ruchy nacechowane były pełnym godności spokojem; rozmawiał prawie tylko ze swemi zwierzętami, a wtedy umiał być bardzo wymownym. Uśmiech nie ożywiał nigdy mocno zaciśniętych ust jego.

Farmilli był rodem z prowincyi Piacenza, z której pochodzi wielu pogromców. Wiek jego trudno było oznaczyć;—z powodu pewnej dziwaczności, stanowiącej szczególny kontrast z jego zajęciem, można go było uważać za bardzo młodego.

Był on od wielu lat zaręczony z ładną i zamożną dziewczyną z rodzinną wioski, i większą część wolnego czasu spędzał na pisaniu czułych, płomiennych listów miłosnych. Malował je raczej, niż pisał, gdyż wiersze posuwały się wolniutko, ostrożnie kresłonemi, niezręcznemi literami, i kilka dni mijało nim doku-

ment taki gotów był do skrzynki pocztowej. Często bardzo pogromca niszczył to, co mozolnie wypracował z pomocą niezbyt wydoskonalonych narzędzi piśmiennych.

Ci, którzy widzieli go piszącego, nie znali przyczyny będącój bodźcem zapału, z jakim tak nieumiejętnie władał piórem; nie wiedzieli nic o jego długoletnich zaręczynach. Wesele odkładał Farmilli z roku na rok, gdyż nie mógł się zdecydować pożegnać ze swemi ukochanemi zwierzętami, jak to był narzeczonej swojej na wypadek małżeństwa przyrzekł.

Pocziwe, dzielne serce jego szarpały dwie potęgi: miłość dla oddalonej i demoniczna namiętność do zawodu; słodki obowiązek, który go wiązał z tamtą, i urok, jakim go oplątała menażerya. W piersi jego tedy toczyła się nieustanna walka, przysparzająca mu ciężkich cierpień, dla których ulgi szukał w nieudolnych ćwiczeniach piśmiennych.

Pogromca niewątpliwie pogardzał Nubijczykiem, ale Zeppie okazywał całą życzliwość, do jakiej był zdolny. Czyżby litował się nad zwierzęciem, że musiało się upadlać i pozwalać, aby chciwość ludzka zeszpecała jego szlachetną naturę?

Zeppie podobało się widocznie wyniosłe, pewne siebie, obejście Farmilli'ego, okazywał się bowiem nader wrażliwym na jego atencye. Mądre zwierzę obserwowało, robiło porównania: tam prawdziwy, nieustraszony bohater, który z zapałem w oku i odwagą w sercu stawał wobec groźnego niebezpieczeństwa,— tu umalowany, wystrojony arlekin, który wyuczonym rykiem miał wzbudzać obawę w spokojnych ludziach.

Tak, pies porównywał i wydał wyrok. Lou to odczuwał—pies coraz wyraźniej okazywał życzliwość dla pogromcy.

Pałący ból ścisnął serce Lou'na, głowa jego pękała od natłoku myśli.

Raz pies leżał przed nim, oparłszy łeb na łapach. Lou z nim rozmawiał,—osypywał zwierzę całym zasobem miłości i czułości, jaki przepelniał serce jego. Wymawiał słowa gło-

sem drżącym z obawy i zgryzoty. Zwierzę pozostało nieruchome, udawało, że nie słyszy.

Czyżby Zeppa już nie kochał Lou'a?

Szept Nubijczyka stawał się coraz natarczywszym i błagalnym:

— Zeppa Lou nie już kochać?

W końcu umilkły słowa jego, jakby falą łez zdławione.

Wówczas Zeppa podniósł ślepie—ale nie był to ów wzrok, przed którym Lou niegdyś, obiwszy psa, uciekł, jak przed karzącym sumieniem. Nie, teraz ślepie patrzyły na niego z niewymownym smutkiem:—to litość malowała się w ich wilgotnych głębiach.

Dog litował się nad nim. A jeżeli teraz nie stanie się coś, nie odmieni—prędko, bardzo prędko,—to litość owa może, musi zamienić się w pogardę.

Czyżby wszystko miało być naprózno, cała bieda, cała nędza i głód, jaki przebyli, i gorzkie upokorzenia, jakich doznali razem, jako żebracy?

I znów ogarnęła Nubijczyka ta sama straszna trwoga, że może utracić Zeppę. Ale tym razem nie nagle, nie przez ludzi—nie, wszak sam pozbawiał się przywiązania psa powoli, stopniowo...

Lou postanowił jednym zamachem odzyskać szacunek zwierzęcia. Oświadczył bez ogródki, że nie chce już występować, jako Auakadauba.

Co? Dlaczego? Sądzono, że zwaryował. A może chce większej zapłaty?

— Nie, nie to!—zaprzeczał Lou.

I jak umiał, dał panom Pimentowi i Gingowi do zrozumienia, że się wstydzi, że natura jego oburza się przeciw temu udawaniu dzikiego, a w końcu wyjąkał z wahaniem:

— Zeppa nie już chcieć być dziki!

Nie mogli pojąć, z kąd mu to wpadło do głowy? ale wiedzie-

li, zauważyli to nieraz, jaką niepokojącą władzę posiadało zwierzę nad tym szczególnym egzemplarzem człowieka.

A więc to sprawka tój „przeklętój bestyi!“ Może cała menażerya będzie jeszcze podlegała kapysom tego „cudu światła“

Oddawna już nie cierpieli Zeppy, bo stał się zły i hałaśliwy. Byliby go dawno uwiązali na łańcuchu, gdyby Lou nie był się temu sprzeciwiał.

— Oszałał do reszty!— zawołał *monsieur* Gingo.— Co! wstydzisz się? Niechaj-no pójdzie do cesarskich, królewskich i innych zoologicznych ogrodów, gdzie wystawiają rzadkich ludzi, niemożących się z nim nawet równać, razem z dzikimi zwierzętami, a zobaczy, co to za zaszczyt być pokazywanym, jako dziki.

Signor Pimento wybuchnął gniewnie:

— Przecież, *vecchio mio*, wie z kąd przyszedł. *Addio*, ale nie *a rivederci!*

Lou osłupiał. A więc wyrzucali go! Jego i Zeppę! A tam na podwórzu, przededrzwiemi czybał na nich głód i nędza...

I został. Ale Zeppa nie będzie już występował — za nic w świecie.

Tego przecież oddawna już żądali *signor* Pimento i *monsieur* Gingo — niech sobie Lou swego Zeppę ozłocił

Odtąd Auakadauba pokazywał się sam, bez psa.

Był to jednakże środek tylko połowiczny. Dog żądał więcej. Zdawało się, iż chce wydostać się zupełnie z pod wpływu Lou'a. Tém większą władzę zyskiwał nad zwierzęciem Farmilli. Jego jednego tylko słuchał Zeppa, i on jeden tylko umiał zręcznie zapobiegać wszelkim wybrykom psa w menażeryi. Nic dziwnego, że człowiek, który spojrzeniem swoim poskramiał zwierzęta pustyni, ujarzmił także przewagą swoją i tego zmyślnego psa.

Lou w końcu nie mógł już na to patrzeć.

Pewnego ranka zbliżył się do Farmilli'ego, który właśnie rozmawiał z Essedem, wielce poważanym lwem z Przyładka Dobrój Nadziei.

— *Moussou*...— odezwał się Nubijczyk nieśmiało.

— Dobrze, zamówimy tedy dla waszjej miłości parę wyśmienitych kotletów wołowych, — ciągnął dalej Farmilli rozmowę z lwem, głaszcząc jego wysuniętą z klatki, złocistą sierścią pokrytą łapę.

— *Moussou*...

Lew chrząknął z zadowolenia, wstrząsnął wspaniałą grzywą—z łapy wysuwały się, igrając, końce szponów.

-- Lou téż tam chcieć wejść... Lou nic bać, *moussou*...

Farmilli odwrócił zlekka głowę ku mówiącemu i spojrzał na niego badawczo.

— Lou Esseda lubić .. Lou chcieć pójść do Esseda... Lou nic bać...

— Czego chcecie?

Jedynie w tonie zapytania dźwięczało zdziwienie. Twarz pogromcy pozostała nieruchomą. I nie patrząc na Lou'a, ze wzrokiem na lwa skierowanym, mówił dalej:

— Chcecie wejść do Esseda, do klatki? Do tego tu?

Lou skinął głową na znak potwierdzenia.

— Ach, co wam téż wpadło na myśl! Z takimi starymi jegomościami nie można żartować. Nie prawda Essedzie? Wiek szanować trzeba.

Essed otworzył paszczę, i wolnym ruchem rozszerzał ją coraz bardziej, tak, że wydała się bezdenną przepaścią, w której sterczał ostry, kolczasty język.

Po chwili pogromca odezwał się głośno i dobitnie, tym samym metalicznym głosem, jakiego używał podczas okazywania zwierząt w klatkach:

— Nie boicie się?

I oczy Farmilli'ego wpiły się w twarz Lou'a, utkwily w niej, trzymały pod urokiem każdy jój ruch, jak błyskawica wdarły się do głębi jego duszy. Wobec tego wzroku nie ostało się kłamstwo ani obluda.

— Nic bać!— rzekł Lou; oczy jego błyszczały.

— Dobrze, a więc spróbujmy zaraz. Niech pójdzie ze mną!

Wzrok pogromcy ciągle jeszcze spoczywał na twarzy Lou'a, czyhał na jakie drgnienie, któreby zdradziło ślad strachu.

Ale oblicze Nubijczyka pozostało nieruchome, jak ze spiżu.

Podeszli do klatki, w której dwa młode lwy przewracały się dla zabawki. Farmilli uderzył batem o kraty; zwierzęta mrużąc, przyskoczyły ku przodowi klatki.

— Wejdzimy tutaj, *signor*,—rzekł Farmilli.

To mówiąc, wyciągniętym palcem wskazywał lwom kątki klatki, a one niechętnie, falistemi, kocieci ruchami się usunęły.

— Ale zastanówcie się dobrze *signor*, że to różnica wzbudzić łatwy przestrah w ludziach, a tym zwierzętom tam nakazać szacunek. Trzeba je kochać, kochać prawdziwie, aby je opanować. Dla ludzi można być obojętnym... A więc naprzód!

I Farmilli włożył klucz, aby otworzyć małą boczną fórtkę do klatki. Naraz zatrzymał się i odwrócił — we wzroku jego malował się przyjazny wyraz.

— Jesteście odważni, *signor* Lou!—rzekł, i piękny, dźwięczny głos jego brzmiał, jak pieśzcota.—Jesteście odważni, to mnie cieszy. Chciałem was wypróbować. Ale my tam wejść nie możemy. Mnie niewolno was tam wpuścić.

Lou spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Dlaczego? Oto dlatego, żeś czarny. Nie bierz mi tego za złe. Zwierzęta nie mają szacunku dla czarnych. Stałoby się nieszczęście. Nie bierzcie mi za złe, ale tak już być musi. Czy ludzie mają dla was szacunek? Ach, jak oni was depczą, poniżają, obchodzą się z wami, jak ze zwierzęciem, a przecież wyscie taki sam człowiek, jak oni. Obraz Boga... tak się oni przecież nazywają w swój pysze. Ach, ci ludzie!

Lou osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w pogromcę, poruszał ustami, nie mogąc wymówić wyrazu, i w końcu opuścił głowę na piersi.

— No, nie bierzcie tego tak do serca,—uspakajał go Far-

milli.— Może jeszcze kiedy spróbujemy. Macie takie niepospolite zęby. Może, jak pokażecie tę zęby zwierzętom...

— I ludziom musicie je także pokazać... słyszycie?... porządnie pokazać!—wołał za Nubijczykiem, oddalającym się chwiejnym krokiem.

Na szerokim grzbiecie Zeppy leżał Lou pogrążony w boleści.

„Bo jest czarny!“

Ze wszystkiego, co mu pogromca powiedział, zrozumiał to jedno tylko: bo jest czarny! Ani szacunku, ani miłości, ani prawa, ani litości, ani pociechy, ani szczęścia—bo jest czarny!

Czyżby Zeppa dlatego miał nim pogardzać, że jest czarny?

Język Zeppy przesunął się pieszczotliwie po rozgorączkowanym czole Nubijczyka.

Ach, Zeppa jest lepszy od ludzi—Zeppa nie będzie nim pogardzał...

ROZDZIAŁ XII.

Na jarmarku w St. Mało Pimento wydał w menażeryi ucztę. Wzięła ona początek z żartu. Jeżozwierz się zranił i trzeba było go zabić. *Monsieur* Gingo twierdził, że będzie z niego wyśmienita pieczeń; reszta zaś personelu menażeryjnego śmiała się, patrząc na nieruchome, pokryte szczecina zwierzę.

— Pozwólcie mi tylko robić co umiem,—rzekł Gingo, odrzucając z twarzy długie kosmyki siwawych włosów.—Przyprawię wam przysmak, jakiegobyście napróżno szukali w najpierwszej restauracyi paryzkiej.

— Szkoda tylko, że nas tak mało,—drwiła gadatliwa pani Criardeau, która oprócz innych zwierząt, tresowała i papugi.

— Potrzeba zaprosić gości, inaczej nie podaliśmy temu przysmakowi,—wtrącił stary dozorca małą, wrywając przyszłej pieczeni kilka kalców na zabawę dla szympansa.

— Olbrzymka z poblizkiej budy, nie może być nieobecna,—odezwał się ktoś z boku.

— A jako *pendant* zaprosimy także jego maluczkosc admirała Tom Turtle.

— — Cudownie! Świetnie! Pyszna zabawa!—wołała radośnie Giacometta, klaszcząc w drobne dłonie.

I dopóty męczyła ojca, aż zgodził się na wszystko.

— Co do mnie, możecie sobie zaprosić nawet maryonетки z przeciwka!—mruczał.

Rozesłano tedy zaproszenia do bud sąsiednich, i z całą wagą rozprawiano nad tém, czy nie popełni się niegrzeczności, pomijając tę lub owę firmę. Menażerya Pimento nie chciała się narazić na żadne zarzuty pod względem koleżeństwa. Zawahano się tylko co do posiadacza olbrzymiego wołu, małego, roztrzępanego człowieka z wielką gębą, który ze swoim cudem świata, naprawdę ordynarném bydłciem, robił więcej hałasu, niż dziesięć menażeryj razem. Ale co tam! Menażerya Pimento postanowiła być wspaniałomyślną!

Wieczór był już późny, trąby, bębny i ochrypte głosy heroldów ukończyły swą dzienną pracę; tylko wielka katarynka karuzeli zawodziła jeszcze piskliwe, jednostajne tony wśród ciepłej nocy letniej. Z dala dochodził szum fal morskich.

Część dachu na namiocie odchyłono, a wyiskrzzone gwiazdami niebo zaglądało do żółtawego mroku, panującego w menażeryi niezbyt obficie oświetlonej kopcącemi olejnymi lampami.

W środku ustawiono stół ze skrzyń, desek i drągów, a rozmaitą białością jaśniejące obrusy nie zdołały zakryć znacznych przerw w jego powierzchni. Serwis był bardzo urozmaicony, gdyż złożony z najróżnorodniejszych naczyń; zapas menażeryi czerpiono pożyczką z sąsiednich bud i szynków. Ani jedno naczynie nie było podobne do drugiego, a szklanki szczególnie od-

znaczały się różnaitością kształtu i wielkości. Ale *monsieur* Gingo, który urządził wszystko, oświadczył, iż właśnie ten antykwarski charakter stołu biesiadniczego jest „prawdziwie stylowy.“

Biała kamizelka Pimenta rozaczała blask olśniewający, a czerwona jedwabna suknia otyłej pani Pimento, szeleściła i jaśniała tak żywo, że zwróciła nawet uwagę przyzwyczajonych do wyzywających wdzięków zwierząt. Giacometta ubrała się w jaskrawy kostium fantazyjny, w którym zwykle stanowiła ozdobę kasy. Wesole jej czarne oczęta iskrzyły się, jak dwa brylanty.

Najpierw przybyła właścicielka wielkiej budy z tombola: „pod Siedmiu cudami świata,“—stara znajoma. Była ona takięj samęj tuszy, jak *madame* Pimento, a odznaczała się dosyć widocznym wąsem i strasznym basowym głosem, panującym nad wszystkimi jarmarkami.

— Byłaby też mogła zostawić w tomboli swoje dwufrankowe klejnoty,—szepnęła pani Criardeau do jednęj z dam.—Irzęczy tym naszymi, jak dzwoakami.

Następnie wsunął się z małżonką posiadacz „Największēj panoramy w świecie.“ on bardzo uprzejmy, bardzo uśmiechnięty, z wygłodzoną twarzą, w wyszarzaném ubraniu; ona, chuda, długa, jak tyka, z wielkimi wypukłemi oczyma, przypominającymi szklane otwory w panoramie

— *Bonjourrrr monsieur!... Bonjourrrr madame!*—skrzeczała papuga, wymawiając zupełnie wyraźnie.

Rozgniewało to panią Pimento; chciała zachować się z wielką godnością wobec tych ludzi, a tymczasem ta głupia papuga popsowała wrażenie. Nie trzeba było ich prosić. „Największa panorama w świecie“ stała bardzo lichy i była prawie zupełnie pomijana przez publiczność.

Pani Pimento powitała tedy przybyłych takiem samém wyniosłém skinieniem głowy, jakiem przyjmowała przy kasie wi-

dzów drugiego rzędu w dni, kiedy cena biletów była zniżona o połowę.

Właścicielka panoramy zaczęła niezwłocznie przyglądać się klatkom, tak, że niektóre zwierzęta, zaniepokojone jej lśnieniem okrągłymi oczyma, pozrywały się z legowisk.

Firanka u drzwi rozsunała się przed okazałym, bardzo dystyngowaną powierzchności mężczyzną we fraku i białym krawacie, który już wchodząc, złożył pierwszy ukłon, posunął się dalej elastycznymi, podrygującymi krokami, i powtórzył ten sam ceremonialny ukłon przed państwem Pimentami.

— Ach, panie profesorze, jakże się cieszę, że pana widzę! — zawołał Pimento, mrugając lewem okiem.

Sztywne fałdy czerwonej jedwabnej sukni zaszeleściły wgłębokim dygu.

Był to „Największy czarodziejski salon świata, jednocześnie akademія zjawisk duchowych i chiromancyi,“ reprezentowany przez artystę nadwornego wielu dworów europejskich, profesora Blaguon'a, we własnej osobie. Na klapie jego fraka jaśniało kilka kolorowych wstążeczek, a na starannie ogoloném, błękitnawém obliczu, widniał pobłażliwy uśmiech dyplomaty.

Gdy szympanś Lim spostrzegł uroczyste ukłony, nie mógł się dłużej powstrzymać, i w grubym płaszczu zimowym na plecach, utrudniającym mu wielce chodzenie na dwóch nogach, chwajnym krokiem zbliżył się do dostojnego gościa, skinął głową z godnością i wyciągnął do niego włochatą rękę. Profesor odpowiedział na to powitanie takim samym ukłonem, jaki złożył państwu Pimentom.

Wszyscy dokoła śmieli się do rozpuku ale profesor i *monsieur* Lim zachowali powagę.

Inni goście schodzili się powoli, menażerya się zapełniała, lecz towarzystwo nie chciało jakos się ożywić. Różne firmy trzymały się zdaleka od siebie, unikając się i obserwując, a małostkowa zawiść konkurencyi nie pozwoliła rozwinąć się swobodnej rozmowie. Tu i ówdzie rzucane wzajem wrogie spojrzenia

świadczyły nawet o otwartym stosunku wojennym. Oglądano klatki nietyle z ciekawości ile z zakłopotania; chciano się spoufalić z szympansem i zaczęto go drażnić, co stary jegomość wziął bardzo za złe. Papugi zagłuszały rozmowę nosowem, skrzeczącą paplaniem, którym się popisywały przed obcymi.

Z kuchni, urządzonęj tuż obok, na wolnem powietrzu, dochodził szmer syczącego wrzenia tłuszczu, a woń pieczystego dostawała się przez płótno i mieszała z ostrém powietrzem menażeryi.

Wtém wpadło całe towarzystwo niezwykle rozweselone, którego śmiechy i śpiewy zdaleka już słyszano. Była to, „Największa strzelnica międzynarodowa,“ z czterema „pierwszorzędnymi pięknościami Europy.“

Norwezki kapitan okrętu, który sporo pieniędzy już był w części powystrzelał z dubeltówek, w części zaś przepuścił w towarzystwie „pierwszorzędnych piękności“ z szampanem,—prowadził dwie damy, a raczej one go prowadziły, tak się nieborak zataczał. Za nimi szedł chwiejnym krokiem również podpiły właściciel zakładu z dwiema innemi damami. Czy być może?... w kamizelce! Jedna z dam niosła jego surdut.

W kamizelce, i to na taką ucztę! Czyż ten człowiek nie miał żadnego wychowania? Pani Pimento nie posiadała się ze złości. „Takie to są skutki, gdy się byle kogo zaprasza!“—pomyślała—ale postanowiła zapanować nad sobą, jako gospodyni domu, i całą złość wlała w spojrzenie, jakim przeszła *signora* Pimenta.

Lśniące ramiona głęboko wydekoltowanych dam wywarły wrażenie. Ogony ich sukien z głośnym szelestem zamiatały kurz z podłogi. Pani Criardeau zauważyła, że te туаlety są „bardzo wyzywające.“

Ale nie byli to jeszcze wszyscy. Dwa inne dodatki do strzelnicy, dwóch młodych elegantów z pobliskiego Dinard, zaglądało z poza franki—uśmiechali się przebiegle, niezbyt pewni, czy wolno im będzie uczestniczyć w biesiadzie.

Pani Pimento w żaden sposób nie chciała ich widzieć, i odwróciła się do nich szerokimi plecyma. I komu wreszcie zawdzięczali swoje wejście? Naturalnie nikomu innemu tylko Iim'owi. Niepostrzeżony podszedł do firanki, podał z godnością rękę przybyłym panom, i w ten sposób uratował honor domu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a *signor* Pimento najgłośniej, umyślnie na złość ponsowej z gniewu małżonce, która miała wielką ochotę zanukać małpę.

Nagle, niby żałobne zjawisko, niby posepny duch, wywołany przez profesora Blaguon'a, stanęła śród towarzystwa *miss* Nala Damajante, sławna „indyjska królowa węzów.“ Wsunęła się widać, jak wąż, i wysmukła, wyprostowawszy wiotką postać, skrzyżowała ręce na piersiach, na znak powitania; z po za zasłony bujnych, wełnistych włosów, które zakrywały prawie jęj twarz ciemno-brunatną, przygasłe jęj oczy patrzyły osłupiałem spojrzeniem.

Nie wiedziano, co z nią począć, i postanowiono dać ją przy stole za sąsiadkę pocziwemu Lou'owi.

— Zły człowiek! — zaskrzeczała papuga. Zły człowiek! — i zaczęła trzepotać gwałtownie skrzydłami.

Znów rozległy się śmiechy, gdyż u wejścia ukazał się właśnie posiadacz „największego wołu na świecie,“ mały, zasuszony człowieczek, ze złośliwym wyrazem twarzy, na której wszystko ruszało się ustawicznie — zmarszczki na czole, usta, nozdrza, nawet wyciągnięte prostopadle, sztywne, jak postronki, wąsy. Ramiona jego co chwila nerwowym ruchem podnosiły się, to opadały.

„Zły człowiek“ wchodzący chciał się zawrócić, i to szczególne powitanie wziąć naprawdę do siebie. *Signor* Pimento musiał go wciągnąć przemocą.

— Trzeba go było puścić! — syczała przez zaciśnięte zęby coraz gorzej usposobiona dyrektorowa.

Za firanką dały się słyszeć dwa głosy: szorstki alt naprze-

mian z wysokim piszczącym sopranikiem, który stanowczo oświadczał, iż nie wejdzie.

Do czego to podobne, żeby się olbrzymka tak drożyła? Bała się, z pewnością bała się dzikich zwierząt! Biedne stworzenie!

W końcu weszła. Podłoga ze zwyczajnych desek zbita, jęknęła pod ciężarem téj, półtrzecia centnara ważacój, masy ciała ludzkiego. Wśród towarzystwa powstało ogólne zdumienie, gdyż dotąd niewielu widziało ten cud w jego własnej siedzibie. Im, który siedział skurczony u wejścia, aby witać gości, wytrzeszczył na olbrzymkę ślepa, wykrzywił twarz przerażeniem, i zostawiając płaszcz, uciekł na czworakach.

Ładna dziecinna twarz panny Korduli, okolona płowemi włosami, oblała się gorącym rumieńcem, a jęj piękne błękitne oczy spoglądały bojaźliwie na zebrane grono.

Że téż nie mogła się odzwyczaić od tego niedorzecznego rumieńca! Jęj przedsiębiorczyni, rezolutna brunetka z mężkami pięściami i szorstkiem obejściem, wpadała w rozpacz, że ta olbrzymka nie mogła nabrać odpowiednich do swęj nadzwyczajnej tuszy manier. Najtrudnięj przychodziło pannie Korduli pokonać ów nieszczęśliwy rumieniec. Gdy musiała pokazywać się tłumnie zgromadzonęj publiczności, drżała na całym ciełe.

„Ach, nie nadawała się wcale dla gapiów jarmarcznych, trzeba ją było zostawić w domu, w cichęj wiosce...“ — żaliła się nieraz daremnie.

— Jak cię Pan Bóg tak wypchał i wywatował, moja droga, to musisz się także nauczyć postępować śmiało i odważnie, jak nosorożec,—powtarzała jęj za każdym razem przedsiębiorczyni.

Teraz wepchnęła prawie wahającą się jeszcze ciągle olbrzymkę do menażeryi. Państwo Pimentowie przyjęli je obie bardzo uprzejmie. Ach! jakież ciekawe, pożądlive spojrzenie podnosiły się ku pannie Korduli, obejmowały jęj obnażoną szyję

i ramiona! Przed taką „fachową“ publicznością nigdy jeszcze nie występowała.

„Najpiękniejsze damy Europy“ z trudnością zdołały powstrzymać kapitana norweskiego, który belkotał, iż chce koniecznie zbliżyć się do Korduli.

— Niechże panowie nie zapominają, gdzie są, — odezwał się z koła otaczającego olbrzymkę gniewny głos dyrektorowój.

Działo się tam, jak w widowisku z programem, którego jeden numer chce zaćmić drugi.

Z kolei przybył jego ekscelencya admirał Tom Turtle. Gdzież on? Ach tam na rękę okrągłej, jak kula, zadyszanej jejmości, olbrzymki w swoim rodzaju, stanowiącej świetny kontrast z karzelkiem.

Żywymi, trzepoczącymi ruchami pozbył się człowieczek płaszcza, który go ukrywał na ulicy przed natrętami, i skinął kilkakrotnie na powitanie dużą głową ze zwiędłą twarzą. O! ten był pewien siebie, ten nie wiedział co to niesmiałość, nie wstydział się bynajmniej swój maluczkości. Pomarszczonemi rączkami ścisnął energicznie innych za dłonie, tak, że mu się aż głowa kiwała; słów mu nigdy nie brakło.

Po chwili oświadczył, iż chce zejść z ramienia przewodniczki. Ta wzięła tedy miniaturowe krzeselko, które nosiła na drugiem ramieniu, postawiła je na stole i dopomogła malcowi wejść na nie. Wyniosłe, jak istotna ekscelencya, siedział w ładnym mundurku, między salaterkami kompotu i sałaty, i spojrzeniem znawcy przyglądał się nakrytemu stołowi, jak gdyby to był okręt, którym miał w swoim charakterze admirała kierować wśród groźnych niebezpieczeństw.

Naraz hałaśliwym, pewnym krokiem wszedł wysoki mężczyzna z długą szpakowatą brodą. Nikt go nie znał. Z lekka uchylił małego kapelusza, nie odezwał się wcale, nie troszczył się o nikogo, i zachowywał się, jakby był jednym z pierwszych zaproszonych.

Dyrektorowa usiłowała pognębić go jednem ze swoich pio-

runujących spojrzeń; ale napróżno. Rzekła tedy do małżonka, iż wielki już czas zacząć biesiadę, inaczej bowiem spadnie jeszcze więcej takich maryonetek z nieba!

Dwóch żandarmów, z nawpół urzędowemi minami, zaglądało z poza franki.

— Trzeba ich przecież poprosić, żeby weszli,—odezwał się Pimento, chcąc bardziej jeszcze rozgniewać żonę.

Przy stole jeden z pierwszych usiadł ów nieznajomy, którego nikt nie zaprosił. Profesor otrzymał miejsce honorowe między państwem Pimentami na jednym końcu. Na drugim usadowił się Lim, i z wielkim spokojem patrzył, jak trudno było innym się pomieścić. Zabrakło krzeseł i nakryć. Musiano corychlej posłać w sąsiedztwo pożyczyć nożów, widełców i talerzy, co zaś do miejsca,—no, to wszak można się zsunąć.

Uważano, iż zwyczajne krzesło nie jest wystarczające dla „największej damy świata;“ przysunięto tedy wielką, ciężką skrzynię, podobną do klatki. Dla żartu dano olbrzymce za sąsiada admirała Tom Turtla, i postawiono jego krzesło na téj saméj skrzyni.

Giacometta zajęła się specjalnie jego ekscelencyą.

— Moznaby mu dać nakrycie dzieciennel—rzekła.

Ale jego ekscelencya oburzył się wielce na te słowa, i musiano coprędzej zmienić nakrycie.

— Ten pędrak umie się złościć,—odezwała się okrągła jójmość, jego dzierzawczyni.

Jeszcze ktoś inny uczuł się dotkniętym. Swą wolny kaprys przypadku zrządził, że człowiek z największym wołem dostał miejsce między szympansem a jednym z żandarmów. Tego było mu już za dużo — posadzono go tak z widocznym zamiarem! Ostatecznie okazał swój gniew iście zwierzęcym apetytem, z jakim się rzucił na potrawy i napoje.

Lou miał siedzieć obok *miss* Nali Damajante, ale Farnilli dostał się między nich, co dało powód do ponownej wesołości. Utrzymywano, że będzie umiał poskromić tych dwoje dzikich, aby

się nie porwali i nie narobili jakiego nieszczęścia. Farmilli i sąsiedzi jego siedzieli w milczeniu, tylko pogromca badawczém spojrzeniem wodził do koła, wszakże nie poruszając głową.

Tém większa wesołość ożywiała natomiast „największą strzelnicę,“ naprzeciw milczącej trójki, a śmiech dam z wybryków kapitana i wyuzdanych żartów dwóch elegantów z Dinard, nie ustawał ani na chwilę. Była to niby muzyka, towarzysząca hałaśliwemi dźwiękami przyciszonej rozmowie jedzących.

Zwierzęta zachowywały się dotychczas spokojnie, a w jednej z klatek małpy przy figlarnych podskokach pomrukiwały. Ale zwierzęta nie spały; fosforyczny blask ich ślepi migotał między żelaznemi prętami. Tygrysica podniosła się, oparła dwiema łapami o kratę, a żółte, iskrzące jęj oczy niepokojącym spojrzeniem przeskakiwały z jednej twarzy na drugą dokoła stołu.

Pierwsze potrawy już spożyto. Naraz powstał ruch pośród biesiadników.

— Jeżozwierz! Jeżozwierz!... — zabrzmiało ze wszystkich stron.

Zbliżał się pieczony „wypadek dnia.“

Z nateżoną uwagą, wszyscy z uśmiechem skierowali spojrzenia ku drzwiom. Kapitan głośno opowiadał o różnych niemożliwych rzeczach, jakie jadał w rozmaitych częściach świata: o jajecznicy z jaj węzowych, o potrawie z aligatorów, i o smażonych w oliwie skrzydłach psa latającego, które smakowały zupełnie, jak karczochy.

— Jeżozwierz! Hurra! otoż go mamy!

Monsieur Gingo z pieczeniem stał we drzwiach! Był bez surduta, a długie kosmyki włosów spadały mu na świecące od potu, ponsowe od ognia kuchennego oblicze. Oczy jego jaśniały tryumfem. W rękach trzymał głęboką misę, w której wśród dymiącego gęstego sosu sterczał brunatny comber zwierzęcia; mika dokoła przybrana była kolcami, a wyglądały one prawie jak aureola.

Powstało powszechne zamieszanie; każdy chciał obejrzyć cudowną pieczeń i wszyscy rzucili się ku panu Gingowi.

Powoli, zobaczy ją każdy!

I z wyrazem niesłychanego zadowolenia na rozpromienionej twarzy, jak gdyby dokonał arcydzieła swego żywota, *monsieur* Gingo obnosił jeżozwierza dokoła stołu.

Goście śmieli się, że taki mały.

— Ale prawdziwy! nadzwyczajnie stylowy!—wołał Gingo, i jako długoletni *trancheur* menażeryi zapewniał, że każdy otrzyma swój kąsek.

Zapach pieczeni, śmiech i hałasowanie gości, wyprowadziły zwierzęta z dotychczasowego spokoju. Hyeny węszyły chciwie po przez żelazne pręty; wilki, rozjuszone, przeskakiwały przez siebie wzajemnie gorączkowemi susami. Wtém jaguar wyrzucił swoje przeciągłe hu-ul—i to dało hasło do ogólnego poruszenia.

Przy dźwiękach tedy przerażającego koncertu, złożonego z wyjących, szcękających, skowyczących i chrząkających tonów, sławna pieczeń została spożyta. Tylko jego królewska mość, sędziwy Essed, nie chciał piorunującego głosu swego w ten chór wmieszać. Pełen godności, wyniośle, podniósłszy nieco łeb, otoczony przepyszną grzywą, skurczywszy z lekka przednie łapy, leżał spokojnie, a w jego złocisto brunatnych ślępiach malował się jakby wyraz najwyższej pogardy dla śmiesznego postępowania tych wszystkich ludzi.

Panna Kordula drżała, jak listek, i bała się strasznie. Admirał uspakajał ją skwapliwie, i w ogóle zachowywał się względem niej z wielką galanterią; przysunął, jak mógł najbliżej, swoje krzeselko do jej obnażonych ramion, a szare jego oczka z wyrazem pożądlivosti spoczywały na śnieżystym gorsie sąsiadki. Karzełek był wysoce komiczny w tym zapale miłosnym.

Hałas zmieszanych głosów ludzkich i zwierzęcych doszedł w końcu do takich rozmiarów, że jeden z żandarmów chciał przybrać surową urzędową miną, jako dowód, iż na nic podobnego, o tój

godzinie pozwolić nie powinien. Kolega wszakże uspokoił goe szyderczém wzruszeniem ramion.

Gdy wrzawa ustała nieco, podniósł się profesor Błaguon i wygłosił mowę, z akompaniamentem wykwintnych szybkich ruchów, które przypominały „salon czarodziejski,“ i nader ożywionój mimiki. Zgromadzenie nie rozumiało go wprawdzie wiele, ale ponieważ rzucał coraz bombastyczniejszymi frazesami, przeto „strzelnica narodowa“ darzyła go oklaskami coraz częstszymi, aż w końcu reszta mowy utonęła w ogólnych okrzykach „brawo!“ i „wiwat!“

Tego było już zanadto dla „człowieka z największym wołem,“ i on też postanowił wygłosić mowę. Zastukał w kieliszek, ale nikt go nie słyszał. Zastukał silniej—to widocznie umyślnie niedano mu przyjść do słowa! Zaczął machać niecierpliwie rękoma, aż w końcu dopomógł mu *monsieur* Jim, stukając w swój kieliszek tak silnie, że zagłuszył wszystkich.

Nareszcie więc posiadacz „największego wołu“ zaczął—cofnął się do dalekiej przeszłości, ciskał groźnemi wyrazami, nie był to już potok, ale wodospad wymowy. Przecinał pięściami powietrze, zdawało się, iż z jego twarzy buchnie płomień, tak ją rozogniały iskry, sypiące się z jego oczu.

Żandarmi nasłuchywali coraz pilniej, spojrzenia ich nabierały coraz poważniejszego wyrazu, jeden z nich tak silnie szarpał wąsa, iż zdawało się, że go wyrwie. Co? Ten człowiek wygłaszał mowę polityczną, odważał się nawet wysławiać rzeszpolitę, teraz, za rządów cesarstwa!

Już zanosilo się na skandal, gdy wtém jedna z papug zakrzeczała:

— Zły człowiek! zły człowiek!

Rozległy się szalone śmiechy—„Największy wół,“ jak go pani Pimento krótko nazywała, musiał usiąść; zdawało się na razie, iż udusi się z gniewu, lecz zalał go potężnym kieliszkiem wina.

Rozmowa nawiązała się nanowo, dysputowano nad rozmia-

rami i wagą panny Korduli; byli tacy, co widzieli inne, daleko tęjsze olbrzymki.

Panna Kordula westchnęła — ach, onaby z chęcią oddała kilka centnarów!

Właścicielka wielkiej tomboli, oraz dzierzawczyni admirała chwaliły się, że mogły były także pokazywać się, jako olbrzymki, gdyby były chciały, co słysząc kapitan, wybełkotał, że nie zapłaciłby pięciu centymów za wejście, żeby je zobaczyć.

Panią Pimento osypywano również komplementami z powodu jej otyłości, a „strzelnica narodowa“ śmiała się tak gwałtownie z uwag, jakie przytém robiono, że dwie damy zadyszane oświadczyły, iż zemdleją.

Co wpadło do głowy Jim'owi? Wstał powoli ze swego miejsca, i niebawem jego mała twarzyczka starca ukazała się obok okrągłej głowy admirała. Nie przywitał jeszcze jego ekscelencyi, podał mu tedy z ceremonialną godnością włochatą łapę. Gdy jednak ujął w swe długie palce drobną, pomarszczoną dłoń karczalka, zdumiał się. Niewątpliwie miał tu przed sobą dziecko. Zaczął tedy ostrożnie i pieśczośliwie, jak to zwykł był czynić z dziećmi, głaskać malca — on trzyletni czterdziestoletniego człowieka — w końcu nawet już macał go po twarzy.

Tego było jego ekscelencyi, który dotąd przyjmował z uśmiechem pieśczoły szympansa, — zanadto. I przyszłoby znów do sceny, gdyby nagle panna Kordula nie zerwała się z przeraźliwym krzykiem, pociągając za sobą obrus, tak, że wszystkie naczynia zabrzęczały i część ich się poprzewracała.

Co się stało? Czyżby małpa na nią się porwała? Czy jakie zwierzę wpadło pod stół?

Przerażonym ruchem olbrzymka odepchnęła skrzynię, na której siedziała, nie zważając na admirała w swej trwodze, i mały jegomosić byłby niewątpliwie spadł ze znacznej jak na jego rozmiary, wysokości, gdyby go Jim nie pochwycił w swe długie ramiona.

— Ach! kury! kury!

Giacometta zrozumiała pierwsza o co chodzi, i śmiała się do rozpuku. Pomiędzy drewnianymi prętami skrzyni, na której siedziała panna Kordula, wyglądały pozakrzywiane dzióbki. Ptaki zagdakały głośno. Nie można było olbrzymce brać za złe jej przestrachu. Czuła ona oddawna w skrzyni jakiś podejrzany szelest, a w końcu spiczaste dzioby zaczęły obrabiać jej nogi.

Któżby w takich warunkach usiadł?

Panie krzyknęły na samą myśl o podobnej niespodziance. Trzeba koniecznie zarządzić śledztwo pod stołem! Kto wie, czy nie łążą tam i takie zwierzęta, którychby nawet za pieniądze w menażeryi nie można widzieć.

Wszyscy chcieli oglądać kury, wszyscy zerwali się z miejsc, powstało ogólne zamieszanie. Panie nie chciały usiąść, dopóki wszystkiego nie poprzewracano; utrzymywano powszechnie, że profesor Blagnon czarodziejską sztuką swoją sprowadził kury do skrzyni. Tak, niewątpliwie, to on! On ich jeszcze wszystkich zaczaruje!

Profesor przyjął to podejrzenie z uśmiechem zadowolenia.

Wtém w drzwiach ukazało się kilka koszów, z których wyglądały srebrne główki butelek od szampana.

— Od kogo to? Kto to kazał przynieść?—wybuchnęła dyrektorowa.

— Kapitan!

— Niech żyje kapitan!—wrzeszczała „strzelnica narodowa.“

Norwegczyk już przez cały wieczór przysięgał, że utopi w szampanie całą menażeryą ze wszystkimi bestyami.

— Niech i tak będzie!—rzekła w końcu pani Pimento z udaną niechęcią. Przepadała za szampanem.

Mocny napój podniecił humor towarzystwa; niektórym biesiadnikom już po kilku kieliszkach zapaliły się głowy. Twarz Farmilli'ego sposepniała; nie powinni byli wpuszczać do menażeryi tego piekielnego trunku.

— To niedobrze!—zauważył.

Badawczym wzrokiem wodził dokoła, jak gdyby przeczu-

wał nieszczęście. Uwaga gości zwróciła się ku zwierzętom, zaczęto je drażnić zlekka—to mu się nie podobało.

Człowiek z największym wołem otoczony śmiejącem się i przyklaskującym ironicznie gronem, oświadczył głośno, w szumnych wyrazach, że całe poskromicielstwo to szopka, i że podejmuje się bez przygotowania wejść do pierwszej lepszej klatki. Twierdził, że te wielkie koty są łaskawe, jak jagnięta.

— W moim wole — wołał. — zapewniam was panowie, tkwi więcej temperamentu, niż w tej całej trzodzie!

Po tych słowach wstał, zatoczył się do jednej z klatek i chciał polechtać opartą o kratę łapę tygrysa. Wtém, głos dźwiękiem do spiżu podobny, krzyknął na samochwalcę, aby się cofnął i wrócił na swoje miejsce. To Farmilli podniósł się i z roziskrzonym wzrokiem rozkazywał „posiadaczowi największego wołu,“ by dał zwierzętom pokój — natychmiast!

Dokoła rozległy się grzmiące oklaski.

Jak ten pogromca wspaniale wyglądał! — wyprostowany, imponujący, górował nad zataczającym się, bełkoczącym tłumem. Stał opornie i niezachwianie, jak latarnia morska. wysyłając miętliwe światło ponad chaos fal szumiących...

Goście zaczęli się domagać widowiska — chcieli koniecznie widzieć Farmilli'ego w klatce.

I obudziły się w tych ludziach dzikie zwierzęta; pragnęli ujrzeć coś potwornego, jakiś czyn śmiały szalenie, niesłychany, któryby wstrząsnął ich stępieniami nerwami.

Pogromca odpowiedział zrazu pogardliwem wzruszeniem ramion; w końcu zaś zawołał donośnym głosem:

— Ależ państwo, nie przerywajmy snu zwierzętom! Czyż mamy im nieustannie przypominać ich niewolę?

Doprawdy, dźwięk tego głosu wpadał prosto do serca; słowa te brzmiały tak pocziwie... Wszelkie propozycje ustały tóż niezwłocznie.

Ponieważ nie udało się z dzikimi zwierzętami, przeto goście coraz bardziej zaczęli zwracać uwagę na doga Lou'a. Osy-

pywano psa pieszczotami, drażniono go, chcąc się napawać gniewem przepysznego zwierzęcia. Zmuszano go nawet do chlupania szampana.

Przytém krążyły z ust do ust różne opowieści o odwadze dogów; twierdzono, że mogą one niewątpliwie stawić czoło dzi kim zwierzętom.

Jedna z dam, dotykając zlekka uśmiechniętymi ustami kieliszka szampana, odezwała się, iż wartoby coś podobnego zobaczyć...

Upojenie zaczęło się domagać wrzawy. Wzniesiono toast. Na czyją cześć? Ależ za zdrowie dostojnego lwa z przyłądka Dobrój Nadziei!

— Jego królewska mość Essed Stary niech żyje! Wiwat, wiwat!—grzmiało dokoła.

W tragicznie poważnych ślępiach Esseda zajaśniała błyskawica; jakby z pogardą, wsunął łeb jeszcze głębiej w olbrzymią grzywę.

I stało się to podczas tych toastów:

W tylnój ścianie klatki, w której leżał wyciągnięty lew, oddychając ciężko we śnie, mając koniec czerwonego języka wysunięty z pyska, otworzyła się mała fórtka.

Lew ten był to młody Berberyjczyk. okaz wspaniały, odosobniony od innych, albowiem miał być sprzedany handlarzowi amsterdamskiemu za cztery tysiące franków. Pogromca już się nim nie zajmował, ale dozorczy utrzymywali, iż nie wyrządzi on krzywdy nikomu.

Przez kilka sekund otwarta fórtka była pustą; poczem przesunęło się coś i jednym susem stanęło w klatce. Fórtka się zamknęła.

Pies!... Zeppa!... Dog!

Kto to zrobił? Przebóg! kto się ośmielił?

Lou wytrzeszczył oczy, patrzył osłupiałym wzrokiem, skamieniał.

Farmilli zerwał się.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął grzmiącym głosem, a w oczach jego rozgorzał gniewny płomień.

— Nie zrobią sobie nic złego, — zauważył ktoś z obecnych.

Wszyscy powstali, zaczęli się tłoczyć, skierowali pożądliwe spojrzenia na klatkę, gdzie stał Zeppa, bijąc gwałtownie ogonem o ziemię, roziskrzonymi ślepiami wpatrując się w śpiące zwierzę.

Dokoła panowała grobowa cisza, słyhać było tylko gorączkowy oddech doga.

Naraz lew się wyciągnął, wysunął łapy przed siebie i ziewnął, otwierając szeroko wielką paszczę.

— Kapitalne! — zawołał ktoś z zapalem.

Farmilli stał przed klatką, trzymając w ręku drąg żelazny. Bronzowe oblicze jego pozostało nieruchome.

Teraz musi się coś stać! Otoż mają upragnione widowisko! Co zrobi lew? Co pocznie dog?

Berberyczyk uniósł się na przednich łapach, z głośnym szelestem potrząsnął młodą grzywą, i dopiero spostrzegł natręta, ale ten wydawał mu się godnym tylko obojętnego spojrzenia. Zaczął tedy spokojnie giętkim językiem lizać prawą łapę.

— Wszak mówiłem, że te bestye nie mają ani źdźbła temperamentu! — zakrzeczał właściciel „największego wołu“ tak głośno, aby państwo Pimentowie mogli go usłyszeć.

Zeppa chciał widocznie lwa rozdrażnić, wysunął przednie łapy i z otwartym pyskiem, wygiętym grzbietem stał, jakby gotów do skoku, naszczekując zcicha. Ciężki jego oddech ciągle jeszcze było słyhać wśród powszechnego milczenia.

Wtém fórtka otworzyła się powtórnie, tym razem wszakże tak gwałtownym ruchem, iż żelazne kraty zabrzęczały hałaśliwie.

I znów wskoczyło cos jednym susem do klatki.

Człowiek!... Farmilli?... Nie, ten przecież stał jeszcze wśród tłumu przed klatką. To nie biały... to jakiś czarny... Lou... tak, on sam!

Rozległy się oklaski.

— Precz!—zagrzemiał znów głos Farmilli'ego.—Niech natychmiast wyjdzie z klatki! Precz, mówię! Niech go dyabli porwą!

Signor Pimento wściekły stanął przed klatką: Co? Lou ma topór w rękę? Chce mu lwa zabić?

Lou stał wyprostowany. Oczy jego strzelały błyskawicami, zęby jaśniały olśniewająco w złowrogim uśmiechu. Twarz pozostała nieruchoma, sprężysta postać nie drgnęła, tylko żyła—sta ręką wywijając z wolna ciężkim toporem wojennym *Auakadaby*.

O, Lou nie opuści swego Zeppy w potrzebie! Wie on dobrze, iż ta bestya nie cierpi czarnych, ale miałżeby rzucić jej na pastwę swego Zeppę, przyjaciela swego?

Z jakichś ust kobiecych wydarł się przeraźliwy okrzyk. Potem nastąpiła cisza — pełne trwogi oczekiwanie wszystkim dech w piersiach zaparło.

Farmilli wybiegł, jak szalony.

I stało się—a trwało pięć, sześć, może siedem sekund—nikt z wpatrzonych w klatkę nie wiedział, w jaki się to sposób zrobiło.

Lew podskoczył. Otworzył paszczę, wyszczerzył zęby groźnie na Lou'a, a powietrze zadrzęło od grzmiących, chrapliwych dźwięków.

Stało się w okamgnieniu!—Któryż to rzucił się pierwszy? Dog czy lew?...

— W miejscu, gdzie Zeppa miał prawe ślępie ukazała się wielka, szeroka rana, a krew bryznęła z niej strumieniem—tam sięgnął lew łapą...

Krew! Krew! Krew! w menażeryi!

Poculi ją mieszkańcy innych klatek, zwietrzyli — zwącha-li — rozległo się parskanie, pożądliwe wycie do krwi, która tam płynęła.

Jeden z widzów zawołał: „Ach!“ z niesłychanem zadowo-

leniem. Ach!... Wszak teraz mieli krew upragnioną ci—po za klatkami!

I widzieli, jak Lou pochwycił psa, jak go odrzucił, jak stanął przed nim, własnem ciałem go zasłaniając. Widzieli, jak ostry topór zabłysnął w dłoni Nubijczyka.

Naraz pies jednym skokiem odepchnął go w bok, tak, że Lou zatoczył się do ściany i niemal stracił równowagę. Zeppa wyjąc wściekle, rzucił się na lwa. Krew z rany tryskała aż na widzów.

Nagle rozległ się ryk krótki, straszny, a w tym jednym tonie zadźwięczał ból bezmierny. Lew cofnął się, padł, wił się na podłodze, łapami i ogonem bijąc o ściany i ziemię. Klatka chwiała się, żelazne pręty brzęczały... Naraz porwał się znowu i podskoczył w powietrze!... Ból oślepił go widocznie zupełnie, bo co raz szaleńszymi skokami ciskał się w próżnię.

Mała fórtka zaskrzypiała, — Farmilli żelazną dłonią wyciągnął z klatki najpierw psa, a potem Nubijczyka.

Co się stało?... Lew krwawił. Z pyska sączyły się czerwone krople. Chrapiąc przewracał się, czułgał, wyrzucał krótkie ryki, skowyczał żałościwie.

W pysk, w sam nos ugryzł go Zeppa. Pimento nie posiadał się ze złości. Z podniesionymi zaciśniętymi pięściami zabierał się do wyjścia.

Powstrzymano go: „Rana nie jest niebezpieczna.“ — z pewnością, perswadowano.

— Co? Nie niebezpieczna? Ugryzł go w nos i nie niebezpieczna? — krzyczał zaperzony dyrektor. — *Sacra... mmento di diavolo!* Zdechnie, musi z tego zdechnąć!

— O, takie przepyszne zwierzę! — biadał w dalszym ciągu. — Miało być sprzedane za cztery tysiące franków! *Dio di Dio*, takie przepyszne zwierzę!

Naraz ogarnęła go znów wściekłość; chciał psa zastrzelić — zaraz na miejscu! Zastrzelił go! — jak pragnie własnego zbawienia — jak pragnie życia wszystkich innych bestyj! — przysięgał.

Zaledwie zdążano go powstrzymać.

Chce Zeppę zastrzelić... Lou stojąc na dworze, usłyszał tylko te wyrazy i podniósł groźnie topór. Kto to chce mi Zeppę zastrzelić? Niech się pokaże, a zabije go natychmiast!

Z trudnością odebrano mu topór. Dano mu do zrozumienia, że *signor* Pimento nie żartuje.

— Lou nie żart!—odparł.

Po jego zmienionej od gniewu twarzy, po konwulsyjnych ruchach wszyscy aż nadto dobrze widzieli, że i on nie żartował.

Usiłowano go uspokoić i radzono, iż najlepiej uczyni, gdy się zabierze i pójdzie w świat, Zeppa nie byłby jednak pewien życia, gdyby Berberyjczyk zdechł. A lew musi zdechnąć: takiej rany w takim miejscu nie przeżyje z pewnością.

Lou niedługo się namyślał. Z wnętrza menażeryi dochodziły go przekleństwa Pimenta i rżenie lwa zranionego... W kilka chwil później, opatrzywszy i zawiązawszy naprędce straszną ranę Zeppę, Nubijczyk i pies wyruszyli w drogę.

Biegli wzdłuż wybrzeża morskiego coraz prędzej i prędzej, chociaż nikt ich nie gonił. Tylko przyplływające fale napierały na nich z coraz większą chciwością. Po za nimi, wokoło nich, przed nimi rozlegał się huk i szum majestatyczny—ścigał ich, jakby tysiącami głosów. Woda sączyła się podstępnie po gładkim piasku, laskocząc, podpływała im pod nogi, otaczała je, chciała ich rozdzielić z lądem... Dlaczegoż nie chronili się w głąb kraju?

Bo tam byli ludzie, straszliwi ludzie!... Raczej być pochłoniętym przez morze, niż znów żyć pośród błyszczącej obłudy ludzkiej!

Ach, Farmilli miał słuszną rację: nie można kochać ludzi! nie, kochać ich nie można!

I Lou silniej objął psa za szyję. Zeppa dyszał ciężko i zataczał się raczej, niż szedł. Nubijczyk z trudnością ciągnął go po mokrym piasku, w którym nogi ich tonęły co chwila.

Zwierzę straciło dużo krwi—a jeżeli zginie z tego?... Na tę

mysł ogień rozpałał się w piersi Lou'a... wówczas zemści się! hej, zemści się krwawo! Wówczas zobaczą oni—ci ludzie—prawdziwego Auakadaubę w jego istotnej dzikości!

Gdy posępna barwa stalowa nieprzejrzaną pustyni wodnej zaczęła przechodzić w odcień jaśniejszy, srebrzysty, a ponad ostremi szczytami skał wzeszły pierwsze blado-żółte blaski jutrenki, wtedy dopiero pies i Nubijczyk ukryli się.

Szczególna to była chata, w której znaleźli schronienie. Z wielkich płyt kamiennych wzniesiona, obrosła gęstymi krzakami jeżyn — był to grób Druidów. Ale wczesnym rankiem już znów nadeszli ludzie, i wygonili ich ztamtąd — w prawdzie tylko niewinni turyści, którzy oglądali grób i mierzyli jego kamienie, aleć zawsze ludzie!

I Lou z Zeppą uciekali dalej.

ROZDZIAŁ XIII.

Rana Zeppy goiła się bardzo powoli — pies utracił jedno ślepie. Leczenie biednego zwierzęcia pochłonęło całą gotówkę Lou'a. Cóż dalej będzie? co począć?

Zebrać? zebrać u ludzi? Nigdy, przenigdy! Lou dzisiaj jeszcze wstydził się, że dawniej zebrał. Raczej głód cierpieć, raczej się zagłodzić, niż zebrać u tych okrutnych ludzi! Lou był już dziś na to za dumnym, i wierzył niezachwianie, że i Zeppa będzie dumnym i pogardzi miłosierdziem ludzi.

Dawna przyjaźń między Nubijczykiem a dogiem powróciła, zmartwychwstała odrodzona w przebytu wspólnym niebezpieczeństwie. Lou nie potrzebował już teraz wstydzić się wzroku psa — w pozostałym ślepiu zwierzęcia jaśniały wyraźniej niż kiedykolwiek wierność i przywiązanie.

I głodzili się, wlokąc nędzne życie, chroniąc się od śmierci tём, co znaleźli na otwartém polu, co im przypadek rzucił na gościniec.

Bieda i pogoń za kęsem chleba pędziła ich wzdłuż i wszerz kraju. Mroźna nędza zimy o mało nie złamała dumy Lou'a; przemyślał nad rozmaitemi sposobami wyrwania się ze szponów głodu, ale wszystkie zanadto zbliżały go znów do ludzi.

W końcu przed rozpaczą szarpiącą znękaną duszę jego, dumę powoli zaczęła ustępować. Nie mógł już dłużej patrzeć na głód okaleczonego zwierzęcia,—serce pękało mu z bólu:—niech się dzieje, co chce, musi go ratować!

Przed kratą uroczej willi w Blaisois odegrała się następująca scena:

Pewnego popołudnia latem, właściciel z dwojgiem dzieci przechadzał się wśród zielonawego mroku w parku, gdy nagle malcy z okrzykiem trwogi przytulili się do ojca.

— Papo, dwoje dzikich zwierząt!—zawołała starsza dziewczynka, wskazując na kratę.

Wciśnięte między żelazne pręty widniały dwie głowy fantastyczne, dzikie, rysujące się niewyraźnie wśród cienia, który rzucały na nie zwieszające się, gęsto liśćmi pokryte gałęzie.

Mogły to być istotnie zwierzęta — jedno z tych stworzeń wszakże mogło też być człowiekiem. Oczy, a widać ich było tylko troje, wpatrzone były przeszywającym wzrokiem w głąb ogrodu. W około błękitnawo brunatnych źrenic tych trojga oczu nie było ani śladu białka.

Właściciel willi stopniowo poznał, że jedna z tych głów była rzeczywiście głową ludzką.

Twarz miała szczególną barwę, jakąś brudną, brązową z czerwonym odcieniem—to pewnie słońce, burze i nędza zafarbowowały tak to oblicze. Gęste wełniste włosy, przyciśnięte żelaznemi prętami do zapadłych policzków, spadały w tył, w dzikim nieładzie, niby grzywa zwierzęcia. Zęby wielkie, ostre, również do zwierzęcych podobne, wysunięte były groźnie naprzód.

Obok tój głowy sterczał wężący pysk doga, z sierścią wyszarzaną, poczochną, koloru ziemi; tylko ścięty czarny nos błyszczał tak, jak gdyby go świeżo polakierowano. Jedna stro-na łba wyglądała, jakby połatana z różnych strzępków. a zamiast ślęcia widniała na niej ciemna, pokurczona blizna.

Wtém wysunęła się przez kratę twarda, wychudła ręka z kościstém, przerażająco długim ramieniem. Pies zaś wydał, zamiast właściciela tój ręki, kilka błagalnych, mianujących prawie dźwięków.

Potém odezwał się głos żalony, którego pojedyncze tony zamierały w chrypcie, niby nieme klawisze zepsutego fortepianu:

— *Moussou! Moussou!... Moussou tobry być... Murzyn tupić! Murzyn bardzo tani!... Lou się nazywać! Lou Paryż!... Lou mieć moussou!... Moussou nieżywy!*

Słowa te brzmiały, jak jakaś dziwaczna litania. Pan w ogrodzie nie zrozumiał i zbliżył się z dziećmi do kraty.

— Oni gryzą, papo, oni gryzą! — zawołał wylekły chłopczyk.

— *Moussou!... Zeppa głód!... Lou głód!... Nie żebrać! Moussou Lou tupić!*

I Nubijczyk poklepał się dłonią po obnażonej piersi. na której żebra ostro wystawały.

— Lou tylko... dwadzieścia franków kosztować!

Naraz w oczach Lou'a zagorzał płomień. Może przypomniał sobie stos złota, jaki zmarły margrabia zapłacił za niego w Kairze...

A teraz sam sprzedawał się za nędzne dwadzieścia franków! Tak, głód zaprowadził go daleko!

Pan potrząsnął głową, bo w istocie nie rozumiał.

Lou nie ustępował — oferta jego stawała się coraz natarczywszą, coraz żałośniejszym dźwięk głosu.

— Dziesięć franków *moussou!... Lou bardzo tani!... — błagał. — Lou i Zeppa wszystko za dziesięć małych franków!... Lou wart pięć franków! Murzyn prawdziwy, nie farbowany!... Moussou tobry... Moussou dwa franki dać... Lou i Zeppę dostać...*

Wreszcie pan wyjął z kieszeni monetę, i z ruchem wskazującym, aby się oddalili, wsunął ją w skurczoną dłoń proszącego.

— Co, nie chce przyjąć?

Doprawdy potrząsnął głową i podaje monetę przez kratę.

— Lou nie żebrać!—wyjąkał.

— Co takiego?—krzyknął właściciel willi.—Niech się wynosi, natychmiast!

Lou ciągle jeszcze trzymał monetę w wyciągniętych palcach. Błyszczała w świetle słonecznym—jakżeby ją chętnie zatrzymał, ale „Lou nie żebrać!“

Nagle Zeppa zaskowyczał zcicha—brzmiało to prawie, jak prośba. Ręka Nubijczyka cofnęła się w okamgnieniu. Z pośpiechem, stanowiącym szczególną sprzeczną z dotychczasowym wahaniem, schował pieniądze.

Skowyczenie psa przypomniało mu „duże miski.“ A może także i suchy chleb, który zamawiał zawsze, jednocześnie z miskami—i nie mógł już dłużej stawiać oporu.

Jeszcze tylko ten jeden raz przyjmie pieniądze—przez pamięć na „duże miski!“

Niebawem gęsty tuman kurzu zasłonił idących,—pies drepiał, dysząc ciężko, Lou włókł się z trudnością obok niego, utykając na jednę nogę.

ROZDZIAŁ XIV.

I znów wielkie wodotryski w St.-Cloud strzelały wielkimi pieniącemi się słupami ku obłokom; i znów unosiła się nad hałaśliwym tłumem mgła złocista, drżąca w promieniach słonecznych.

Przed budą rzeźnika, gdzie z kotłów wydobywał się szary, tłustą woń roznoszący dym, tłoczyli się ludzie zdjęci ciekawością. Rzeźnik, chłop silny, barczysty, z fioletową od pijaństwa twarzą, trzymał za kark okrytego łachmanami Murzyna.

Czy to Lou? Jakże mógł w ciągu jednego roku, od czasu gdy opuścił menażeryą, zestarzeć się do tego stopnia?

Nędza wyryła swe straszne piętno na twarzy zbiedzonej, w której dwoje zapadłych oczu pałało gorączkowym blaskiem. Matowa skóra mieniła się kilku odcieniami—od brunatnego wilgotnej ziemi rolniej do szarzej barwy wyschłego na spiekocie słonecznej piasku. Wełniste włosy posiwiwały, doprawdy, pobielały z nędzy—a może to tylko przypruszył je kurz gościńca?

Był tam i dog także. Ze wściekłą pożądlivością dzikiego zwierzęcia pożerał wielki, lśniący, soczysty kawał mięsa, przy czem mruczał zcicha i jednem ślępiem spoglądał groźnie z ukosa, jakby broniąc smacznej zdobyczy przed tłoczącą się publicznością.

I zwierzę było uderzająco zmienione. Piękna popielata sierść pokryła się warstwą brudu, wśród którego znikła zupełnie biała pierś doga; skóra wisiała na sterczących kościach, jak płaszcz zbyt obszerny.

— Ja go nauczę kraść mięso!—krzyczał zdławionym od gniewu głosem rzeźnik.—Poczekaj kochanku! zobaczysz, jak skradzione mięso smakujel... Co on mówi? Głodny jest, he? Ale to przecież nie potrzebuje zaraz zabierać sobie najsoczystszej ówiaruki mięsa z całego rynku! Widzicie go!

Nie pomogło Lou'owi jego bełkotanie; zrozumiano z jego mowy zaledwie kilka wyrazów, brzmiących niby jakieś zwierzęce dźwięki.

— Zeppa głodny. bardzo głodny!—wołał.—Zeppa umrzeć!... Lou wcale mieć pieniądze!... Lou nie pozwolić Zeppie umrzeć!

Wtém przedostał się przez tłum policyant, pochwyił Lou'a, i chciał go pociągnąć za sobą.

Lou opierał się. Bez psa nie pójdzie!

— Zeppa także iść! Zeppa! Lou nie bez Zeppa!
Nieborak był tak osłabiony, że pokonano go niebawem.

— Zeppa! Zeppa! — krzyczał Lou z trwogą.

— Zeppa! Zeppa! — prosił pieszczotliwym, łzawym głosem.
Pies nawet się nie odwrócił. Pożądliwość, z jaką zaspaka-
jał długotrwały głód, uczyniła go głuchym na wszystko.

— Zeppa iść także! Zeppa *tobry* być... — błagał Lou.

Pies podniósł ślępią, spojrział krótko, obojętnie na wołają-
cego, i pochłaniał dalej swą zdobycz.

— Zeppa! — zawołał groźnie Lou z roziskrzonym wzrokiem.

Głód tak potężnie rozbudził zwierzę w zwierzęciu, że w tej
chwili żrąc, zapomniało o wszelkich obowiązkach przyjaźni i wier-
ności.

Lou wyrwał się raz jeszcze. Z rozpaczliwym rykiem chciał
na psa się rzucić. Wstrzymano go.

Spojrzał na żrącego Zeppę po raz ostatni, wzrokiem peł-
nym bezmiernego przerażenia, i pozwolił się odprowadzić bez
oporu. Szedł, jak we śnie, złamany, z głową na piersi spuszczoną.

— Zeppa... Zeppa... — wybiegało kiedy niekiedy zaledwie
dosłyszczanym szeptem z ust jego.

W areszcie policyjnym wzięli go za waryata. Siedział
skulony w kącie, drżąc na całym ciele, wodził dokoła nieprzytom-
nym wzrokiem i machał rękoma w powietrzu. W krótkich przer-
wach wymawiał na wszystkie tony imię „Zeppa.“ W nocy sły-
szano, jak wykrzykiwał to samo imię, jęcząc głośno.

Tego już zanadto! Ach, tego zanadto! Dla kawałka mięsa,
dla nędznego kawałka mięsa pies go opuścił!

I Lou z wściekłości i bólu bił o mur głową, jak gdyby chciał
zmiażdżyć wszystkie swe myśli.

O, jakże głośno świszcział i syczał w powietrzu tym razem
wielki bat z Kairu!...

ROZDZIAŁ XV.

A jednak nie miał zamiaru zabiczować go ostatecznie. W tém nędzném, ogołoconém ze wszystkiego istnieniu zaświecił raz jeszcze blask szczęścia, niby jeden z tych ostatnich wysiłków, jakimi oślepia nas słońce, nim je pochłonie wielka ciemność burzy.

Zeppa zginał bez śladu; Lou nic o nim nie wiedział. Nie dlatego, żeby odrazu zrozpaczył, iż gdy psa szukać będzie, nie znajdzie go w olbrzymim labiryncie paryzkim. Ale Lou nie chciał go szukać! Nie chciał narażać się powtórnie na to, aby mu rywal, w postaci nędznego kawałka mięsa, wydarł przyjaźń Zeppy.

Ach, jakże go Zeppa obraził! Jakże go ugodził w samo serce!

To nieprawda, co mówił Farmilli, że można prędziej kochać zwierzęta, niż ludzi... A czy można w ogóle kochać ludzi? Nie, o nie! A więc kogoż kochać? Na kimże wiarę swoją opierać na tym świecie? Komuż wierność swoją w daninie przynosić? Któż jest dobry? Kto jeszcze godzien ofiary?

W duszy Lou'a powstała wielka pustka. Króciutkie słówko „nic“, które zazwyczaj w braku innego wyrazu rzucał, jako odpowiedź, nabrało dla niego dobitnego znaczenia.

„Nic“ — pytający cofał się prawie przed tém słówkiem. Padało ono, jak ciężkie uderzenie siekiery, przecinając wszelką dalszą rozmowę.

Lou dał się powodować przypadkowi, żył z dnia na dzień. Przyjmował różne zajęcia na chybił—trafi, i rzucał je nagle. „Dla kogoż miał się głodzić? Ale dla kogoż téż uganiać za zarobkiem?“

Ubrany w fantastyczną liberyą, w nowym fezie na głowie, stał Lou pewnego dnia na rogu ulicy Royale i placu Zgody, zao-

patrzony w stos kartek z reklamami, które miał, z polecenia blizkiego bankrutwa restauratora, rozdawać przechodniom.

Było to w styczniu, w dzień mroźny, pogodny, w porze, o której szeregi powozów powracają z lasku Bulońskiego, iskrząc się i błyszcząc w błado czerwonym blasku popołudniowym, ciągnięte spienionymi końmi, napełnione rozrozumienionymi świeżym, orzeźwiająjącym powietrzem twarzami.

Naraz powozy zatrzymały się. Tuż przed Lou'em stanęła wykwintna, w dwa przepyszne rumaki, zaprzężona „wiktoryja,” w której siedziała młoda kobieta. Lou rzucił na pojazd przypadkowe spojrzenie i wyciągnięta ręka z kartkami zdrętwiała. Z przestrachu, ze zdumienia! Cud się stał, czy co?

Wśród kosztownego futra, wśród błyszczących, lśniących drobnostek turletowych, owiewających kobietę niby wonnym obłokiem, jaśniało coś czerwonego. Nie owa jaskrawa płomienna czerwień, która tak zwracała uwagę wszystkich na niejaką oddawna przepadłą Lili—nie, lecz wspaniałe złoto, z czerwonym odblaskiem... a jednak to Lili! Tak, Lili!

Lou patrzył na zjawisko wytrzeszczonemi oczyma. Naraz kobieta podniosła głowę strojną w małego kapelusik. Lekki śmiech przemknął po olśniewająco białej twarzy, zasłonięj przezroczą gazą, a między purpurowemi ustami zabłysły drobne zębki.

— Lou!—zawołała, głosem do uderzenia srebrnego dzwonka podobnym.

Ach, to ona! to ona!

I Lou poskoczył do powozu, i rzucił się na drobną rączkę, zaledwie dostrzegalną wśród kokard i koronek futranego zarękawka, iskrzącą się od bransoletek, które się na nią zsunęły.

Jak on całował woniejącą rękawiczkę! Odchodził od zmysłów ze szczęścia! z ust jego wybiegały niezrozumiałe, szczególne dźwięki, jak gdyby nauczył się ich od zgubionego Zeppy radosnego skowyczenia.

Po chwili Lou siedział w powozie, naprzeciw niej. Ciepła

miękką dera futrzana przykrywała oboje. Co za rozkoszna woń unosiła się z téj dery—jakim jasnym, wesołym blaskiem promieniały *jéj* lazurowe oczy!

Lou był, jak odurzony, oczarowany, nieprzytomny prawie. Drżał na całym ciele, wszystko tańczyło i skakało mu przed oczyma—taką zdumiewającą białością zęby jego nie lśniły jeszcze nigdy.

Głos *jéj* wyrwał go z oszołomienia.

— Ależ Lou, rzućże te głupie kartki!—zawołała.

Usłuchał bezmyślnie. Wjeżdżali właśnie z placu Ś-téj Magdaleny na bulwar tegoż nazwiska, gdy z przeraźliwém „A—i!“, które mu się wyrwało z bezmiernéj uciechy, cisnął wysoko w powietrze całą paczkę kartek.

Zdawało się, iż wypuszczono wielkie stado gołębi. Kartki pofrunęły daleko, przez szeroki chodnik, ponad spacerującym tłumem, ponad powozami i omnibusami. Niektóre porwane wiatru powiewem strzeliły wyżej, a tonąc w ognistych promieniach zachodzącego słońca, jaśniały niby przepyszne purpurowe szmaty.

Wirowały wokoło majestatycznych kolumn kościoła Ś-téj Magdaleny, przepelniały plac cały.

Kilka z nich wpadło napowrót do wiktoryi—Lili schwyciła je w wybuchu dzieciennéj radości. Dystygowana wystrojona dama, przemieniła się nagle w motyla. A śmiała się tak serdecznie, tak orzeźwiająco! tym samym dawnym srebrnym śmiechem, który dzwonił niegdyś tak głośno na ciasnym dziedzińcu. Rozkoszne te dźwięki budziły i tutaj wesołe echo między poważnemi kolumnami świątyni.

Całe to wydarzenie zwróciło powszechną uwagę. W kawiarniach tłoczyły się za lustrzanemi szybami głowy panów uśmiechnięte, kłaniające się; kilka par rąk, obciśniętych wykwintnemi rękawiczkami, złożyło się do oklasku. Młodzież uliczna z głośnemi okrzykami chwytiała wirujące kartki; nawet spokój, niby z wosku ulanych, dystygowanych twarzy kobiecych w ekwipażach, zakłócił lekki uśmieszek.

Bo i kto nie znał Miry „złotój Miry,“ *divy* teatru „Renaissance,“ rozpieszczonego Benjamina dzienników bulwarowych, tego najweselszego, najzuchwalszego, najswawolniejszego słowiczka w całym Paryżu? Kto nie znał jęj śmiechu, który wpadał prosto do serca perlistą kaskadą? Każda jęj nota, to czyste srebro, odzywające się co wieczór brzęczącym echem w kasie teatralnej, a ona teraz rzucała tém srebrem na ulicy, tak, że je każdy mógł pochwycić!

Zachwycające widowisko bezpłatne... o, co za rozrzutnica!

Wiktorya dawno już opuściła plac Ś-tęj Magdaleny i toczyła się po bulwarze, a Mira ciągle jeszcze trwoniła swój śmiech srebrny. I to wszystko dla osłupiałego ze zdumienia Lou'a, bo uroczę dźwięki tonęły teraz w turkocie kół i wrzawie ulicznój. Wszystko dla Lou'a—którego od jednego razu chciała z bogacić.

Wzięła jedną z kartek i czytała.

— Gdzie można najlepiej jeść w Paryżu?... No, Lou, czy wie?... Gdzie jest Eldorado wszystkich smakoszków paryzkich?... No, Lou, gdzie? Ha, ha, ha! On nawet sam nie wie!... Lou, on jest zawsze tym samym dobrym chłopcem, nieprawdaż?... Lou, ja mu powiem: na ulicy Picardette, № 323!... tak, tam!... Schadzka narodów, czy słyszy?... Śniadanie, franka siedemdziesiąt pięć, ha, ha, ha! Obiad dwa franki pięćdziesiąt, trzy franki, trzy franki pięćdziesiąt, ha, ha, ha!... Wina wyborowe... ha, ha, ha!

I rzuciła kartkę.

— To nieprawda Lou, co tam na jego kartce wydrukowano. Będzie musiał kazać sobie zrobić inne, czy słyszy? Gdzie się jada najlepiej, he? No, Lou, u panny Miry... pierwszej subretki wielkiego teatru „Renaissance,“ mieszkającej na ulicy Provence, № 17. Przekona się sam, czy jęj kuchnia nie pobije Eldorada smakoszków paryzkich... Obiady trzy franki, trzy franki pięćdziesiąt, cztery franki, wina wyborowe, ha, ha, ha!

— Jakóbie, jedźcie przez wielkie bulwary!—zawołała po chwili do szerokich nieruchomych pleców stangreta, który, jak olbrzym, sterczał ponad głową Lou'a.

Wkrótce potem absynty i likiery w kawiarniach wielkich bulwarów opowiadały sobie niesłychaną nowinę, że widziano „złotą Mirę“ we własnej kapryśnej osobie. jadącą dumnie powozem z zupełnie zwyczajnym idyotą Murzynem przez oświetlone bulwary.

— Może to brat?—zartował swawolny maraschino.

— Hrabia Cabrera ucieszy się takim szwagrem!--wtrącił zjadliwy zielony absynt.

Dymiący mazagran natomiast był oburzony, iż można przypisywać hrabiemu Cabrerze jakieś poważne zamiary względem téj Miry.

ROZDZIAŁ XVI.

W godzinę później Lou siedział na ulicy Provence, № 17, przy stole „złotéj Miry,“ i miał zawyrokować, czy u niéj nie lepsze jedzenie, niż w tém okrzyczaném „Eldorado smakoszków,“ na téj „Schadzce narodów.“

— Najdroższy Lou! Ależ on nic nie je! Co prawda nie dziwię się, to tylko komedyancki obiad!.. Nam aktorom wolno jedynie jeść delikatne rzeczy, i to jeszcze musimy skubać, jak ptaki, jeżeli chcemy wieczorem, jak ptaki, śpiewać. Innym razem pozna on moją kuchnię w jéj prawdziwym blasku,—szczebotała, kładąc mu smaczny kąsek na talerz.

Ach, Lou przecież wcale jeść nie mógł. Zdumienie, które go nie opuszczało, zatarło w nim wszelki ślad głodu. Przytém nie śmiał dotknąć błyszczących nożów i widelców z ciężkiego srebra, a tém mniej krajać na delikatnie malowanych kwiecistych arabskach ślizkich talerzy.

Wszystko, co stało na tym stole, iskrzyło się, lśniło, świeciło; blask ten udzielał się nawet podawanym potrawom, a para unosząca się nad półmiskami zabarwiała się złotawo od rozkosznie grzejącego obfitego światła, które rozsiewała wielka lampa wisząca.

Po za świetlaném kołem tój lampy reszta pokoju niknęła w brunatnym cieniu. Na suficie rozróżnić było można tylko tu i owdzie delikatne jaśniejsze brzegi boazeryi, a z ciemnych gobelinów na ścianach spoglądały, niby widma z oddali, pojedyncze figury. Każdy dźwięk, spowodowany zmianą naczyń na stole, każde przemówione słowo, wydawały się szczególnie przytłumionemi w tym mroku. Tak tam było przytulnie...

Przesuwająca się, jak duchy, służba sprawiała kłopot Lou'owi. Ani się spostrzegł, gdy nagle wyłaniał się z ciemności tuż obok niego półmisek, a wnet potem widział naprzeciwko, po drugiej stronie, gdzie siedziała gospodyni domu, przemykający się z tym samym półmiskiem, cień bardzo dystyngowanego pana, w olśniewająco białym krawacie i takiéjże kamizelce. Niekiedy wsuwała się w świetlane koło i twarz tego pana — wygolona twarz przebiegłego dyplomaty, która niepokoiła Lou'a. Zdawało mu się, że powinien wstać, ukłonić się temu panu i zapytać o pozwolenie, czy może siedzieć przy stole.

Mira zarzucała Lou'a tysiącem pytań — chciała, żeby jój opowiedział wszystko: co porabiał, jak mu się wiodło, gdzie był przez ten czas...

— Poczekaj, to musi być już bardzo dawno...— rzekła. i usiłowała sobie przypomnieć.

Ale wnet się zniecierpliwiła i zawołała:

— Ach, Lou, czemu nic nie je? Klaudyuszu, podaj jeszcze temu panu!

I znów ukazał się obok Lou'a tajemniczy półmisek.

Lou z trudnością wybąkiwał odpowiedzi.

Czy mu się źle powodziło?—pytała „złota Mira.“

— Tak!—skinął zlekka głową.

— Jaktol! Niechże mi opowie, no, Lou!

Wzruszył ramionami i w téjże chwili zakrztusił się większym kawałkiem mięsa.

Parsknęła śmiechem.

— No, ale od dziś będzie mu lepiej! Zostanie u mnie, czy chce, Lou?

Ze skwapliwością skinął kilkakrotnie głową na znak potwierdzenia, poczem wszakże zaraz rzucił z ukosa pytające spojrzenie na usługujący cię w białym krawacie: co téż on powie na to?

W przedpokoju odezwał się dzwonek. Pokojówka, ubrana pstro i zalotnie, jakby wykrojona z żurnalu z modami zapustnymi, w czepeczku, którego wstążki powiewały wesoło, stanęła we drzwiach i ćwierkającym głosem zameldowała pana de Fronsacques.

-- Nie przyjmuję, rozumiesz Maryetto! — zawołała Mira.

— Pan de Fronsacques! — powtórzyła Maryetta głosem dobitniejszym, nawpół zdumionym, napół natarczywym.

— Nie przyjmu-ję, mówię ci!

I Mira niecierpliwie uderzała za każdym wyrazem w stół trzonkiem od widelca, który trzymała w drobnój dłoni prosto, ni-by berło.

Pokojówka, jak strzała, wykręciła się na obcasie i zamknęła drzwi z hałasem.

— Sądzę, że chyba jeszcze mam prawo być sama, skoro zechcę, — rzekła Mira, odrzucając w tył główkę zdobną w złociste sploty. — Mamy sobie dużo do opowiedzenia, nie prawda, Lou?... Klaudyuszu, powiedz Jakóbowi, żeby powóz zajechał o siódmj.

Lou nie słyszał, czy tajemniczy pan Klaudyusz wyszedł.

— Czy pamiętasz Lou, jakeśmy byli razem w tearze maryonetek na polach Elizejskich? I jakeśmy się wówczas śmieli? Pójdziemy tam znów kiedy, żeby się porządnie nśmiać, dobrze?

Lou się zamyślił.

— No, Lou, przecieżeś chyba śmiać się jeszcze nie zapomniał

Ja cię zresztą znów nauczę. A z twoją francuzczyzną także jakoś nie tego stoi. Czy będziemy znów brali lekcyę, co?

Dzwonek odezwał się powtórnie. Wstążki małej pokojówki zamigotały znów we drzwiach.

— Proszę pani, hrabia Cabrera!

— Nie przyjmuję, czyż nie słyszysz, Maryetto? Mówiłam ci przecież! A to istny spisek dzisiaj!

Głos jój brzmiał prawie gniewnie.

Maryetta ciągle jeszcze stała.

Mira gwałtownym ruchem postawiła na stole kieliszek, który właśnie do ust podniosła.

Wówczas dopiero drzwi się zamknęły z większym jeszcze, niż poprzednio trzaskiem.

— Czy pamiętasz Lou, jaką biedę mieliśmy z tym psem, z tym Zeppą? Ciekawam, gdzie się podział.

Twarz Lou'a spochmurniała.

— Zeppa nie!—wyjąkał z cicha.—Zeppa nie *tobry!*

I zaczął gwałtownie obracać na talerzu kawałek pulardy, który mu Mira podała.

— Aha!—rzekła,—niedobry! Czy nie mówiłam zawsze, że w tym psie tkwi intrygant?

Lou westchnął ciężko, i jakby ze złością, zaczął obrabiać skrzydełko pulardy, które trzymał w ręku.

— Proszę pani, baron Wisby!—zaewierkała znów we drzwiach pokojówka z żurnalu.

— Mówiłam przecież... ileż razy mam ci powtarzać?... Kto tam? Baron Wisby?

I Mira uśmiechnęła się z politowaniem.

— Ach, ten poczciwy Wisby! Co tam! poproś go, Maryetto.

Tym razem drzwi zamknęły się bez najłżejszego szmeru.

Niebawem ukazał się przystojny, bardzo jaskrawo ubrany blondyn, z nader starannie uczesaną kształtną głową, podobną do głowy lalki. Wszedł, podrygując i kłaniając się kilkakrotnie.

Mira podała mu dłoń alabastrową, podnosząc ją bardzo wysoko, widocznie do pocałunku. Ręka jego, obciśnięta w paliową rękawiczkę, ujęła z pewnym wahaniem drobną dłoń, której zaledwie dotknęły koniuszeczki pielęgowanych, jak klejnot jaki, wąsów. Gdy podniósł pełną i dziecinnie świeżą twarz, widać było, że ją oblał gorący rumieniec.

Mira skinęła poufale główką, jakby chcąc mu dodać odwagi.

Następnie przedstawiła z poważną, prawie uroczystą miną:

— Pan baron Wisby... pan... pan Lou z Kairu.

Wisby złożył etykietalny ukłon, Lou zaś siedział sztywny, osłupiały, wyszczerzając zęby do Miry i przybyłego.

Mira zachychotała, a Wisby, jak w cud, wpatrywał się w Nubijczyka blado niebieskimi oczkami.

— Czy panowie je szcze się nie znają?— zapytała figlarnie śpiewaczka.

Wisby przypomniał sobie: czy to nie jest przypadkiem ów czarny zmarłego margrabi Breteuilles'a?

Mira wskazała baronowi miejsce obok siebie i zaczęła go wypytywać: co porabia? co słychać now ego? czy dawno nie widział tego lub owego? dlaczego nie był wczoraj w „Renaissance“?

Wisby odpowiadał na wszystko krótko, nieśmiałym tonem czternastoletniego podlotka z prowincyi.

Rozmowa nie byłaby się ożywiła, gdyby nie błyskotliwy szczebiot Miry. Kiedy niekiedy zadzwoniła śmiechem. Wisby także śmiał się z nią razem, uczciwie, serdecznie... no, i Lou zmuszał się do śmiechu, jak mógł. Ach, on już tak dawno się nie śmiał! Mira chyba naprawdę będzie musiała go uczyć.

Skinęła na Lou'a, by usiadł przy niej, z drugiej strony, poczem wzięła czarę z cukierkami i zaczęła je rozdawać obu sąsiadom — każdemu nałożyła pełny talerzyk. Ponieważ jednak żaden z nich nie jadł, przeto postanowiła nakarmić ich sama. Komicznie poważnym ruchem, jak gdyby zabierała się do jakiejś uciążliwej pracy, odrzuciła wysoko kosztowne rękawy koronko-

we, odsłaniając śnieżne, błękitnymi żyłkami poprzecinane ramiona. Następnie nim zdążyli się obronić, mieli obaj po cukierku w ustach.

Wisby zaczerwienił się po uszy, ale posłuszny zgryzł cukierek.

— Niech mi zaraz połkniesz!—krzyknęła na Lou'a.

I znów wetknęła każdemu cukierek.

— Prędko! Trzeba porządnie gryźć!

Wzięła sama także jeden i zatopiła w niego ostre ząbki, aż zachrupał głośno.

Podawała im ponownie. Wisby bronił się paliowemi rękawiczkami,—dała mu klapsa, i nic nie pomogło.

— Już ja muszę bawić się z wami w mateczkę. A wy macie być posłuszni, rozumiecie! Otworzyć usta, mówię! Lou, ma otworzyć zęby!—komenderowała.

I pchała im w usta jeden cukierek po drugim, i sobie także, coraz prędzej i prędzej. Nie mogli już w istocie podołać, krztusili się, dławili.

Wtém wbiegła mała pokojówka, jak wicher:

— Proszę pani, nie dali się odprawić, pozostali w salonie; to nie moja wina. Mówili, że skoro pani Wisby'ego... przepraszam barona Wisby'ego przyjęła, to i oni nie odejdą. Otoż i oni!

Wysoki i silny „piękny Fronsacques“ usunął poprostu obie rękoma na bok żywo gestykującą laleczkę; za nim szedł Cabrera, którego wielki monokl błyszczał jasno wśród panującego w pokoju mroku.

— Przepraszam, żeśmy przemocą wtargnęli,—rzekł Fronsacques, pokręcając istotnie pięknego wąsa, na banalnej zresztą, dystyngowanój twarzy.

Cabrera nie odezwał się, tylko monokl jego błyszczał złowrogo.

— Witam panów!—zawołała, a raczej zaśpiewała Mira.— Przepraszam, ale doprawdy był powód was nie przyjmować!—

i schrupała cukierek, który miała właśnie w ustach. — Dobry stary przyjaciel... spotkaliśmy się niespodzianie... mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Ach, *pardon*... nie wiem, czy panowie się znają?

I przedstawiła znów ceremonialnie, z lekkim tylko uśmiechem na pełnych ustach:

— Pan Lou z Kairu... hrabia Cabrera... baron Fronsacques!

Nerwowém zmrużeniem lewego oka zrzucił Cabrera monokl i skierował na Lou'a małe, czarne, błyszczące źrenice.

I Nubijczyk, ciągle jeszcze gryzący cukierek, wpatrzył się w dobrze znaną pergaminową twarz hrabiego. Fronsacques, dla szyku, zdobył się na éwieré kiwnięcia głową.

— Ach, jeżeli się nie mylę, toć to nasz stary, poczciwy idyota, Lou!—odezwał się nosowy głos Cabrery.—I cóż porabia? Gdzie się wałęsał?

Po czole Miry przemknął delikatny rumieniec — po czole, nie po licach, bo ta szminka uczyniła dla rumieńca niedostępnymi.

— Hrabio Cabrera,—rzekła spokojnie, ale bardzo stanowczo,—pozwoliłam sobie przedstawić ci mego dawnego przyjaciela... nie wiem do kogo stosowałeś swoją przemowę? Ale panowie wybaczą, jeżeli my sobie przeszkadzać nie będziemy. Może panowie zechcą usiąść.

Wzięła czarę, i pochylając nad nią twarzyczkę, zaczęła pilnie szukać jakiegoś cukierka.

— Może i panowie pozwolą?—odezwała się ze spuszczo-nym ciągle wzrokiem.

Naraz, gdy podniosła oczy, uchwyciła krótki, wymowny gest hrabiego; Cabrera niedbale, ale rozkazująco skinął na Lou'a ręką, aby mu przyniósł do stołu jedno z wyściełanych krzesel, stojących pod ścianą.

Nic więcej. A Lou, poczciwy Lou, już chciał się podnieść.

— Siedzieć!—krzyknęła na niego Mira.

Ale ona zerwała się, spojrzała na Cabrereę piorunującym wzrokiem, wpijając ostre ząbki w dolną wargę, schwyciła za starożytny dzwonek brązowy i zadzwoniła mocno, głośno, jak na alarm.

Klaudyusz wszedł natychmiast.

Nie odwracając się do służącego, rozkazała:

— Klaudyuszu, podaj panom tamte krzesła.

Powiedziała to bardzo wolno, nie zaszczycając nikogo spojrzeniem, nawpół przysłonionemi złotą rzesą oczyma patrząc w próżnię.

Klaudyusz zrobił, jak mu kazano.

Cabrera wzruszył wywatowanemi ramionami. Wszak byli przyzwyczajeni do podobnych wybryków *divy!* I roześmiał się z zabawnej rywalizacyi, jaka go czekała z tym ciemnym dżentlemenem.

Wpół godziny później, gdy panowie wyszli, Mira kazała sprowadzić krawca dla Lou'a — krawca męskiego, pierwszorzędnego naturalnie.

— Zrzucisz natychmiast te pstre łachmany, Lou, słyszysz! — krzyknęła.

ROZDZIAŁ XVII.

Jeszcze tego samego wieczora Lou słyszał Mirę śpiewającą.

Świetna krotochwila „Fla-Fla,“ ciągle jeszcze, mimo kilkuset przedstawień, przepełniała do ostatniego miejsca widownię teatru „Renaissance.“ Teatr zawdzięczał Mirze znakomite dochody. Była ona niewyczerpaną w pomysłach, coraz to nowym dodatkiem urozmaicała swoją mieniącą się najrozmaitszemi kostiumami charakterystycznemi, rolę.

W krzesłach obok Lou'a siedział gruby, zasapany jego-
mość, który pysznił się t \acute{e} m, że z dwustu sześćdziesięciu sześciu
widowisk „Fla-Fla,“ opuścił tylko pięć.

— Nie mogę sobie wyobrazić, co to będzie, gdy „Fla-Fla“
przestanie istnieć. To mnie do grobu wpędził—rzekł z ko-
miczn \acute{e} m westchnieniem.

Dokoła mówiono o Mirze. Kilku zapaleńców wynosiło ją
pod niebiosa.

— Mira jest bożka! Mira jest jedyna!... To chwała nasze-
go stulecia! To najświetniejsza gwiazda, jaka kiedykolwiek wze-
szła na firmamencie sztuki!—wołali naprzemian.

Jakiś młodzieniec, z iskrzącymi oczyma i nerwow \acute{e} m drga-
niem w twarzy, groził uroczyście, że zabije każdego, ktoby się
odważył naruszyć aksyomat nieomyln \acute{e} j chwały „złot \acute{e} j Miry.“

— Zasztyletuję go poprostu na miejscu!—zapewniał.

Wt \acute{e} m kurtyna się podniosła i niebawem ukazała się
„chwała stulecia,“ powitana grzmiącymi oklaskami.

Ach, jakże ona znów podbiła Lou'a, jakże silnie oplątała
jego serce czarodziejskimi tonami! Jak on w jedn \acute{e} j chwili za-
pomniał o wszystkich drobnych przykrościach, które mu wyrzą-
dzała, dopóki go w końcu pewnego dnia potajemnie nie opuścił!
W obec tych melodyj rozpl \acute{e} nęła się nienawiść do ludzi... i może
byłby zdolny znów zaufać zwierzęciu... psu... Zeppie samemu,
gdyby przed nim stanął. Niewątpliwie byłby wszystko przeba-
czył w t \acute{e} j chwili.

To istna czarownica! Oprz \acute{e} c się j \acute{e} j było niepodobieństwem.
Lou uczuł, że zamienił się znów w j \acute{e} j r \acute{e} kach na rzecz woli po-
zbawion \acute{a} .

Bił zapamiętałe brawo razem z innymi. Zdawało mu się,
iż z rz \acute{e} du po za nim dawał ktoś sygnał do klaskania i wnet roz-
legał się wrzask ogłuszający, a ręce, które składały się do okla-
sku, musiały być specjalnie do tego wybrane. Odzywał się, jak-
by wyuczony ch \acute{o} r klaskający, w którym można było odróżnić
pojedyncze wyższe i niższe g \acute{o} sy, a g \acute{o} rujący nad wszystkimi

bas reprezentowany był przez parę potężnych, czerwonych obrzmiałych dłoni.

I Lou pociągnięty ogólnym zapałem klaskał tak, że go ręce paliły, jak ogień, ale nie ustawał, nie chciał się dać przescignąć przez innych.

Raz jeden tylko, gdy znów składał razem z innymi dłonie do oklasku, zatrzymał się zdumiony.

Do perlistej kaskady swoich pasażów i tryłów dołączyła Mira dodatek — coś niesłychanie oryginalnego, czarodziejskiego, niby echo z jakiegoś odległego, zakłętego świata. Melodya ta zapierała dech w piersi, czarowała duszę, wyciskała łzy z oczu...

Większa część słuchaczy ją znała. Pierwsze nóty powitano radosnym: „A... ach!...” poczem wszyscy słuchali wniemym zachwycie.

Tekst był niedorzeczny: *„Moja matka zjadła mi daktyle, a ja gniewam, gniewam się”* i t. d. Ale, jakimi te niedorzeczne wyrazy płynęły tonami, jakimi ona je wyrzucała nótami swawolnemi, z jakim głębokim smutkiem konały!

Teatr zatrzęsł się od oklasków. Domagano się innej, również znaniej pieśni.

Diva nie dała długo się prosić. *„Co za szczęście, gdy poranek obdarza mnie masłem i mlekiem!”* zabrzmiała znów pieśń z taką szaloną werwą, że powstało w widowni istne zamieszanie.

Zkąd ona wzięła te pieśni? Lou sam tylko wiedział.

Było to przed sześciu laty, w upalny wieczór lipcowy, w parku Monceaux. Lou siedział z Lili w rotundzie, pod kolumnami. Woda w poblizkiej studni szemrała tajemniczo, a błyszczące fosforycznym blaskiem zielone robaczki świętojańskie roiły się wśród ciemnych zarośli. Niekiedy nadciągnęły taką migoczącą chmurą, że na kolumny marmurowe padały aż blade refleksy.

Samotnie było dokoła; wrzawa miejska zaledwie przyciszonym, słabym echem dobiegała do téj idylicznej wyspy w parku.

Lili swoim zwyczajem nóciła ulubione paryskie piosnki uliczne i nagle zapytała Lou'a, czy też tam w Kairze nie nie śpiewają?

Wówczas przypomniał sobie niektóre piosenki, śpiewane przez fellahów, oślarzy kairskich, podczas wypoczynku u stóp piramid. Lili roześmiała się z dziwacznych dźwięków i z nieudolnego śpiewu Lou'a, ale musiał melodyą powtórzyć i ona słuchała bardzo uważnie.

Zapytała o znaczenie słów. Lou z trudnością przetłómaczył wyraz po wyrazie, poczem ona powtórzyła, i z zapalem rzuciła się do tych piosnek fellahów.

W kilka dni później śpiewała je tak naturalnie, jak gdyby z niemi wzrosła.

Pieśni te zatarły się w pamięci Lou'a wśród przebytych przygód, a teraz odezwały się do niego z tonacęj w jaskrawém świetle sceny paryskieję! Rozgorączkowane czoło jego owionęła niby słodka woń z oddalonej ojczyzny; serce biło mu, jak młotem.

Ale klaskać nie mógł teraz, nie, za nic w świecie, byłoby to profanacyą. I siedział milczący, nieruchomy, wśród burzy, wstrząsającęj całym gmachem.

W antrakcie uchwycił parę u wag. Sprzeczano się o pochodzenie piosnek. Ów młodzieniec, który chciał „poprostu każdego zasztyletować,“ utrzymywał, że Mira skomponowała je sama.

— Dosyć—mówiono,—że im zawdzięcza swą karierę.

Jakiś pan objaśnił słuchających, iż przed dwoma laty śpiewała te piosnki po raz pierwszy w „Alkazarze“ w Bordeaux, i wnet zrobiła niemi furorę, chociaż dotąd mało zwracano uwagi na jęj cienki głosik.

Zadecydowano, że to talen t niezwykle, że trzeba go popierać,—a do tego te wspaniałe rude włosy! Przybrały one z biegiem czasu odcień bardziej dystyngowany: padł na nie refleks złota, które odtąd stosami całemi rzucano jęj pod stopy. Agent tropiący głosy, uprowadził ją niebawem z „Alkazaru“ w Bor-

deaux i przez całe jedno lato owemi pieśniami jedynie robiła niesłychaną furorę w wielkim „Alkazarze“ pól Elizejskich. Musiała nawet śpiewać u dworu, a podczas jednej ze świetnych zabaw letnich w Compiègne osypano ją odnaczeniami i hołdami. W końcu udało się przedsiębiorcy teatru „Renaissance“ odnieść zwycięstwo nad ponętными ofertami kolegów i pozyskać tę gwiazdę. Naturalnie musiał ją wykupić z „Alkazaru“ za niesłychaną cenę.

— Specyalność, moi panowie,—wysapał otyły jegomość, który był obecny prawie na wszystkich dwustu sześćdziesięciu sześciu przedstawieniach „Fla-Fla,—“ wszystko zależy od specyalności, moi panowie!

Lou nie wszystko zrozumiał, jednej rzeczy wszakże był pewien: że pieśni fellahów szczęście jój przyniosły. Za pomocą tych nędznych, małych, nic nieznaczących piosenek weszła na błyszczący szczyt sławy!

I to Lou nauczył ją tych piosenek, nędzny y, nic nieznaczący, czarny Lou!

Błogie uczucie zadowolenia ogarnęło pierś jego. Zdawało mu się, że powinien wyżej i dumniej nosić,—nie głowę,—tę ludzie, co nim pogardzać będą i nadal,—ale poczucie człowieczeństwa, do którego i on już teraz ma prawo.

Więc i on przydał się jednak na coś na tym świecie! Więc nie był jedynie wart, aby go, jako rzecz zbyteczną, odrzucić na bok, bo jest czarny!

ROZDZIAŁ XVIII.

— Dlaczego nie miały umieć grać roli pana, „Lou?—rzekła Mira.—Ubranie ma po temu, dlaczegożby więc nie miał zostać takim dobrym panem, jak hrabia Cabrera, albo pan de Fronsecques? Czegoż właściwie do tego trzeba? Ba, kilku metrów sukna, które sławny krawiec zczepi stosownie do wymagań szuku, kilka gestów, parę komplementów, parę wyuczonych frazesów,—no i niekiedy porządną dozę głupoty... zapewniam cię!

— Co? Bo jest czarny? Ależ właśnie dlatego! Właśnie dlatego! Jak gdyby czarni nie mieli tych samych praw co biali! Zobaczmy! Ja ich już nauczę szanować mego ukochanego przyjaciela Lou'a!

Lou westchnął. Ach, udawanie pana przychodziło mu z wielką trudnością. O ile dawniej polectana próżność pobudzała go do paradowania w charakterze eleganta w niedzielę, popołudniu na bulwarach, o tyle teraz sponiewierany tak ciężko przez los, nie mógł przywyknąć do téj roli.

— Lou nie pan...—mówił.

Wyglądał, jak półtora nieszczęścia w swém nowém modném ubraniu. Czuł się w niém, jak w klatce, którą musiał wlec za sobą, wskutek czego jego ruchy stały się naprawdę ociężałemi, niezręcznemi, i musiały narażać go na pośmiewisko.

Tak, widział on dobrze, jak się z niego śmieli, jak z niego szydzili, słyszał z boku chychoczące uwagi. Niepokonana obawa ogarniała go wobec ironicznie skrzywionéj dyplomatycznój twarzy dystygowanego, tajemniczego *maître de table*. Wyuzdane żarty żeńskiego personelu służbowego drażniły go, jak rój dokuczliwych komarów. Komicznie przesadne dowody szacunku Maryetty doprowadzały go często do rozpacz.

— Lou nie pan!—westchnął i postawił na stole świecący

Lou. Dodatek do Nr. 341 Tygod. Ilust.

czarny cylinder, zdzierając z trudnością obcisłe glansowane rękawiczki.—Lou służący! Mira *tobra* być! Mira wierna być. Lou służący Miry być!

— Czego chce?—zawołała.—Nic z tego nie będzie! Jaby miała pozwolić, żeby mój dawny przyjaciel był służącym! O, Lou jeszcze nie zna Miry! Oni obchodzili się źle z *nami*, gdy byliśmy biedni, mali, i mieliśmy rude włosy; a teraz my wzamian będziemy się z *nimi* źle obchodzili!

Przytém machnęła kilkakrotnie w powietrzu szeleszczącym wachlarzem.

— Niech się gniewają, niech się złością! Tego chcę właśnie!

Już ona ich nauczy szacunku dla niego!

ĆPewnego razu, gdy mieli wyjeżdżać razem na spacer, a Mira już weszła do powozu, lokaj zatrzasnął drzwiczki przed nosem Lou'owi, który również chciał wsiadać.

— Co to ma znaczyć?—zawołała Mira z roziskrzonymi oczyma.

Lokaj wzruszył ramionami i usprawiedliwiał się z naciśnięciem, iż „pana“ wcale nie widział.

Mira rozkazała lokajowi, aby się wyniósł z jej domu.

— Niezwłocznie! Natychmiast!—krzyknęła z gniewem.

Lokaj miał stracić miejsce z jego przyczyny?... Lou błagał, aby mu przebaczyła.

— Już ja ich szacunku nauczę! A teraz niech milczy, Lou; on tego nie rozumie!

Lou stroskany wcisnął się w kąt powozu.

Po chwili odezwała się rozdrażniona:

— Jak jedzie ze mną na spacer to mu nie wolno przybierać takiej żalostnej, nieszczęśliwej miny—czy słyszy? Możnaaby pomyśleć, że on nudzi się ze mną, albo ja z nim! Niech mi zaraz będzie wesół! A jeżeli nie chce, albo nie może się śmiać, to niech przynajmniej pokaże zęby, żeby się zdawało, że się śmieje!

Lou usłuchał rozkazu. Ach, ciężkie to zadanie grać rolę

pana! Trzeba się nawet śmiać zupełnie bez powodu. Ale pocieszał się; czyż Mira z prawdziwymi panami postępowała inaczej?

Pod jednym względem tylko mu ustąpiła.

Nie chciał w żaden sposób zająć sypialni, z ciężkimi kotarami nad łóżkiem, którą kazała dla niego przygotować.

— Dlaczego?—zapytała zdumiona.

Wprzedpokoju leżała przepyszna lwia skóra; Lou chciał spać na niej, tak, jak u *moussou*.

— Ach, co za głupstwo! Co to za spanie!—protestowała.

Lecz nagle przyszło jej na myśl, że wyglądałoby to bardzo dobrze: ktoś, człowiek, jeden z jej poddanych, śpiący na progu jej drzwi. Czytała o tym w romansach.

— No, zresztą, jak mu się podoba... musi jednak też wiedzieć, z kąd ta lwa skóra pochodzi. Od Gérard'a, od sławnego strzelca, który sam lwa tego zabił. Podarował mi ją hrabia Cabrera. Kto już na niej nie spał!... ani się Lou domyśli. Ale wszyscy utrzymywali, że była bardzo twarda. Mówili, że i Mira jest równie twarda, bo im pozwalała spokojnie leżeć na skórze. Żaden z nich nie spał na niej dwa razy... No, a teraz, *felicissima note!*

Odtąd szacunek, jaki Mira surowo nakazała służbie dla „pana Lou z Kairu,“ dawał się nieborakowi dotkliwie we znaki. Nie mógł się opędzić od dowodów uniżoności; kłaniając mu się, przewracali się prawie; pomagając mu do zdejmowania garderoby, niemal go rozrywali; gdy wsiadał do powozu, pomagali mu z taką skwapliwością, że ledwo mógł utrzymać się na nogach. Często odrzucał ich usługi, ale to ich tylko bardziej podniecało, —i Lou widział, jak drwili po za jego plecyma.

Tylko Maryetta postępowała inaczej. Nie zwracała po prostu na niego uwagi; przechodziła mimo niego i nie widziała go. Nierzadko wpadała wprost na niego, jak gdyby był z powietrza, i to z takim impetem, że nie miał nawet czasu w bok się usunąć. Wydalenie owego lokaja popsuło widocznie szyki gwałtownej osóbee.

Ale i owi, których Mira drażnić chciała, jej arystokratyczni przyjaciele i adoratorowie zachowywali taką samą taktykę, od owego wieczoru, gdy gwiazda Lou'a ukazała się między planetami śpiewaczki. „Pan Lou z Kairu,“—dobrze! Dlaczegoż nie? Już oni potrafią w krótkim czasie zbrzydzić ekscentrycznej *divie* ten nowy kaprys.

I, jakby się zdawało, traktowali wszyscy Lou'a ze wszelkimi względami, brali na pozór zupełnie poważnie „czarnego dżentlemana.“ Z udaną wspaniałomyślnością nie zwracali uwagi na jego niezręczności, lub oświadczeni, iż niektóre jego wykroczenia przeciw przepisom towarzyskim są „według ostatniego szyku.“ Namawiali go do najróżnorodniejszych dziwactw w ubiorze, i naśladowali je następnie dla żartów: „Pan Lou z Kairu to robi... Pan Lou z Kairu to nosił“—powtarzali.

Opinia bulwarowa zaczęła się coraz bardziej zajmować przyjacielem Miry i pokryjomu wzruszała szyderczo ramionami: jak też sławna, uwielbiana *diva* mogła się zadurzyć w takim półczłowieku!

Złośliwość opowiadała rozmaite zajmujące rzeczy, a zazdrość, jak rozpalonemi kleszczami, szarpała sercem niejednego z wielbicieli „złotój Miry.“

Ale ona nic sobie z tego nie robiła.

— Niechże ci nie mają nic do zarzucenia, Lou! Twarzy nie mogę ci umalować na biało; ale, co do wychowania—no, to mu je pomalujemy i wytapetujemy tak, że będzie niem paradował!

I jak przed laty wmuszała w niego frazesy francuzkie, tak samo teraz zaczęła go męczyć wychowywaniem. Uczyła go, jak ma odpowiednio do wymagań szyku chodzić, jak powinien siedzieć, jak jeść i pić, a nawet jak zapalać cygaro. Nazywała to „lekcjami przyzwoitości.“

Powodów do śmiechu miała przytém niemało, i korzystała całą duszą z téj sposobności. Wielkie *trumeau* było najczęściej świadkiem tych ćwiczeń, do których Mira przywdziewała prawie

zawsze komiczny ubiór „szykowca,” w jakim występowała we „Fla-Fla” wobec zachwyconych widzów.

— Lou, ukłon za głęboki! Jeszcze mi głową rozbijesz zwierciadło!

I mówiąc to, ukłoniła się elegancko, wdzięcznie, z uśmiechem.

Ileż to razy dawniej wprawiała się w takie ukłony!.. tylko przed daleko mniejszym zwierciadłem...

— Jesteś, jak kloc! Dalibóg, Lou. Chodź-no tutaj!—rozkazywała zniecierpliwiona jego niezdarnością.

Obejmowała go zlekka, stawiała razem z nim przed zwierciadłem i zmuszała go do wspólnego ukłonu.

— Tylko nie wyszczerzać tak przytém zębów... wszystko w swoim czasie, Lou!

— No, jeszcze raz! jeszcze raz!... Brawo, bravissimo! Jeszcze sto takich ukłonów, a nauczy się nareszcie!

Maryetta, stojąc w uchylonych drzwiach, nie mogła się powstrzymać od chychotania. W kuchni zaś, stukając palcem w czoło, twierdziła, iż pani widocznie klepka się w głowie obruszyła, skoro wyprawia takie hece z tym czarnym idyotą!

Na jednej z takich lekcji zszedł ich niespodzianie hrabia Cabrera. Między dwiema ich twarzami ukazała się nagle w zwierciadle jego czarna mefistofelesowska głowa z małemi płomiennemi oczyma.

Było to, jak zjawisko, i Mira nie mogła w istocie stłumić uczucia krótkiego przestachu.

Wnet wszakże zapanowała nad sobą, wykręciła się z Lou'em, którego trzymała pod rękę, i powtórzyła razem z nim ukłon przed Cabrerą.

Hrabia przyjął to zupełnie poważnie, na żółtej twarzy jego nie było ani śladu właściwego mu szyderczego skrzywienia; a ponieważ Mira rzuciła mu żart jakiś na powitanie, przeto rozesmiał się równie wesoło, jak ona.

Ale później Lou słyszał, jak w głębi buduaru hrabia perswadował coś Mirze. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniem, ciskał jej wyrzuty, a w głosie jego dzwięczało jakieś lekkie drżenie...

Mira odpierała te słowa wybuchami śmiechu, brzmieniami wszakże coraz ciszej—w końcu było to już tylko słabe echo.

Spuściła oczy i bawiła się liśćmi podzwrotnikowej rośliny, które zwijała nielitościwie. Naraz podniosła główkę, odrzuciła w tył złociste sploty, i roziskrzonymi oczyma wpatrzyła się wyzywająco w ciemne źrenice Cabrery.

— Czegoż ty chcesz, hrabio? Czego chcesz? Kocham go, tak, ja go kocham!—zawołała głośno, jakby z tryumfem.

I odwróciła się od niego.

— Gniewają się, gniewają się jednak!—rzekła z radością, gdy wyszedł Cabrera.

Potem znów zwróciła się do czarnego:

— Lou, a teraz prędko, jeszcze jeden ukłon!... Chciałabym wiedzieć, kto mi może czego zabronić!

„Kocham go... tak, ja go kocham!“ Przez cały wieczór słowa te snuły się po głowie Lou'a, i nie słyszał wcale melodii „Fla-Fla“.

Ach, ale on temu nie wierzył... nie chciał być poraz drugi tak nedorzecznym! Powiedziała to, aby tamtego rozgniewać... to kaprys... wybieg... nic więcej.

ROZDZIAŁ XIX.

Postanowili znowu raz uśmieć się serdecznie; Lou naprawdę zupełnie śmiać się zapomniał, Mira chciała go tedy nanowo nauczyć.

Pewnego wiosennego popołudnia wiktorya Miry zatrzymała się na polach Elizejskich, nieopodal wielkiego Alkazaru. Mira wykwintna, uśmiechnięta zwróciła na siebie powszechną uwagę—Lou w nowym cylindrze szedł o kilka kroków za nią; wyglądał, jak służący... Przebiegła śpiesznie między zapełnionymi rzędami krzesel, w alei spacerowej—rozległo się przeciągłe „aaa!“ podziwu nad jej przepysznyimi włosami, które w blasku słonecznym płonęły, jak aureola, wokoło delikatnej twarzyczki.

Zdażała ku siedzącej za ogrodzeniem przed lyońskim teatrem maryonetek, a złożonej z bon i dzieci publiczności. Widowisko jeszcze się nie rozpoczęło, przed spuszczoną kurtyną małej scenki widać było przebiegłą, wykrzywioną twarz arleki-
na. Para skrzypiec cienkimi tonami zawodziła jakąś wesołą melodyą, która prawie zupełnie tonęła w szczebiocie małych widzów.

Właścicielka teatru z przesadną uprzejmością ofiarowała miejsca w pierwszym rzędzie.

— Kiedy my właśnie chcemy widzieć śmiejące się dzieci, — rzekła Mira, i zwróciła Lou'a ku dwom pustym krzesłom stojącym w środku, między gromadą malców.

Jakież to sprawiło wśród dzieci zamieszanie! Wyobrażnia ich, podniecona oczekiwaniem widowiska, dopatrzyła się niewątpliwie w jasnej, szeleszczącej postaci Miry jakiejś wysłanki ze świata zaczarowanego. A do tego usiadł między nimi żywy Murzyn! I poco im jeszcze maryonетки?

Wszystkie główki z szeroko otwartymi, pełnymi podziwu oczętami, zwróciły się ku przybyłym; malcy tłoczyli się i przysuwali do siebie, aby lepiej widzieć. Niektórzy stanęli nawet na krzesłach.

Ale obok Lou'a siedziała dziewczyneczka, która się go przelękała i opuściła swe miejsce; inne, większe, wysmiały ją.

— On nie gryzie! On wcale nie gryzie! On zupełnie łaskawy!—szczebiotały zcicha dzieciący.

Wtém chłopczyk, z czarnemi, błyszczącemi, jak gwiazdy, oczyma, zdobył się na odwagę i podał Lou'owi rękę. Wbiło to w ambicyą inne dzieci: każde chciało zrobić to samo; zaczęły się tłoczyć, dreptać między krzesłami.

Lou, widząc, jak te drobne różowe rączyny na wyscigi ujmowały wielką, szorstką, brunatną dłoń jego, uśmiechnął się, przyczém pokazał zęby.

— Mamo, jakie zęby!—zawołał jakiś malec z przestraszeniem.—Jakie zęby! Ach, jakie zęby!

Na wszystkich twarzyczkach malowało się zdumienie, połączone z lekką obawą.

Naraz arlekin zadzwonił i wszystkie główki odwróciły się do kurtyny.

— Lou, będziesz musiał zdjąć cylinder, bo za nami nic nie widzą,—rzekła Mira.

Widowisko się rozpoczęło. Niebawem arlekin wymierzał swoje pierwsze ciosy: klip, klap! klip! klap!—uderzał okrutnie grubym drągiem po twardych drewnianych głowach maryonetek. I niby radosna pieśń skowronka uleciała w słoneczne powietrze pierwsza kaskada śmiechu.

Ach jak to błogo śmiać się!

Mira cieszyła się, jak dziecko. W najzabawniejszych miejscach trącała Lou'a, żeby i on śmiał się równie serdecznie, jak inni, co téż czynił. Doprawdy, tu było mu dobrze, swojsko—czuł się dzieckiem między dziećmi.

Niekiedy kilka główek odwracało się i spoglądało ku jaśniejącym białością zębom Lou'a, które wyszczerzone, pobudzały malców do coraz głośniejszego śmiechu.

Był to rozkoszny chór cienkich i cieniutkich głosików, który odzywał się świegotem ptaków, czystemi dźwiękami srebrnego dzwonka, wpadającemi w niższe tony bon i nianiek. Urocze gammy śmiechu Miry rozbrzmiewały kiedy niekiedy wśród ogólnej uciechy, niby strzelający ku górze wodotrysk.

Łagodne, balsamiczne powietrze, jak pieszczota, przesuwa-

ło się po zaczerwienionych od śmiechu twarzyczkach, poruszało pióra i wstążki na kapelusikach. Poprzez kołyszące się zlekka gałęzie drzew przedostawał się blask promieni słonecznych;— zdawało się, że ponad barwnym tłumikiem młodocianej publiczności wiruje rój złocistych motyli.

Ach, co za rozkosz być napowrót dzieckiem!..

W teatrze rozegrywała się jakaś głupia historia, z której niewiele rozumiano. Między innymi był tam margrabia w pirogu, zakochany w sztywniej pannie z brokateli. Panna, niezgrabnymi ruchami odrzuciła jego miłość. Przysiągł, że się zastrześli. Dobrze, nikt mu nie bronil!

Niebawem dał się słyszeć za kulisami strzał miniaturowy, z kapiszonu tylko. Oznajmiono, iż margrabia się zastrześlił. Lecz arlekin wpadł na scenę, śmiejąc się i wołając, iż margrabia pewnie ożyje, gdyż wyjął pokryjomu proch z pistoletu. Jeżeli nie umrze ze strachu, to wszystko będzie dobrze..

Co to się stało Mirze, iż śmiech jej nagle ucichł, a na jej twarzy gasły stopniowo wszelkie ślady wesołości?

Gdy strzał się odezwał, drgnęła,—nie było w tém nic nadzwyczajnego; ale przy następnej scenie bicia, którą wykonał arlekin, zaśmiała się tylko kilku krótkimi, nerwowymi tonami. Poczem siedziała milcząca, wpatrzona w marynetki zamyślnym, trwożliwym prawie wzrokiem. I nagle, wśród największej wesołości, wstała. Wysilając się na uśmiech, skinęła, aby Lou poszedł za nią.

Wskoczyła do powozu i kazała woźnicy jechać—wszystko jedno dokąd, byle jechać jaknajprędzej.

Wciśnięta w kąt powozu, leżała oparta na wezglówiu z własnych włosów. Złocistą rzęsą przysłoniła oczy, tak, aby nikt nie dostrzegł gorejącego w nich szczególnego płomienia. Wokoło małego jej noska drgały delikatne zmarszczki; niekiedy zamykała konwulsyjnym ruchem wachlarz, który trzymała przy skroni dla ochrony od łagodnego słońca wiosennego, i w szybkim tempie uderzała nim o kolana.

Jechali przez pola Elizejskie ku łaskowi Bulońskiemu. Przesyłano do powozu częste ukłony. Mira zdawała się ich nie widzieć; do Lou'a nie odzywała się wcale.

Nakoniec, gdy powóz skręcił w odległą aleję łasku, gdzie rozpościerał się szerszy widnokrąg, Mira zauważyła:

— Lou, tyś bardzo lubił twego *moussou*?

Słowa były raczej twierdzeniem, niż pytaniem. Wszak wiedziała o tém dobrze, wszak przed laty poznała jego przywiązanie do margrabiego.

— Znałam jedną, która go także bardzo lubiła.—rzekła znów po chwili, głosem bezdźwięcznym, obojętnym. Oczy napół przysłonione powiekami, patrzyły bezmyślnym wzrokiem.

Lou poruszył się na miejscu i spojrzał na nią, jakoby pytał, o co chodzi?

— Kobieta, która go doprowadziła do śmierci, Lou...

Zwolna otworzyła wachlarz i znów go zamknęła. Czując ślizgający się po jój twarzy wzrok wytrzeszczonych oczu Lou'a, ale nie spojrzała jeszcze na niego.

— Czy rozumiesz, ta, która go do śmierci doprowadziła...—powtórzyła bardzo wolno, ze wzrastającym naciskiem.

Potém przechyliła jeszcze bardziej wtył główkę, i wzniosłszy oczy ku błękitowi niebios, zapytała z wymuszonym spokojem:

— Słuchaj Lou, cobys ty z nią zrobił, gdyby ci wpadła w ręce?

Lou milczał.

Panującą dokoła ciszę przerywał tylko zgrzyt kół na szosie i jednostajny odgłos kopyt końskich.

— I cóż, Lou?

Nagle obróciła się, i płomień jój oczu objęły twarz jego.

— Nieprawdaż, Lou—zawołała drżącym, wzruszonym głosem,—tybys pomścił na niej swego nieżywego *moussou*? Czy tybys ją zamordował? udusił własnymi rękoma? albo przegryzł gardło zębami, co?... Ach, Lou, tybys tego nie zrobił...

Palącym dźwiękiem głosu, płomieniami oczu roznieciła w nim nagle dzikość.

Tak... tak... tak! zrobiłby to niewątpliwie.

W skinieniu głową, w błyskawicach ciemnych jego źrenic było tyle stanowczości, że Mira nie mogła pokonać lekkiego dreszczu.

I odwrócona znów od niego, kładąc drżącą nieznacznie rękę na jego dłoni, rzekła:

— Jesteś poczciwym chłopcem, Lou! Tys lepszy, niż my!

Co to wszystko miało znaczyć? Czego ona chciała?

Przez chwilę panowało znów głucho milczenie.

Z kolei Mira zaczęła obojętnym napozór tonem, jakim się opowiada najświeższe nowiny, nie patrząc już na Lou'a:

— Ja bardzo dobrze ją znałam... znam ją jeszcze. Ona kochała... tak sądziła, przysięgała; zdawało jej się, że to miłość. Miłość paryzka... mój Boże! zupełnie odrębny rodzaj miłości... taka niegodziwie nerwowa. Zadzźwięczy złoto... ulata! Zabłyśnie brylant... niknie!

I ciężko westchnęła:

— Nie trzeba jej zupełnie potępiać! Ona nigdy o innej miłości nie słyszała... Pocóż od niej czego innego żądano? Czyż można się pozbyć własnej skóry?

Na nieszczęście on cierpiał na zupełnie inną miłość... tak, cierpiał; on robił wiersze ten twój *moussou*, on chętnie unosił się w obłoki.

Widzisz mój przyjacielu, to głupia historia. Gdyby marynetki wystawiały ją tak, jak jest w rzeczywistości, toby się skompromitowały... Szczęście ich trwało bardzo nie długo. Nader kosztowne szczęście dla twego *moussou*... wtrąciło go w długie, zrujnowało go. Powinien był wczas się opamiętać, ale nie: miłość jego była ślepą i głuchą.

Lecz jej miłość była straszliwie trzeźwą. Pewnego dnia powiedział jej: „Jestem żebrakiem, ale mniejsza o to; ty mnie kochasz, ja Kocham ciebie.“ Chciał pracować, rozpocząć nowe

zycie. Tak było przyjemnie, tak mile, gdy go się słuchało, jakby w romansie...

Tak, chciała mu pozostać wierną, przysięgła mu... nie obeszło się bez obfitych łez.

Chciała szczerze, jak Bóg w niebie; chciała! Nie trzeba nią zupełnie pogardzać! Ale dręczyło ją takie straszliwe pragnienie wszystkiego, co piękne, świetne i wspaniałe, wszystkiego, co błyszczący, brzęczy i wonieje...

Nie, nie miała dosyć siły pokonać pragnienia, kiedy je mogła każdej chwili zaspokoić. Bo też jaki z niego był marzyiciel, skoro mógł ufać wierności paryżkieli!

Jak mówiłam: śmiesznie prosta to historia. W cudzym siedzącą powozie spotkał ją w lasku Bulońskim; przekupiono ją wspaniałym połyskiem jedwabnych poduszek i świecącymi złotymi galonami liberyi. Nie mogła się oprzeć. Może w wyobraźni widział więcej, niż było w rzeczywistości. Znadto sercem patrzył. Musiała go ogarnąć wątpliwość co do trwałości jej przysięgi, i ta wątpliwość sprawiła, iż wymierzył w pierś pistoletem...

Nawet jój nie powiedział, że chce się zastrzelić; ona mu nie dała na to pozwolenia, jak w teatrze marynetek. Tak się strasznie pośpieszył... powinien był poczekać... możeby się była namyśliła, może byłaby się jeszcze nawróciła na tę inną, tę jego miłość...

Mira umilkła.

— Nie, nie, nie!—zawołała po chwili, uderzając wachlarzem w kolano,—nie, nie, nie!—i potrzasała gwałtownie główką,—Ja wiem, że onaby tego nie zrobiła! Pragnienie było za wielkie! O, za wielkie!

Zdawało się, iż chciała się sama uspokoić tēm: „Nie, nie!“ które ciągle jeszcze wybiegało z jej ust, zcicha teraz; niby wyzwanie.

Umilkła znowu. Z turkotem powozu mieszał się świegot ptaków, z oddali, z cienistych alei dochodziły pojedyncze, pełniej-

szę, brzmiące tęsknotą, wabiące ich głosy. W ustroniu tém było bardzo samotnie.

I jakby w nagłej obawie przed tą samotnością, Mira kazała zawrócić.

Rzuciła rozkaz Lou'owi, jak gdyby chcąc odpędzić wszelką inną myśl wyniosłym tonem.

• Spojrzała na zasłuchaną jeszcze z natężeniem twarz Nubijczyka, i uśmiechnęła się smutnie, z politowaniem.

— Zdaje mi się, żeś ty niewiele co z tego wszystkiego zrozumiał, mój poczciwy Lou? Tém lepij. Człowiek uczy się rozmaitych oklepanych wyrazów na scenie, i nie może ich się później pozbyć.

I nie odezwała się już przez całą drogę.

Siedziała pogrążona w zadumie milcząca, jak posąg marmurowy, odpowiadając na ukłony przejeżdżających znajomych zaledwie dostrzegalném, dumném prawie skinieniem.

Gdy wjechali na pola Elizejskie, owionął ich chłodniejszy powiew wiatru. Pióra i koronki kapelusza Miry igrały ze złościami loczkami na szyi. Delikatne jój nozdrza drgały, oczy iskrzyły się, niekiedy otwierała usta i głębokim oddechem wciągała orzeźwiające powietrze.

Krótko przed obiadem stał Lou przy oknie w salonie, przycisnąwszy czoło do chłodnej szyby. W myślach jego panował dziki nieład — wszak zrozumiał tylko połowę wyznania Miry.

Kto była owa nieszczęsna? Dlaczego on wówczas nic nie zauważył?

Achl dlaczego nie mógł wówczas pomścić swego *moussou*? Jak to Mira powiedziała: „Czybyś ją udusił własnymi rękoma, Lou?”

Tak, tak, tak! I zacisnął pięści w nagłej wściekłości: tak, udusiłby ją! teraz jeszcze! Gdzież ona? Zapyta Miry; musi mu wszystko dokładnie opowiedzieć.

Nagle spoczęła jój dłoń na jego ramieniu—dłoń Míry,—zlekka, prawie nieśmiało. Lou odwrócił się gwałtownie.

— Zostań!—szepnęła.

Oczy miała spuszczone, ale zaczerwienione od płaczu; była bardzo blada.

Dziecinnie bezbronnym ruchem oparła główkę na jego ramieniu.

Cisza panowała w salonie,—słuchać było tylko głośne bicie jego serca.

— Ach, Lou, Lou, Lou...

Słyszał, pomimo tego bicia, że usta jój szeptały jego imię, niby skargę, niby wzruszającą prośbę.

Kołysała powoli główkę na jego ramieniu, tak, że nawpół rozpuszczone włosy spadały na jego plecy.

— Ach, Lou, Lou... Lou..

Błogo jój było powtarzać tak jego imię.

Jemu oddech zamarł w piersi, zdawało się, iż wszystkimi fibrami wsłuchuje się w jój błagalne „Lou;“ nie śmiał drgnąć w obawie, aby to wszystko, jak sen nie pierzchło.

Wtém z piersi jój wyrwało się westchnienie

— Lou, tyś dobry,—rzekła drżącym, słodkim głosem, ciągle jeszcze główkę kołysząc.—Ty masz dobre serce, Lou. Tak, naprawdę masz serce... ale my... nie mamy... wszystko mamy, oprócz serca.

I potrząsnęła głową.

Nagle zerwała się, głowę podniosła i zakryła twarz rękoma. Poczém zatapiając palce we włosach, a dłonie wciskając w oczy, zawołała głośno, przejmującym głosem:

— Ach! jakie to wszystko szkaradne, nędzne, czcze! Lalkami jesteśmy, marnemi lalkami, w pstrym szychu! Gdybyż można zostać napowrót człowiekiem, ach, nic więcéj! Gdybyż można zostać napowrót oszowiekiem!

Gwałtowne łkanie wstrząsało jój całą postacią, wyciągnęła ręce, szukając podpory.

I wówczas stało się.

Padła na piers jego, obejmując mu szyję, silnym ramion uściskiem. Namiętne jój słowa padały, jak ciosy, poprzez łkanie:

— Lou, ja wiem, ty będziesz mną pogardzał... dzisiaj może jeszcze nie... ale jutro... to przyjdzie... ty musisz mną pogardzać... pomimo serca twego musisz! Ale ja nie mogę inaczej... nie mogę, nie mogę inaczej! Cała ta komedia, która nas otacza, jest silniejsza odemnie! Ach, nie mogę inaczej, przebacz ty mnie!

Lou stał nieruchomy, jakby skamieniał z bezmiernej trwogi, i zdumiony słuchał zamętu jój słów.

Naraz, jak błyskawica rozprasza cienie nocy, tak jasność jednego wyrazu ogarnęła jego serce.

— Lou, jabym cię mogła kochać.. jabym cię mogła kochać, takiego, jak ty... ciebie samego!.. mogłabym kochać..

O ten głos, ten słodki, niebiański głos!

„Kochać!“... Ach, to jedno słowo znał, to rozumiał! Wszak nauczyła go wymawiać je przed wszystkimi innymi słowami.

Tym razem, tak tym razem odważył się jój dotknąć. Ach, tylko ten jeden raz! Tylko tych kilka sekund ludzkiego szczęścia!

Silnie, namiętnie objął ją ramionami. Przyciskał ją drżącą do piersi gwałtownie, z gorączkowym pośpiechem, rozpaczliwie prawie, jakby przeczuwając, że już drugi raz tak trzymać jój nie będzie.

Zdawało się, iż wiotka jój postać złamie się w żelaznym jego uścisku. Drżącemi ustami szeptał coś w złociste zwoje jój włosów — jakieś dziwaczne, niezrozumiałe dźwięki, a brzmiały tak dziko... Lou czuł, jak dreszcz wstrząsnął jój kibicią.

Wtém z przeraźliwym okrzykiem trwogi wyrwała się z jego objęć. Uciekła...

Czy to wszystko było rzeczywistością? Czy to sen tylko? Nie, usta jój szeptały jeszcze coś mową ojczytą.

Jak pod urokiem stał przykuty do miejsca. A gdy w końcu chciał się z pod tego uroku wyrwać i postąpił parę kroków, myślał, że runie, tak się słaniał.

ROZDZIAŁ XX

W górze, na morzu gwiazdzistém roilo się i falowało gwałtownie — te gwiazdy paryzkie chwieją się i drżą tak silnie, nie trzymają się spokojnie swego miejsca, nie można im zaufać.— W ojczyźnie Lou'a stoją one przymocowane do czarnego nieba, jak złote gwoździe, na których można bezpiecznie zawiesić swoją wierność, i wiarę swoją, i swoją miłość.

Gdy Lou wieczorem chodził chwiejnym krokiem po ulicach Paryża, odzywało się nieustannie, jak zgrzyt, wśród fali szczęścia, w której tonęły jego zmysły, echo jęj słów: „Wierność paryzka! Miłość paryzka!“

Ach, gdyby tak mógł własnymi rękoma ścisnąć serce swoje, żeby mu nie pękło — dzisiaj od bezmiernego szczęścia, jutro pod ciężarem bezmiernego bólu, jakiby mu zadać mogła miłość paryzka!

Mira od tego dnia zmieniła zupełnie postępowanie z Lou'em. Zdawało się, iż go się boi, unikała pozostać z nim sama, na obiad zawsze spraszala gości. Ogarnął ją wstyd, że odkryła Lou'owi najtajniejszy zakątek swęj duszy; owładnęła nią obawa, że mógłby ów szal, owę niepojętą gorączkę serca wziąć na seryo — poczciwy chłopiec, on mógłby naprawdę oszaleć dla nięj!

I puściła wodze swoim kaprysom, nie oszczędzając wielbi- cieli, służby, nawet Lou'a. Niekiedy zdawało się, iż żaluje wspaniałomyślności swojęj, i żądała od Lou'a różnych rzeczy, które go stopniowo stawiały znów na równi ze służbą. Zdarza-

to się to już nawet wobec gości. A Lou posłuszny był na każdy jej rozkaz, na jej skinienie.

„Lou nie pan... Lou służący być!“ Był jej wdzięcznym niewymownie za to, iż go oswobodziła od nieznośnego przymusu udawania pana. Wszak on chętnieby się poniżył... chętnieby powrócił do maleńkiej roli, jaka mu się, jako zafarbowanemu na ciemno, należała w wielkiej rodzinie ludzkiej.

Była mu tylko pozwoliła zostać przy sobie! Była tylko miłość jego mogła swobodnie płonąć w cichości! Z tych kilku chwil szczęścia, które mu, jak jałmużnę, rzuciła pod nogi, będzie czerpał i czerpał, dopóki mu tchu stanie.

Niekiedy tylko napadał go szal jakiś i wówczas z trudnością powstrzymywał się od wybuchu zazdrości. Powodem istotnym jej kaprysów był Cabrera. Między nią a hrabią zachodziło coś poważnego. Na bulwarach obiegały pogłoski, jak rój motyli: Hrabia Cabrera byłby więc jednak w stanie ożenić się z tym fajerwerkem, z tą Mirą... no, a ona nie pogardzi z pewnością jego istniejącymi rzeczywiście zamkami w Hiszpanii, jego świetnym nazwiskiem...

Gdy do jej uszu doszła o tym jaka wzmianka, zadzwoniła swym zwykłym, srebrnym śmiechem, i mówiła wyzywającym przekornym tonem:

— Hrabina Cabrera... cóż to, moi panowie, przecież, gdy komu podadzą na tacy coś podobnego, nie powinien odrzucać Hrabina Cabrera y Calabranca... pysznie brzmi... już w samym nazwisku słyhać szelest wspaniałego trenu paui hrabiny!

„Ach, to pragnienie, to pragnienie było za wielkie! Czyż można się pozbyć własnej skóry?“ Nie zdołała ona się oprzeć!

Odegrano „Fla-Fla“ po raz trzeci, a wypadek ten uczczono uroczystym obchodem w salonach *divy*. Otoczona wielbicielami, siedziała złota Mira promienna blaskiem swjej oryginalnej postaci. Zdawało się, że jasność, w jakiej stół toni, ona niżej biła, że spojrzenia jej wzniewały iskrzenie się kryształu, olśniewający połysk srebra, pobudzały do śmiechu twarze wszyst-

kich obecnych. Rozpuszczone zupełnie przecudne jój włosy, spadały w ciężkich zwojach po alabastrowej szyi; oczy jój jaśniały ciemnym szafirem, a usta płonęły gorącą purpurą. Taką, jak była dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek wydawała się Lou'owi wyższém nad wszystko, co ludzkie, bóztwem; upajał się téż jój widokiem do szału prawie.

Mira wymyśliła na uroczystość dzisiejszą coś oryginalnego dla Lou'a: kazała mu przywdziać małowniczy strój narodowy, a skompletowanie tego kostiumu niemało kosztowało ją zachodu.

— Będzie mu w tém ubraniu stokroć lepij do twarzy, niż w aresztanckich surdutach naszych elegantów!—zadecydowała.

Późną nocą, gdy szampan i zapal podniecił wszystkie namiętności, przypadkiem, wśród hałaśliwego szmeru rozmowy, wśród rozbrzmiewającego śmiechu, padło poważniejsze słowo: ktoś wspomniał o powodzianach z nad Rodanu, o nędzy, jaka tam panuje, o tém, jak mało dotąd zrobiono dla biedaków bez dachu.

— A gdybyśmy tak urządzili licytacyą na ich korzyść! Cóż panowie?—wyrwał się ktoś z obecnych.

Projekt zyskał natychmiast ogólne uznanie, i wnet go w czyn wprowadzono. Roli licytatora musiał się podjąć otyły książę Mussy, znany smakosz z grubym głosem. Pozwolono mu siedzieć, gdyby stanie okazało się dla niego zbyt uciążliwém.

— Młotek, musimy mieć koniecznie młotek, wszystko musi się odbyć według przepisów!—zawołał książę donośnie, chcąc głos swój wypróbować, i wydał świecąca twarz komiczną powagą.

Piękny Fronsacques już właśnie powracał z młotkiem: przyniósł z buduaru śpiewaczki małeńki, haftowany złotem papuś.

— Wyśmienity! Doskonały!—wołano ze wszęch stron.

Stary jegomość, którego spiczasty nos stykał się z niemniej spiczastą brodą, nie mógł się napatrzeć pantofelkowi. Z pożądanym uśmiechem obracał go w drżących zlekka rękach, raz po

raz w stół nim uderzał,—knap-kład,—a wygasłe oczy jego tliły się słabym blaskiem na edgłos tego dźwięku.

Najpierw licytowano tylko drobnostki. Spustoszone stos bukietów nagromadzonych za krzesłem *divy*. Potem wzięto ceną koronkową chusteczkę do nosa, leżącą przy niej, na stole; pocięto ją wszakże w kawałki, aby otrzymać większą sumę. Szmutki rozchwymano w oka mgnienia, panowie poprzypinali je do klap od fraków, jak wstążeczki orderowe. Następnie zaczęto ograbiać suknię Miry. pozrywano frendzlę dżetową, poobcinano koronki, wstążki, zabierano się już nawet do materyału.

— Hola!—zawołała Mira ze śmiechem,—wy mi tu jeszcze w końcu za naturalnie odegracie rolę pokojówki! Precz!—i mocno uderzyła jednego z najśmielszych wachlarzem po palcach.—Ale teraz na panów kolej! Hej! ofiaruję trzydzieści franków za lewą połę od fraka pana de Fronsacques!

Nic nie pomogło, Fronsacques musiał pozwolić, by nożyczki zmniejszyły frak jego o żadaną połę.

— Barbarzyństwo!—mruknał.

Kazał sobie przynieść palto i siedział bardzo oburzony, ku wielkiej ucieście reszty towarzystwa.

Ceny podskoczyły w górę, gdy przyszedł pod papuc kieliszek, z którego *diva* piła szampana w ciągu wieczora. Kupiono go za 130 fr.

— Hej tam! papuc!—zawołał mały, ruchliwy, jak żywe srebro, pan de Servi, z przeciwnego końca stołu.—Przynieście jego brata!

Gdy przyniesiono z buduaru bratni papuc, pierwszy nabyty został za 540 fr., kupił go ów stary jegomość i był uszczęśliwiony nabytkiem. Postawił go przed sobą, na stole, i strzegł pilnie, aby mu kto nie zabrał skarbu.

— Włosy *divy*! Sto franków za maleńki pukiel!—ofiarował de Servi.

— Lou, proszę o nożyczki!—zawołała Mira...—Ale obcinać pozwolę tylko baronowi Wisby'emu.

Pewną była, że nieśmiały Wisby nie wstał za uzo, nadto winna mu była tę małą satysfakcją w zamian za cichy, westchnieniami wyrażany, sposób jego uwielbienia.

Warto było widzieć Wisby'ego, jak ucinał jedwabiste sploty połączanemi nożyczkami, nieśmiało, bardzo ostrożnie, przy czém rumienił się coraz więcej, tak, że wszyscy dokoła niego głośno chychotali.

— *Go on! Go on!*—zabelkotał głos jakiś.

Wisby'emu zdawało się, iż z tego żywego jedwabiu, w który dozwolone mu było zapuszczać dłonie, unosi się jakaś wół czarodziejska, oszalamiająca zmysły. Z trudnością ukrywał, że ręce mu drżały od wzruszenia.

Wyrywano sobie drobne pukle; większe pasmo złociste, które Wisby uciął prawdopodobnie przez nieostrożność, bo zobaczywszy je, poblądł ze strachu,— doszło do 1,100 fr.

— Dosyć;—zawołała Mira, gdy je wręczono szczęśliwemu nabywcy.

— Aha, obawia się zbytniego przetrzebienia!

Z różnych stron posypały się żartobliwe uwagi, że bogactwo jój włosów jest tylko pozorne.

Podnieciło to jój próżność, i potrząsając gwałtownie główką, tak, że bujne sploty zakłębiły się, jak węże, zawołała:

— Wisby, proszę cię, mój drogi. tnij porządnie, uczciwie; tnij ile ci się podoba, słyszysz?

Na te słowa Wisby nabrał odwagi i wyciął przepyszne, lśniące pasmo, które wzbudziło w nim taki zachwyt, że przeliczył innych i otrzymał je za 4,300 fr.

Zerwała się wrzawa.

— Wzniesie ołtarz dla tego pukla! Zbuduje kaplicę dla tej relikwii!—wołano.

Poproszono Miry, aby zaśpiewała jedną ze swoich pieśni egipckich: „*Matka zjadła mi daktyle*,” lub inną.

— Bardzo chętnie; zaśpiewam, ale, jako honorarium żądam

napoleondora od osoby,—odparła tonem urzędowym, jakim zwykła była oznaczać swoje wynagrodzenie w teatrze.

Wszyscy przystali bez wahania.

— Pan Lou będzie zbierał, ponieważ to pieśń z jego ojczyzny,—rzekł de Servi.

— Pan Lou będzie zbierał,—powtórzył chór.

Dano Lou'owi papuś, i gdy pieśń ucichła, zbierał honorarium wśród wrzasków uznania, szczęku kieliszków, wykrzykników: „Bozko!“ „niebiańsko!“ i grzmiących oklasków. Niejeden z obecnych dał więcj na cześć egipckiego stroju Nubijczyka.

Stał właśnie wprost Miry, po przeciwnj stronie stołu, gdy ożywiona nerwowym rumieńcem twarz Cabrery pochyliła się nad jój ramieniem. W dwóch palcach ręki kręcił cienkie, jak igła, końce wąsów, i rzekł, właściwym sobie, niedbałym tonem:

— A gdybyśmy tak tego zlicytowali?

Mira drgnęła.

— Kogo?

O kim hrabia mówił? Wszak najlżejszym gestem nikogo nie wskazał.

— No, pana Lou'a z Kairu. Jak sądzisz, Miro?

Powiedział to sucho, jak gdyby chodziło o jaki sprzęt znajdujący się na stole.

— Cabrera, czyś oszalał?—wybuchnęła.—Czyś się upił? Co za pomysł! Czyżeśmy w Turcyi?

Była tak zaskoczona z nienacka, że nie mogła znaleźć dostatecznych słów na swoje oburzenie.

— Zyskalibyśmy ładny grosz,—odezwał się znów Cabrera ze spokojem, niezamąconym bynajmniej wybuchem Miry.

— Zabraniam takich propozycyj! — krzyknęła. — Zabraniam! Lou jest moim przyjacielem i ma najpierwsze prawo do mój gościnności. Co ci wpadło do głowy Cabrera?... Żartuj sobie z innymi!

I z pogardliwym ruchem pasągowych ramion odwróciła się od niego.

Ale hrabia Cabrera uparł się przy swoim pomysłe, a podniecona winem, reszta gości potakiwała mu z zapalem. Co za niezwykła sytuacja: scena z targu niewolników tu, w srodku Paryża! Przecież nikt nie będzie już dluzej brał na seryo roli pana, tego czarnego idyoty, którego Breteuilles w swoim czasie kupił za stos gotówek!

Mira nie posiadała się ze złości.

— Czyście wszyscy stracili rozum, powaryowali? — krzyczała

Złośliwa uwaga, dotycząca jęj przyjaźni z Lou'em, dobiegła jęj uszu. Zerwała się z roziskrzonym wzrokiem i zwróciła w stronę, z której doszły ją owe słowa.

— Kto? Co? A właśnie, nie zerwę z nim! — zawołała ostrym głosem.

Poczem szerokim ruchem wachlarza obejmując cały stół, z największą pogardą rzuciła siedzącym:

— On tysiąc razy więcej wart od was wszystkich!

— *Sapristi!* — wybełkotał jakiś pijany głos.

— Ile on mógł dawniej kosztować? — wtrącił Fronsacques.

Chciano już porzucić pomysł, gdyż obawiano się poważnej sceny. Nastąpiło przykre milczenie.

Wtęm ujrzano, iż hrabia Cabrera pochylił się ponownie nad śpiewaczką, i z pozornym spokojem mówił coś odwróconej do niego plecami. Z początku zdawało się, że *diva* wcale nie chce go słuchać — rzuciła nawet sąsiadowi jakieś obojętne pytanie, przecinając głośno szept hrabiego.

Następnie wszakże zaczęła nasłuchywać, coraz uważniej, coraz chciwiej, a oczy jęj iskrzyły się, mrugały pod wpływem słów jego. Coraz mocniej zacinała zębki w dolną wargę, delikatne nozdrza drzeć zaczęły, a gorący rumieniec oblewał stopniowo czoło jęj i szyję; wyraz obcego jęj zazwyczaj zakłopotania, malował się na jęj twarzy.

Nagle odwróciła się. Zmierzyła mówiącego wrogiem pra-

wie spojrzaniem i rzuciła mu kilka wyrazów, które brzmiały szorstko i ostro, jak obelga.

Hrabia nie zmienił niedbałego, lodowatego niemal tonu swój mowy:

— Taki jest mój warunek. Jeżeli nie możesz mi zrobić tego ustępstwa, jeżeli nie możesz dla mnie poświęcić twego kaprysu w postaci tego tam ciemnego dżentlemana, dobrze, zatrzymaj go sobie, a ja się usunę.. Miro, nam już dosyć tych twoich wybryków i szaleństw, drażnią mnie plotki, jakie teraz obiegują. Jesteś mi to winna! Żądam tego! *On albo ja...* to moje ostatnie słowo!

W groźbie tych wyrazów zabrzmiał z cicha głęboki dźwięk serdeczny, którego dotąd Mira w mowie hrabiego nie słyszała. Zdumiona spojrzała na niego, i oczy ich się spotkały. Czyżby ten zblazowany światowiec kochał ją w istocie? Czy nie pojął jej na żonę jedynie dlatego, że pociągała go oryginalność, niezwykłość takiego związku? Czyby i serce jego płonęło ku niej? Czy ten hrabia Cabrera w ogóle uratował jeszcze serce z toni życia?

Pochyliła główkę i coś wyszeptwała. Gorączkowe wyrazy, które wrywali sobie niejako wzajemnie, padały między nimi; pojedyncze słowa brzmiały głośno, jakby z metalicznym dźwiękiem.

Tamci uważali, zajęci napozór czém innem, ale nasłuchiwały nawet ich plecy i łokcie. Mrugano do siebie wymownie.

Gdy Cabrera podniósł głowę, a podniósł ją wysoko, z oblicza jego promieniał tryumf. Poczekał chwilę, poczem znów powrócił zrećźnie do projektu „targu niewolników.“

Przecież i Mira może licytować, mówiono.

To ją przekonało. Tak w siebie przynajmniej wmawiała. A więc to żart tylko.

— Ale żart niegodziwy, brutalny!—zawołała z ostatnią resztką oburzenia.

— Niech pani zastanowi się jednak, co ten żart przyniesiel— odezwał się Servi z końca stołu.

— Niech i tak będzie!—wybuchnęła wreszcie.

Ale doznała uczucia, jakby ją coś ugryzło w samo serce. Powietrze salonu ciążyło jęj na piersiach, oddychała ciężko, głęboko.

Lou nie nie zrozumiał. Mówiono o jakimś nieokreślonym „nim i jego,“ nie patrzano na niego, unikano jego wzroku, jakby z obawy. Ach, a wszystkie jego zmysły opętane były czarem uwielbianego bóstwa!

Licytacya Lou'a zaczęła się. Księżę Mussy wstał, przedmiot wydał mu się godnym tego trudu. Sapał głośno, uderzył kilkakrotnie w stół papuciem.

— Uważać, moi państwo!—zawołał najdonośniejszym głosem, na jaki się mógł zdobyć.—Pyszny egzemplarz, bez żadnej wady! Prawdziwy, zagwarantowany! Najpiękniejsze zęby na świecie! Zupełnie oswojony i bardzo wykształcony!..

Szatański śmiech rozległ się wokoło stołu; mścili się za to, że musieli tak długo znosić „czarnego dżentlemana,“ dzięki kaprysowi Miry.

— Dosyć! rozkazała Mira, zwróciwszy się do księcia.— Co to ma znaczyć?

— Oceniam go na trzysta franków!—zawołał Mussy z urzędowym spokojem.

Mira zerwała się z krzesła.

— Trzysta franków, co?!—wybuchnęła.—Ależ Mussy, ja na to nie pozwalam! Przecież to nie kot, ani papuga... czy dostaniesz choćby rasowego psa za tę cenę? *Trzy tysiące franków... allons panowie, trzy tysiące!*

— Trzy tysiące franków po raz pierwszy!—powtórzył niezwłocznie Mussy.

Pijany głos, należący do wysokiego, barczystego, lecz teraz pochylonego we dwoje bankiera Goussard'a, rzucił w pół śnie py-

tanie, o co to chodzi? Żywy, jak skra, de Servi ubiegł właściwą odpowiedź.

— O tego pawia tam w górze!—krzyknął bankierowi w ucho, i wskazał na wypchanego pawia, który na szafie rozta-
czał przepysznie mieniący się ogon.—Jego oczy to prawdzi-
we rubiny, panie Goussard!

— *Sapristi!*—wykrztusił bankier wśród czkawki. Bełko-
cząc, ofiarował 5,000, i wlepiwszy mgłą zaszele oczy w pawia, nie
odwrócił już od niego zachwyconego wzroku.

W okamgnieniu ofiarował ktoś inny 6,000 fr.

— *Allons*, panowie, przecież to nie koń!—zawołała Mira
rozdrażniona.—7,000! Co ja mówię! 8,000! 8,000, panowie!

— 8,000 po raz pierwszy!—odezwał się znów niezwłocznie

Mussy.

— 8,500!—zabelkotał Goussard.—Ale... nie dam... ani cen-
tyma... jeżeli mu choć jednego... pióra będzie brakowało!

— 8 000 i 500 po raz pierwszy!

— 10,000!—zawołała Mira, jakby upojona cyframi.

— 10,000 poraz pierwszy!—rozległo się echo Mussy'ego.

Nikt więcj nie ofiarował. Stuk papucia rozlegał się bar-
dzo głośno wśród wyczekującej ciszy.

— Kto da więcj?—podzegał Mussy.

Wtém śpiewaczka rzuciła krótką uwagę, tylko tych słów
kilka:

— Sądję, że mi go napowrót darujecie, chociaż dalej licy-
tować nie będę.

— 15,000 franków! — zawołał niezwłocznie głos cienki.
świszczący.

— 15,000! Wisby ofiarował 15,000!—odezwał się piękny
Fronsacques.—Ja daję 16,000! Mussy, 16,000 dla mnie!

— On tyle nie wart!—wtrącił gruby głos basowy.

— Co, nie wart?

Uwaga Miry podnieciła wszystkich. Chodziło o to, żeby

jój zrobić prezent z Murzyna. A Cabrera nie licytował wcale... Raz po raz wywoływano 16,000—17,000—18,000.

Lou stał zdala i nasłuchiwał pilnie dźwięku tych wszystkich cyfr; w otwartych z podziwu ustach zabłysły olśniewające zęby, potrząsał zlekka głową: o jakąż to rzadką kosztowność chodzi, że gromadzą takie stopy cyfr?...

Naraz kiwnął na niego Goussard wyciągniętym daleko ramieniem.

— Podlicytuje o 500 franków, czy słyszy?—krzyknął mu w ucho.

Lou wykrzywił twarz uśmiechem i potrząsnął głową przecząco.

— Czy on będzie mi licytował... natychmiast... 19,000! Natychmiast, on... on... taki...

Nie znalazł odpowiedniego tytułu dla Lou'a. W załamującym się głosie bankiera dźwięczała niby groźba. Pochwycił Nubijczyka obiema rękoma i wstrząsnął nim gwałtownie.

— Dzie... wiet... naście ty... się... cyl...—zabrzęczało wśród ciszy nie głośniej, niż trzepotanie ómy.

— Kto? za kogo te 19,000?

Obecni spojrzeli dokoła pytającym wzrokiem.

Lou stał przestraszony skierowanemi nań zdumionemi spojrzeniami.

— Kto?... Co?... Lou?... Co to ma znaczyć? A to szaleństwo!

Chcieli się roześmiać z kapitalnego żartu tego pocziwego Lou'a. Ale śmiech uwiązał im w gardle. Zmieszani zachyotali zcicha.

— *Allons*, uważać, panowie!—nalegał Mussy wysiłonym głosem.—Ofiarowano 18,000! Kto da więcej? Osiem... naście ty... się... cy po raz pierwszy!

Pominięto bez ceremonii 19,000 *monsieur* Lou'a.

— 20,000!—krzyknął Wisby tonem fletu.

Twarczyczka jego płonęła gorączkowym rumieńcem, a blade-niebieskie oczka iskrzyły się, jak drobne brylanciki.

— Oho, Wisby! Nie za ostro, baronku!—drażnili go.

— 20,000 po raz pierwszy!

Mira siedziała z wymuszonym uśmiechem aktorskim na rozchylonych ustach. Nie licytowała już więcej. Na Lou'a nie śmiała spojrzeć.

— Dwa... dzieścia ty... się... cy po raz drugi!

Między każdą sylabą odzywało się kłapnięcie pantofla.

— 25,000!—rzekł ktoś tak obojętnie, jak gdyby suma nie była warta podniesienia głosu.

Mussy nie dosłyszał widocznie.

— 20,000 po raz...

— Stój, ofiarowane 25!—przerwał Frousacques.

— Kto taki?—zapytał Mussy.

— No, Cabrera.

Twarz hrabiego nie drgnęła—nie dał znaku przeczenia ani potwierdzenia.

— A więc 25,000!—zawołał Mussy, wzruszając ramionami.— 25,000 po raz pierwszy...

— 26,000!—wrzasnął Wisby z rozpaczą.

— Oszalał!—wołano.

— 28,000!—rzekł Cabrera, tym razem głośniej nieco, i poruszył głowę, jak gdyby chciał się opędzić od brzęczącego natrętnie owadu.

Nawet Mussy rzucił zdumione spojrzenie na Cabrerę, poczem podniósł papucę wyżej, niż dotąd:

— Dwa... dzieś... ścia... osiem ty... się... cy po raz pierwszy!—wołał, wymawiając ze szczególnym naciskiem każdą sylabę.

Grobową cisza.

— Dwa... dzie... ścia... osiem ty... się... cy po raz drugi!

Wszyscy powstrzymali oddech.

— I po... raz... trzeci!

Papucę spadł na stół z głuchym odgłosem.

Powstała wrzawa. Otoczono Cabrerę, wieszowano mu, tracano się z nim kieliszkiem. Niektórzy wyśmiewali go, a Mi-

ra usiłowała śmiać się z nimi, ale hałas zagłuszył jej dźwięczne, srebrne tony.

— Nie powinniśmy byli tego robić...—rzekła nagle, a posępna chmura rzuciła cień na jej lica.

Po chwili zawołała:

— Powietrze! Niechże który okno otworzył! Tu się udusić można!

Lou ciągle jeszcze nie wiedział. W końcu jednak spojrzenia rzucające nań ukradkiem, zwróciły jego uwagę. A były to spojrzenia niepokojące, badawcze, zdawały się mówić: czy też ten Nubijczyk wart jest 28,000 franków?

Ale dlaczego Mira tak ucichła? i dlaczego stopniowo nikał także śmiech reszty gości? Dlaczego rozmowa urywała się ciągle? Dlaczego nie pili już więcej?

Raz tylko ciężki basowy głos grzmącym dźwiękiem prze-rwał szepczącą ciszę:

— W Kairze... *parbleu*, w Kairze kosztują oni najwy-ziej 8,000!

I nad tém zdumiewającym przejściem od głośniejszej, wrzaskliwej wesołości, do posępnej ciszy kaplicy grobowej, Lou pokiwał zlekka głową: Co też to za szczególni ludzie ci cywilizowani!

Dowiedział się dopiero po chwili. Mira zawołała go do siebie. Siedziała oparta w fotelu, a oczy jej iskrzyły się ponad otwartym wachlarzem.

— Lou, tyś dobry chłopiec,—rzekła najłagodniejszym to-nem swoim, poruszając zlekka wachlarzem.

Lou stał przed nią ze skrzyżowanymi ramionami, i wyszczerzył zęby w oczekiwaniu co dalej będzie.

— Lou, coś ty?... ile za ciebie?...

Dlaczego nie mogła znaleźć odrazu odpowiednich wyrazów?

— No, Lou, co też ty jesteś wart? Jak sądzisz, ileby też zapłacili za ciebie tam, w twoim Kairze?

Runienie spleonął na jej czole, dolna część twarzy zakryta była wachlarzem.

Lou nie wiedział, co odpowiedziéć, i przypomniał sobie dwa franki, za które chciał siebie sprzedać niegdyś u kraty willi.

— Lou nie wart! Lou Mirę lubić... Lou nie...—wyjąkał.
Słowa te brzmiały, jak wzruszająca prosba.

— A gdyby tak ofiarowano za ciebie cały koszt złota, Lou?

— Mira Lou nie oddać!

Ach, oczy jego patrzyły takiem pocziwém, wierném, dziecinném spojrzeniem.

— Dali za ciebie 28,000 franków, Lou. Pomyśl tylko, ile to pieniędzy!

Spuściła wzrok, a wachlarz drgał gwałtownie.

Lou otworzył szeroko oczy ze zdumienia i strachu.

— Stało się to żartem, mój drogi,—ciągnęła Mira dalej.—
Te 28.000 franków są dla grona nędzarzy, których niedobra woda pozbawiła dachu, mienia, wszystkiego. Zapłaci je hrabia Cabrera. Niéma w tém przymusu. wcale nie. Ale on nie zechce cię zatrzymać. Zmusiłby cię nie mógł, tutaj, w naszym Paryżu. To tylko żart... tak jakoś przyszło... nie gniewaj się na mnie. To tylko żart... on mi ciebie odda; nie prawdaż hrabio?

Głos jój załamał się zlekka.

Hrabia Cabrera przeszył ją zimném, jak stał, spojrzeniem. Wyraz złośliwej uciechy, szyderstwa, osiadł mu na ustach. Poruszył głowę powoli na znak przeczenia.

— Ależ Lou...—wybuchnęła Mira przerażona.

Błyskawica przemknęła po obliczu Nubijczyka. W czach zagorzał groźny płomień, skurczone konwulsyjnie pięści przycisnął do piersi. Trwało to kilka sekund zaledwie. Późém nisko opuścił głowę, ręce opadły mu ciężko, bezwładnie—stał, jak zdruzgotany. Usta jego nie wydały żadnego dźwięku.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho; słyhać było tylko szelest wachlarza Miry.

Pijany Goussard zaczął urywanym głosem nucić początek piosenki Miry: „*Moja matka zjadła mi daktyle*“...

Jakże to brzmiało posepnie!..

Lou wolno, bardzo wolno podnosił głowę. Cała wysmukła postać wyprostowała się; wydawał się dziwnie wysokim. Oczy jego powiększyły się nienaturalnie, a w tajemniczej, czarnej ich głębi nie zajaśniał najlżejszy odblask światła. Ale nie widać w nich też było cienia pogardy lub nienawiści, ani śladu gróźby. Jednak, gdy powiódł temi oczyma dokoła, zatrzymując je zaledwie sekundę na twarzy każdego z obecnych, wszyscy wzrok pospuszczali. Żaden z nich nie śmiał podnieść spojrzenia, dopóki Lou mierzył, ich wielkimi, milczącymi oczyma.

— Śmieszne...— mruknął któryś.

Pomimo tego wzrok mieli ciągle spuszczoney.

I znów ta złowroga, dech zapierająca cisza.

Wtém Lou odwrócił się niezręcznym ruchem i poszedł. Nie,—na środku kobierca zatrzymał się raz jeszcze, stanął zwrócony do obecnych. Nagłym rzutem całej postaci pochylił się naprzód, wsunął głowę w ramiona i stał zaczajony, gotowy do skoku, niby zwierz drapieżny. Ręce podniósł zlekka, a palce skurczył, jak szpony; błędnym wzrokiem wodził dokoła i szukał tego, na którego chciał się rzucić... teraz... już, już... za chwilę skoczy mu do gardła...

Nie, nie zrobił tego! Z piersi jego wyrwało się krótkie rżenie, cała postać wygięła się, jak w kureczu, groźna postawa znikła.

Wyprostowany, z wyrazem wzruszającej dumy na szlachetnych rysach, skierował się ku Mirze. Ona siedziała, drżąc na całym ciele, a wachlarz jój szczykał głośno.

Lou ostatniem spojrzeniem zmierzył towarzystwo. A gdy zobaczył wszystkich zdrętwiąłych ze strachu, bladych, takich bezbronnych, słaby uśmiech politowania zaigrał na jego ustach. Nie,—przecież on nie robi Mirze nic złego... na żadnym z nich się nie zemści... nie,—pragnął jeszcze tylko tego... przykląkł na jednem kolanie przed Mirą, uchwycił skraj jój sukni i przycisnął

do niego czoło. Zrobił to cicho, bez najmniejszego szelestu— i znów dźwięk żaden nie wybiegł z ust jego.

Gdy obecni podnieśli oczy, już go nie było. Jakby rozplynął się w powietrzu.

Odetchnęli głęboko wszyscy razem, pozbywszy się zmyry, która ich wszystkich przygniatała.

Ale nie mogli się pozbyć przykrego wrażenia. Czepiali się obojętnych tematów rozmowy, a kiedy niekiedy zabrzączało złoto zbierane przez Mussy'ego, który brał od każdego, ile się dało. Cabrera rzucił mu czek na 28,000

— Biedni powodzianie się ucieszają. — odezwał się ktoś.

— Śliczny spędziliśmy wieczór! — zabełkotał Goussard, rzucając z ukosa spojrzenie na pawia z „oczyma z prawdziwych rubinów.“

O Nubijczyku nie wspomniano nawet. Nikt nie zapytał, gdzie się podział.

Panowie rozstali się niebawem. Wstydzili się wzajemnie jeden drugiego, że wobec wzroku „czarnego“ siedzieli, jak zmiążdżeni.

ROZDZIAŁ XXI.

Nazajutrz rano mieszkańcy domu opowiadali, iż o świcie rozlegały się na schodach jakieś szczególne jęki i skowyczenie, niby żałosne wycie konającego zwierzęcia.

Gdy Lou opuścił salon „złotój Miry,“ o mało nie runął na ziemię—zawłókł się w najciemniejszy kąt domu, i tam siedział skulony w bezmiernym bólu.

Razem ze zwiędłymi kwiatami, z kawałkami koronek, z pukłami włosów, z pantoflem pozwoliła go zlicytować! A może nawet sama to zaproponowała, aby go się pozbyć.. O, że

téż w taki straszliwy sposób za drzwi go wyrzuciła! Dlaczego nie wypędziła go batem?... on byłby i to zniósł chętnie z jéj ręki.

Ale być sprzedanym, zlicytowanym, jak głupia, nędzna rzecz razem z innymi rzeczami! Jak obdarta szmata razem z innymi szmatami!

Blade światło jutrzeńki wypłoszyło go z ukrycia, i powoli stopień po stopniu, zaczął się czołgać po schodach. Tak, czołgał się, jak zwierzę na czworakach. To kilka stopni na dół, to znów w górę, obejmując marmurowe słupy poręczy, jak gdyby szukał ulitowania w kamiennym ich chłodzie.

W przedsionku panowała cisza, tylko westchnienia Lou'a odzywały się przeciągłemi tonami, a echo dziesięćkroć odpowiadało ze wszystkich kątów. Niekiedy zabrzmiał cały rój tych westchnień, otoczył go i pierzechnął, niby duchy. Lou nasłuchiwał, a przestraszony echem własnych westchnień, przyspieszał czołganie. Z zimnym dreszczem skradał się mimo mahoniowych drzwi wejścia do mieszkania, jak gdyby miały się otworzyć, a on mógł w nich ujrzeć coś przerażającego... twarz ludzką.

Po przez egzotyczne rośliny, zdobiące wysokie okna schodów, zaglądały już pierwsze promienie słoneczne. Poręcz marmurowa zajaśniała różowawym blaskiem; podtrzymujący lampę posąg z połączanego brązu roziskrzył się tysiącem światła. Czas był wielki! I ono, i to słońce go wypędzało, nie przynosiło mu przyjaznego powitania. Wszak przyszło go ostrzedz, że nie miał prawa do najnędzniejszego nawet miejsca na tym szerokim świecie!

Ale brama była jeszcze zamknięta. Przykucnął tedy na ziemi, oparł się o poręcz i czekał. Widział, jak światłość wzmagala się wkoło niego coraz bardziej, jak coraz większemi falami wpadała przez wysokie okna, rozświecając wszystkie płaszczyzny, rozpalając wszystkie brzegi. O, ta przerażająca światłość! Jakim gniotącym ciężarem dech mu zapierała!... jakże go piekła w oczy! Wcisnął w nie mocno pięści, aby się od niej obronić.

I ogarnęła go szczególna tęsknota, której dotąd nigdy nie zaznał... gdyby tak zaległa ciemność, któraby pochłonięła wszystkie przedmioty i blask ich ułudny... gdyby tak słońce przestało świecić, a gwiazdy pogasły... gdyby tak skonały wszystkie dźwięki i nie odezwał się już ani głos ludzki, ani zwierzęcy... ani śmiech, ani chód zegara, ani bicie serca... nic, próżnia, milczenie, wielka, nieskończona, wieczysta ciemność...

Pospołu z tą tęsknotą nasuwały mu się różne pytania: Gdzie też być może nieżywy *moussou*? Czy nieżywy *moussou* znalazł spokój w wielkiej ciemności? Czy każdy zapada w tę wielką ciemność, kto zrobi, jak nieżywy *moussou*?...

Skrzypnięcie ciężkiej bramy, otwieranej przez chłopca odzwiernego, zbudziło go z zadumy. Zerwał się, i wychodząc, przecisnął wysmukłą postać przez szparę w bramie; chłopiec spojrział na niego ze zdumieniem: dlaczego nie otworzył drzwi szerzej nieco?

Chodnik na ulicy tonął w olśniewającej fali światła; stojące nisko jeszcze słońce zsyłało z całą siłą wszystkie swe promienie. Lou odwrócił się ku niemu plecami, i rzucając długi cień przed sobą, szedł coraz prędzej, jak gdyby zdążał do owej ciemności, ku której zwróciły się wszystkie jego myśli.

Najpierw włóczył się po bulwarze Sekwany, stawał nad brzegiem i wpatrywał się w lśniące ruchliwe fale. Opierał się o poręcze mostów, i pochyłony patrzył, długo patrzył w głębię osłupiałym wzrokiem. Stopniowo przyłączali się do niego ciekawi, którzy przyglądali się wodzie, a potem jemu, pragnąc się dowiedzieć, co się tam stało w dole i czego on chciał? Zwróciło to uwagę policyanta, który ścigał Lou'a przez godzinę, idąc za nim z jednego miejsca na drugie.

W końcu Lou odwrócił się ze wstrętem od Sekwany. Nie robi z siebie dla nich widowiska teraz o tej godzinie, o nie! Było to piękne jesienne popołudnie; na Sekwanie panował ożywiony ruch, fale szumiały przecinane to w dół, to w górę płynąciami parowcami, a na mostach roilo się od ludzi. Zwróciłoby

uwagę—to, co Lou chciał zrobić. Skończył swoją rolę w wielkiej komedii tych cywilizowanych, i dosyć długo służył za pajaca owój straszliwej reklamie, która z zimnym uśmiechem stąpa po zrobach.

Stanęli mu przed oczyma: nieżywy *moussou*, wspaniały Farmilli, a także i Zeppa... coby też pomyśleli, gdyby on, jak zrozpaczona dziewczyna, zeskoczył z mostu?... Zrobiłby się krzyk, hałas, wydobyłoby go z rzeki, może jeszcze żywcem, albo jako zeszpeconego trupa, ciekącego brudną wodą, i zawieziono go do *morgue'i*, gdzieby wystawiono na pokaz ciekawemu tłumowi.

Doznał uczucia, jakgdyby to był manowiec prowadzący do wielkiej ciemności. Nie, nie zrobi tego! *Moussou* nie byłby wybrał takiego brzydkiego manowca.

I widział znów *moussou* leżącego, z bladą głową opartą na czerwonym aksamitnym krześle, z małym cyzelowanym pistoletem w lekko skurczonych palcach... tylko tak samo stać się powinno! Poszept ostatniej resztki właściwej rase jego próżności, kazał mu umrzeć, jak *moussou*, nie inaczej.

Zliczył gotówkę, której zazwyczaj dawała mu nieco Mira, aby wyjeżdżając z nią „grał dzentlemana“,— i skierował swe kroki na bulwar Sebastopolski. Zatrzymał się przed składem broni, z przerażającą poządziwością napawał oczy widokiem błyszczącej stali szpad i pałaszów, błękitnawego blasku luf. Pistolety i rewolwery zwracały ku niemu posępne puste otwory; zdawało się, iż Lou wzrokiem naciska świecący punkcik kurka. Nie wiele więcej, niż nacisk takiego spojrzenia, wystarczy..

Wszedł do sklepu. Handlarz pokazał mu rozmałą broń, Lou zapytał o ceny,—były bardzo wysokie; wziął tedy w końcu pistolet mniejszego kalibru.

— Pan wyjeżdża?—zapytał handlarz uprzejmym tonem, bystro wpatrując się w Nubijczyka.

Szare oczy handlarza okolone były stalowemi obwódkami, jak lufy broni.

Lou spojrział na niego ze zdumieniem.

— Pan chce pewnie udać się na wycieczkę?—powtórnie zapytał handlarz.

Lou skinął głową, wyszczerzając zęby, śpiesznie zapłacił żadaną cenę i wyszedł, aby czémprędzej wydostać się z pod tych badawczych spojrzeń.

Miało się już ku wieczorowi, gdy przechodził przez Pont-au-Change. Gęsta mgła zabarwiona brudnym różowym odbłaskiem, zawisła nad zygzakowatą linią domów, która zamykała widnokrag zakrętu Sekwany. Wielki, gorejący półokrag słoneczny zdawał się pływać w téj mgle. Widać było prawie, jak falował, jak blask jego migotał, jak ogniste światełka skakały po ruchliwej powierzchni wody. Powietrze było ciężkie, duszne.

Ludzie stali i przyglądali się widowisku. I Lou przystanął, ogarnięty ową bezwładnością moralną i fizyczną, która bezwiednie ulega najłżejszej pobudce zewnętrznej. Naraz płonąca tarca zniknęła, pochłonięta przez brudną mgłę, i to tak nagle, że powstał ruch między widzami. Poczém niezwłocznie rozgorzały chmury stojące wyżej na bladém niebie, i uniosły się w górę, jak olbrzymi, skłębiony słup dymu. Zdawało się, że ów dym, sycząc, bucha z tego miejsca, gdzie utonęło w brudnej mgle słońce.

Wtém zbudziło Lou'a z zadumy skowyczenie, po którém dobiegł jego uszu świst bata. Lou drgnął, a gdy się odwrócił, wzrok jego tak był olśniony widokiem zachodzącego słońca, że nie mógł nic rozróżnić w chaosie pojazdów.

I znów odezwał się ten sam skowyk. Zimny dreszcz przebiegł Lou'a; gwałtowném wstrząsaniem głowy usiłował się pozbyć potoku barw, który falował przed jego wzrokiem; konwulsyjnie ściśniętą dłoń przecierał oczy.

Skowyczenie zabrzmiało ponownie, już dalej, przygłuszone turkotem kół. Ten ostatni ton zadźwięczał, jak krzyk o pomoc.

Wyrwał on Lou'a z odrętwienia.—Biegnąc w stronę, z kąd go doszedł skowyk, Lou śledził, szukał, tropił, patrzył dokoła dzi kim wzrokiem po przez niebieskie, zielone i pomarańczowe kręgi, które w szalonym wirze skakały mu przed oczyma. Zatacza-

jąc się, nie zwracając uwagi na przechodniów, pędził za tym głosem.

Był to głos Zeppy!

W jaki sposób go poznał, jak rozróżnił słuchem delikatny odcień między skowyczeniem Zeppy a innych takich samych psów? A jednak to głos Zeppy! Lou był tego pewien. Mówiło mu to bicie jego serca.

W końcu, po przez grę coraz bledszych kręgów świetlanych dostrzegł mały wózek, a na nim otyłego mężczyznę bez surduta.

Czy to nie sina, opiła twarz owego rzeźnika z St.-Cloud? Odskakujący od bruku wózek wstrząsał nim gwałtownie; wydeptane usta zaokrąglone były, jak do gwizdania; prawa ręka trzymała krótki bat nad grzbietem dużego psa, którego nieustannie uderzał lekkimi razami.

Wystające kości psa, pokryte obwisłą popielatą sierścią, stawały się jeszcze widoczniejszemi w strasznym wysiłku, z jakim ciągnął swój ciężar. Pasy ciemniejsze na grzbiecie wyglądały, jak pręgi od bata. Łeb miał spuszczone; język, z którego unosiła się gorąca para, wywieszony. Dyszał ciężko.

Ślępia Zeppy! Nie, to tylko puste miejsce, w które lew zatopił swe szpony. Na ten widok wszystkie fibry zadrgały w Nubijczyku. Ślaniając się, biegł przy wózku; oczy, w których rozgorzał posępny płomień, wlepił w zwierzę, otworzył usta, niezdolny wszakże wydać najłżejszego dźwięku.

I zygzakowatym lotem błyskawicy przebiegły mu przez głowę myśli: „Precz z ostatnim śladem gniewu! — precz z nim wobec tego widoku okrutnie dręczonego zwierzęcia! — precz z cierpieniem własném! — Lou jeszcze raz poświęci się dla swego Zeppy! — Lou nie opuści Zeppy, teraz nie opuści. — A co p óźniej? — Wszystko jedno, czy wielka ciemność, czy znów wielka męka blasku słonecznego — wszystko jedno — jak Zeppa zechce!“

I dalej biegł obok wózka, wpatrzony dzikim wzrokiem w dyszące zwierzę, które nie mogło go widzieć. Lou chciał zawołać na Zeppę po imieniu, ale wyraz uwiązł mu w gardle.

Wszystko mąciło mu się w głowie: niespodziewane spotkanie i gniew z powodu dręczenia szlachetnego zwierzęcia. Jedno tylko rozumiał, że musi oswobodzić Zeppę z okrutnych rąk rzeźnika.

Czy zrobi to przemocą? Lecz wówczas może znów nastąpić rozłączenie, jak na owym jarmarku w St.-Cloud, gdzie zawlekli Lou'a do aresztu policyjnego... Umyślnie tedy zwalnia kroku, cofa się do fali przechodniów, oglądających się ze zdumieniem za tym czarnym, który biegnąc zwolna, wiję się, wyciąga, przeciska, jak wąż, byle tylko nie stracił z oczu wózka.

A wózek z głośnym turkotem toczy się teraz po placu Ś-go Michała, szerokim łukiem wymijając powozy, które nadjeżdżają z bulwaru. Tu droga swobodniejsza. Zeppa chce odpocząć, ale na to nie pozwala bat rzeźnika. Wśród groźnych wymysłów, wśród świszczących ciosów, które spadają na grzbiet jego, zwierzę dalej ciągnie wózek, głośno skowycząc, ochryplęm wyciem protestując przeciw brutalnej przemocy.

Ale bat jest potężniejszy, i do ostatniego wysiłku podnieca psa, który, jak szalony, przebiega przez plac z wózkiem.

A Lou za nim z zaciśniętymi pięściami; wściekłość zapiera mu dech w piersi.

Białym, pieniającym się potokiem spada z szumem woda w wodotrysku Ś-go Michała z górnego basenu, nad którym się wznosi spiżowa postać archaniola. Przejrzysty obłok pary fałduje nad basenem, a teraz powiew wiatru obryzguje ulicę drobniutkim deszczem.

Ach, co za rozkosz, jakie orzeźwienie!—Zeppa pędzi prosto ku wodotryskowi, dysząc, spragniony chłodzącej wody. Rzeźnik rwie i szarpie cugle, i wściekłymi razami usiłuje zwrócić psa z drogi.

Wtém tuż obok wózka odzywa się ryk. jakaś dłoń żelaznym ścisnięciem obejmuje rękę rzeźnika.

Rzeźnik znienacka zaskoczony, podnosi głowę i wydaje

okrzyk zdziwienia: czy to nie ten zafarbowany na czarno złodziej mięsa z St.-Cloud, właściciel psa?

Ale rzeźnik drętwieje w obec straszego płomienia, jaki zapalił się w oczach Nubijczyka, wobec groźnego zgrzytu jego zębów. Czego on chce?... Jakieś dzikie wyrazy padają, sycząc, ze spienionych ust jego. Rzeźnik nic nie rozumie, parska głośnym śmiechem i potężną pięścią odrzuca w bok napastnika.

Potém spuszcza bat z taką siłą na grzbiet zwierzęcia, że pies aż podnosi się na dwóch łapach, wyjąc z bólu.

Lou stoi już znów na nogach. Z zaciśniętymi pięściami rzuca się na rzeźnika. Na szatana! Przegryzie mu gardło ostremi, zwierzęcemi zębami!

Lecz rzeźnik podnosi wysoko bat, który z głośnym świstem przecina twarz Nubijczyka.

I znów wyrывa się ryk z piersi ugodzonego. Lou ogłuszony zatacza się, poczem znów stoi prosto. W wyciągniętej ręce zabłysło coś metalowego. Jeszcze sekunda... strzał... błękitny obłok dymu... i dwa okrzyki, jako echo tego strzału: wściekle przekleństwo z ust rzeźnika i bezmierną radością dźwięczące: „Zeppa!“ z jakim Nubijczyk obejmuje kark zwierzęcia.

W chwilę potém już zdarł z psa uprząż i pędzi z nim przez plac. Ludzie nadbiegający na odgłos strzału, rozpraszają się przed nim przerażeni.

Chce się przedostać w poprzek ulicy, na bulwar z drugiej strony Sekwany. Ale to nie tak łatwo—przed nieprzerwanym szeregiem pojazdów, które turkocząc, z trudem powstrzymywane w pędzie, staczają się z pochyłości bulwaru, musi przystanąć — przystanek ten zgubę mu przyniesie.

Prędzéj!... Prędzéj! Już nadbiegają, aby go schwytać... znów go z Zeppą rozłączają!

Nie pozwoli na to! Do tego nie dopuści!

Z rozpaczą rzuca się w wir pojazdów. Już się prawie przedostał, gdy nagle Zeppa opiera się i nie chce iść dalej. Lou szarpie go, ciągnie naprzód; wtém do uszu jego dobiega z góry

grzmiący głos. Gorący oddech koni bije mu w twarz, pada na ziemię—dokoła wrzaski, przekleństwa — coś potwornego, jakaś ciężka olbrzymia masa toczy się po nim—turkot, trzask i przeraźliwy okrzyk bólu wyrrywający się z jego własnej piersi. Zdruzgotany leży Lou pod kołami omnibusu.

Stłumione głosy szumią dokoła niego, ręce jakies dotykają jego ciała, ktoś komenderuje głośno. Czy to nie ciepły oddech Zeppy, musnął go po twarzy?

Potém ciemność, wielka ciemność.

ROZDZIAŁ XXII.

W sali, gdzie leżał Lou, było bardzo cicho, bardzo jasno i bardzo czysto. Stały tam jeszcze inne łóżka; na niektórych widniały blade twarze z wielkimi, nieprzytomnymi oczyma. Dwie Siostry Miłosierdzia przesuwały się szybko tu i ówdzie; odgłos ich kroków tonął w chodnikach, słyhać było tylko szelest sztywnych kornetów.

Przez wiele, wiele dni Lou nie wiedział, w jaki sposób dostał się w tę ciszę. W gorączkowym mroku, który zaćmił jego przytomność, wszystko, co przeżył, terażniejszość i przeszłość zwały się razem w jeden wielki sen fantastyczny. Po przez te senne widziadła przedzierała się niekiedy niby błyskawica, ze szczególnym świstem i sykiem. Znow ten straszliwy bat z Kairu! Lou tak się wił i czołgał pod razami tego urojonego bata, że z trudnością zdołano go przytrzymać.

Wszak przed kilku dniami dopiero zaciął go po twarzy, nabrzmiała pęga czerwieńła się jeszcze na skroni. Lekkie palenie tego znaku przywróciło stopniowo Lou'owi świadomość zaszłych ostatnimi dniami wypadków.

Pewnego dnia, gdy leżał nawpół przytomny, stanął mu przed oczyma sen inny, nieskończenie piękny. Ciepły oddech owiewał twarz jego; słyszał, jak coś obok niego skowyczało, a potem wilgotny język lizał mu rękę. Ach, to Zeppa! Lou wiedział, że pies przy nim zostanie—co za rozkosz!

I Lou nie śmiał otworzyć oczu, aby sen nie pierzchnął. Wtém głos jednej z Sióstr szepnął przy łóżku:

— *Allons*, dobra psina... nie naprzykrzać się! Leżeć!

Lou raz tylko otworzył oczy. Jest! Jest! To ślępia Zepy. nie — jedno tylko, to, które uratował z lwiej klatki. To lśniący czarny nos Zeppy, to jego ogon bijący z radości o podłogę.

Potem znów noc zapadła.

Lou nie mógł zrozumieć tego, co mu Siostra Miłosierdzia później opowiadała. Jak pies naszczekając i skowycząc głośno, przyszedł za noszami, na których złożono Lou'a, jak odtąd już nie opuścił „Hôtel-Dieu.“ Ale regulamin jest bardzo surowy i wpuszczać psa niewolno.

Potajemnie tylko, w pewnych godzinach, kiedy groźny regulamin drzemał, Siostra odważała się wzywać psa do łóżka. I wówczas inni chorzy, ku zdumieniu swemu słyszeli, jak człowiek z psem prowadził cichą rozmowę. Jak Lou szeptał do niego ze wzruszającą czułością w języku, którego nikt nie rozumiał, i jak Zeppa odpowiadał krótkimi, żalonymi tonami, które nie miały już w sobie prawie nic zwierzęcego.

Pewnego razu lekarz naczelny rzekł do Sióstr:

— Zostawcie mu psa; nie mam nic przeciw temu. Przecież to już długo nie potrwa, a wszak ten nieborak nie ma nic innego na tym świecie.

Tak, nie miał nic innego, prócz tego wiernego, poczciwego psiego serca. Ostatni skarb jego, wspomnienie o zmarłym *mous-sou*, zatrula mu także gorzka kropla.—Wyjął medalion z wieszaka z amuletem. Nawet straszna niedza długich dni włóczęgi

nie zdołała mu tego wydrzeć. Bawiąc się, przesuwał przez palce złoty klejnot; wtém wypadł z niego portret.

Lou poznał go niezwłocznie. To portret Lili! Portret Miry!... Portret kobiety, którą on tak ukochał, a która pozwoliła go zlicytować za 28,000 fr.

Straszna jasność rozświetliła teraz jego myśli. Nieżywy *moussou* kochał Mirę. Ztąd jęj nagłe zmieszanie, gdy w teatrze maryonetek drewniany margrabia zastrzelił się za kulisami. Wszak prawdziwego margrabiego ona sama popchnęła do śmierci. Ta, którą ona tak dobrze знаła, toć to była ona sama!

„Ach, ach, ach... czyż cały świat jest teatrem maryonetek?“

I jak owęj niedzieli przed kaskadami w St.-Cloud, spłynęły po policzkach Lou'a dwie łzy, tylko gorętsze niż wówczas, większe i bardziej błyszczące. Te dwie ostatnie łzy były jakby wyrazem wszystkich cierpień jego życia.

Niekiedy szczególnie goście otaczali łoże Nubijczyka. Poważne twarze uczonych, o rysach ostrych, ze lśnąciami okularami, wpatrywały się w niego badawczo. Czy chcieli go ratować? Lou w milczeniu kołysał głową przecząco. Nie, on nie chce wcale ratunku! Bo czyż to życie warte jest życia?

Biedny Lou! oni nie chcieli, a nawet nie mogli cię ratować. Ale chcieli wiedzieć, czy należysz do szczepu Biszarów, czy do szczepu Abadahów lub Barabarów. Chcieli wiedzieć miarę twęj czaszki, męczyli cię, pragnąc uchwycić choćby kilka okruchów twęj mowy ojczystej — i musiałeś sobie dać mierzyć kąty twarzy ich brutalnemi rękoma.

Był tam między nimi młody uczonek, pełny zapału fanatyk, któremu widocznie szczególniej spodobała się twoja piękna głowa. Z trwożliwą pożądlivością zbieracza, obawiającego się, że mu się wymknie rzadka osobliwość, badały oczy jego „cudownie piękny egzemplarz.“ Co rano przychodził przekonywać się, czy ty jeszcze żyjesz...

Jedna z Sióstr opowiadała Lou'owi o Niebie, do którego dostają się wszyscy dobrzy ludzie, gdzie czekają ich rozkosze,

wynagradzające za wszystkie nieszczęścia życia doczesnego. I on, Lou, tam się dostanie, jeżeli żałować będzie swego postępku przy wodotrysku. Kula wprawdzie nie trafiła, ale mimo to wi-
na ciąży na jego sumieniu.

Na te słowa ostatni słaby błysk gniewu zaświecił w przy-
gasłych oczach Lou'a.

Siostra pokiwała poważnie głową:

— Trzeba przebaczać, aby i nam przebaczone... bez skru-
chy niema Nieba, mój przyjacielu.

Ach, on był taki słaby, a głos Siostry dźwięczał tonem ser-
decznym, który był dla niego całkiem nowy, i zatarł w nim
wszelki ślad gniewnej myśli, niby miękką, pieszczotliwą dłońią.
Żalсны uśmiech przemknął po jego zapadłych rysach.

— Lou nie wart...—westchnął;—Lou nie Niebo! Niebo ja-
sne... Lou nie jasno...

Gdy zbliżał się koniec, Siostra usiadła przy łóżku. Pies-
wsunął pysk głęboko w kołdrę i wiernem ślepiem swoim wpa-
trywał się w Lou'a.

Siostra modliła się:

— Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech...

Z ust konającego wybiegały z jękiem urywane sylaby.

— Święć się imię Twoje...

Lou poruszył ustami i powtórzył coś niezrozumiałego.

-- Przyjdź królestwo Twoje...—ciągnęła dalej Siostra.

Usta nie poruszyły się tym razem.

— Przyjdź królestwo Twoje... czy nie słyszysz, Lou?

Lou milczał.

Nagle wyjąkał raz jeszcze wyraźniej, głośniej:

— Jest w Niebie...

— No, tak, Lou,—nalegała Siostra łagodnie.—Posłuchajże
więc... dalej: Przyjdź królestwo Twoje...

Lou zwolna, ciężko zakołysał głowę na poduszce. Na
twarzy jego malował się wysiłek—chciał widocznie mówić. Sio-

stra nasłuchiwała z nateżeniem. I w końcu, zbierając przemocą ostatnie myśli, wyrzucił z drętwiejących ust sylabę po sylabie:

— Lou nie niebo chce... gdzie Lili być... Lou nie... niebo chce... gdzie ludzie być... Ludzie nie dobrzy... Lou niebo chce... gdzie Zeppa być... Niebo Zeppy dobre niebo!

— Panno Przenajświętsza!—krzyknęła Siostra i zerwała się przerażona.

Nazajutrz rano znaleźli go nieżywego, z twarzą do psa zwróconą. Z trudnością oderwali skostniałą rękę od obroży. Żłociste pasmo słoneczne, padając na łóżko, rzuciło cień uśmiechu na rysy zmarłego.

ROZDZIAŁ XXIII

We dwa dni później popołudniu zjawiała się jakaś dama w biurze „Hôtel-Dieu.“ Weszła, szeleszcząc, z imponującą miną królowej teatralnej w żałobie. Tualetę miała czarną jedwabną, której połysk zaledwie przyćmiewały cienkie koronki. Natomiast głowa ze złocistymi włosami przykryta była gęstą krepową zasłoną.

— Czy można zobaczyć nieboszczyka?—zapytała, drżącym zlekka głosem.

— Jakiego nieboszczyka?

Na uśmiechniętej uprzejmie twarzy urzędnika odmalował się wyraz niechęci. Co za pytanie! Jakgdyb w takim wielkim szpitalu był tylko jeden nieboszczyk!

— Było w „Figarze“...—odparła dama i umilkła.

Zdawało się, że nagły wstyd odbiera jej mowę.

Przeczytała w „Figarze!“ Między skandalicznymi plotkami bulwarowymi, między drastycznymi dwuznacznikami, opisami

balów arystokracji i tualet półświatka, przeczytała, że pewny Nubijczyk, który niedawno strzelił do kogoś z pistoletu przy wodotrysku Ś-go Michała, umarł w „Hôtel-Dieu.“

Urzędnik, który przecież był przyzwyczajony do łez powstrzymywanych z trudnością, do głosów przerywanych westchnieniami, spojrział uważniej na damę, usłyszawszy drżący dźwięk jej głosu:

— To był... czarny... nazywał się Lou.

Urzędnik, przybierając nanowo uprzejmie uśmiechniętą minę, wzruszył ramionami i zatknął pióro za ucho.

— Żałuję mocno—rzekł,— ale przychodzi pani zapóźno. Powinnaś pani była zgłosić się wcześniej.

— Już pochowany? — szepnęła zaledwie dosłyszonym głosem.

— Nie,—odparł urzędnik.

Straszny był z tą swoją uśmiechniętą miną, którą zapomniał zmienić nawet przy następujących słowach:

— Nie—powtórzył,—ale... pani wie, anatomia... Warunki przyjmowania do „Hôtel-Dieu“ są pani wiadome... Nie zgłosił się nikt po niego, a tym panom od anatomii tak zawsze śpieszno... utrzymywali, że to bardzo piękny egzemplarz...

Zimny dreszcz wstrząsnął Mirą; wybiegła, jak szalona.

Lokajowi, stojącemu przy drzwiczkach powozu, gwałtownym ruchem ręki dała znak, aby odjeżdżał — odjeżdżał co prędzej!

I lokaj, i stangret widzieli z kozła, jak ich pani biegła przez plac „Notre-Dame“ i ku bramie katedry. Powietrze było dżdżyste, kamienne płyty placu pokryte były lśniąca powłoką, a kolos „Notre Dame,“ poczerniały od deszczu, wznosił się olbrzymią, posępną masą w mgliste, szare obłoki.

Mira nie otworzyła parasola, otuliła się mocno płaszczem, suknia jej szeleściła głośno na bruku.

Nad boczną furtką kościoła wielki biały afisz, oznajmiał o kazaniu ojca Pandolfa, sławnego misjonarza. Oczy Miry za-

trzymały się bezwiednie przez kilka sekund na ogłoszeniu, i weszła wśród szmeru zebrzących i modlących się kalek.

Owionęła ją fala dusznego, przesyconego wonią kadzideł powietrza; pod sklepieniami panowała przygniatająca ciemność. Płomyki gazowe na kolumnach wydawały się małemi czerwonymi punkcikami, pozbawionemi siły oświecającej, a malowane szyby, zazwyczaj olśniewające przepychem barw swoich, wyglądały, jak olbrzymie wypłowiałe dywany, zawieszone w górze u okien, aby powietrze duszniejszém jeszcze uczynić. Tylko ambona rozpościerała większy krąg świetlany, a na niej widniała wychudła postać młodocianego kapłana, gestykulująca szerokimi ruchami.

Wśród zasłuchanego tłumu panował szmer, nieustanne chrząkanie, kaszel odzywał się na pogrążonym w zupełnym mroku chórze wielokrotném echem.

Mira bezwiednie wzięła klęcznik z rąk wynajmującej, a ofiarowującej go natarczywie kobiety, i chwiejnym krokiem dążyła mniej przepełnioną nawą boczną, coraz dalej, aż do ostatniej kaplicy. Był tam ołtarz z niemożliwym do rozpoznania obrazem; srebrne naczynia rzucały blask przyćmiony, a światło czerwonej lampki olejnej drgało, jakby blizkie zgaśnięcia.

Mira postawiła klęcznik, chciała usiąść, ale zachwiała się, i konwulsyjnym ruchem upadła na kolana, obejmując rękoma ławkę drewnianą; wzrastające łkanie coraz gwałtowniej wstrząsało jęj postacią.

Te myśli, te straszliwe myśli! Czaiły się, przysuwały i chwytaly jęj zmysły w swe szpony, dusząc je, miażdżąc, druzgocząc... Powietrza! powietrza! ratunku przed myślami, przed temi straszliwemi myślami!

I w tęj okropnej, naprózno szukającej pomocy trwodze, zaczęła się modlić. Mówiła jedno „Zdrowaś Marya“ po drugiem, zagłuszając szeptem modlitwy głos sumienia. Mówiła szybko, bardzo szybko, i zdawało się, że głos ów zaczął przycichać pod urokiem rytmicznych okresów.

Naraz drgnęła. Grzmiący w oddali głos misjonarza, silniejszym okrzykiem dobiegł aż do niej.

— To są ludzie! Przecież to są ludzie, na wzór i podobieństwo Boga, jak wy wszyscy! — rozlegało się w kościele.

Kto, ludzie? Kogo kaznodzieja miał na myśli?

Z zapartym oddechem Mira słuchała. Teraz rozumiała już wyraźnie każde słowo tego ostrego, wzmagającego się coraz bardziej głosu. Kapłan mówił o afrykańskich poganach, i dowodził wykwintnym słuchaczkom, że i oni są ludźmi, pomimo ciemnej skóry i prostego serca. Czyż potrzeba było dowodzić im tego?

I ze wzrastającym gniewem napadał na nędzną zarozumiałość tych, tak zwanych cywilizowanych — na ich nikczemną obłudę — na ich brutalne samolubstwo — na zwierzęcą chciwość, z jaką wydzierają sobie z rąk wzajemnie tę trochę nędznego ziemskiego mienia — i zawsze powtarzał tę samą zwrotkę:

— Ludzie, przecież to są ludzie, ci czarni!

Zdrętwiała, nieruchoma klęczała Mira. Wszystkie jęj zmysły w słuch się zamieniły. Słowa kapłana padały na nią, jak ciosy bicia. W końcu nie słyszała już nic więcej, oprócz tej zwrotki. Zrozpaczona zakryła sobie uszy. Ale przez szmer tłumu przebiegało ciągle echo: „Ludzie, przecież ludzie!“

Wtém coś miękkiego dotknęło jęj sukni. Drgnęła. Była to sakwa ofiarna zakrystyana, który pełnym namaszczenia szeptem prosił jęj o szeląg „dla czarnych.“

Mira odetchnęła; brzęk złota w sakwie wydał jęj się zbawieniem. Z radosnym pośpiechem sięgnęła do kieszeni, wyjęła portmonetkę i wsypała wszystko, co w niej było, do sakwy.

Złote monety spadały z wesółym dźwiękiem, przypominającym świat pełny blasku słonecznego i rozkoszy życia, tam za bramą. I grzmiące słowa kaznodziei traciły swą potęgę wobec tego dźwięku...

Dla czarnych! Wszystko dla czarnych w Afryce. Héj, co za wesóły dźwięk!

Niezwłocznie potem Mira wstała i podążyła śpiesznie ku wyjściu, jakby w obawie, że dźwięk ów przebrzmi, że straci go z uszu, i że znów bezbronna, wydana będzie na pastwę ciosów bicia kaznodziei.

Wieczorem panowało w teatrze „Renaissance“ wielkie zamieszanie. Złota Mira zawiadomiła, że jest chorą. Mówiono, że w ogóle chce porzucić scenę. Na bulwarach obiegały różnorodne pogłoski. Mira wstępuje do klasztoru... Mira wychodzi natychmiast za hrabiego Cabrere...

ROZDZIAŁ XXIV.

W kilka miesięcy później nadszedł do zarządu „Hôtel-Dieu“ list ze znaczną sumą pieniędzy i rozporządzeniem, aby wzniesiono pomnik na grobie zmarłego w ubiegłym październiku Nubijczyka. Pomnik miał być marmurowy, wysoki, wspaniały; z przesłanej sumy nie należało nic oszczędzać. List zaopatrzony był w hiszpański stempel pocztowy i niezbyt wyraźny podpis: „Lili, hrabina Cabrera.“

I na miejscu, zarezerwowaném dla szpitala „Hôtel-Dieu“, na cmentarzu Montparnasse, stało się niebawem zadość życzeniu hrabiny. Ponad garstką szczątków biednego Lou'a, wydanych z amfiteatru anatomicznego, zaczęto wznosić pomnik. Przysporzył on trochę kłopotu, gdyż szeroki cokół, odpowiedni do przeznaczonój na ten cel sumy, musiał o wiele przekroczyć granice, oznaczone numerem nieboszczyka, tak, że kilka sąsiednich numerów pod tenże cokół się dostało.

Pomnik był niezwykle piękny i wspaniały. Stanowił chlubę artysty, który go wykonał, i wzbudzał podziw zwiedzającej cmentarz publiczności. W przewodnikach podróży opis jego oznaczono gwiazdkami, jako osobliwość cmentarza.

Tak uczczono Lou'a po śmierci.

K O N I E C.



WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

189543

Biblioteka WSP Kielce



0099049